

Joanna Szarańska

*kocha, lubi,
szpieguje*




KALINA
W MALINACH



kocha, lubi
szpieguje

Joanna Szarańska

*kocha, lubi
szpieguje*



Copyright © Joanna Szarańska, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek

Redakcja: Kinga Gaska

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Barbara Adamczyk

Projekt okładki: Design Partners (www.designpartners.pl)

Fotografia na okładce:

www.depositphotos.com/luismolinero

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz
Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-499-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Naszym braciom mniejszym

Pamięci M.

Jeszcze będziemy razem biegać, przyjacielu!

Tak się to zaczyna...

Czerwony samochód zatrzymuje się na starym, opuszczonym parkingu. Drzwiczki otwierają się z cichym pyknięciem i z wnętrza auta wyskakuje rudobrzązowy pies. Radośnie płąsa wokół wozu, znaczy teren i patrzy wyczekująco na swego opiekuna. Kiedy w opalonej, silnej dłoni pojawi się piłka tenisowa nosząca ślady niezliczonych ugryzień? Kiedy rozpocznie się ulubiona, tak dobrze znana zabawa? O, piłka już wesoło podskakuje po nawierzchni parkingu!

Jednak tym razem zabawy nie przewidziano.

Opiekun psa spogląda na niego smutnymi oczami, a potem odwraca wzrok, zamyka drzwiczki po stronie pasażera i szybko odjeżdża. Pies pozostaje na parkingu i niespokojnym, brązowym spojrzeniem odprowadza czerwony samochód. Przysiada na tylnych łapach, przed sobą kładzie tenisową piłeczkę.

Czeka wiele godzin, dni. Zjada resztki podrzucone przez zatrzymujących się na parkingu kierowców. Przecież jego

opiekun wróci. Musi wrócić, prawda?

Nie wraca.

Pewnego słonecznego dnia pies, który w swoim dawnym, szczęśliwym życiu nosił imię Fado, decyduje się ruszyć w dalszą drogę. Pozostawia opuszczony parking, nadgryzioną piłkę tenisową i zeschnięte skórki z kanapek rzuconych przez kierowców ciężarówek. Ostrożnie przemieszcza się wzdłuż szosy, aż mija niewielką kapliczkę z powiewającymi na wietrze kolorowymi wstążkami i drogowskaz prowadzący do jakiejś wsi.

Nie potrafi czytać, ale gdyby potrafił, wiedziałby, że właśnie wkracza do Kamionek.

Rozdział 1

Niespodziewana propozycja pada przy krokieciku i czerwonym barszczu. Krokiecik ma rumianą, chrupiącą panierkę. Jest faszerowany aromatycznym nadzieniem z kapusty kiszonej i suszonych grzybów (najprawdziwszych prawdziwków, pochodzących z kamionkowskich lasów, nie z żadnych tam super- albo co gorsza hipermarketów, a co więcej moczonych całą noc, następnie gotowanych, a nawet smażonych). Krokiecik pachnie obłędnie, a jak się okazuje, jeszcze lepiej smakuje, toteż unosząc do ust srebrny widelec z kompletem, który matka wyjmuje tylko w Boże Narodzenie, Niedzielę Wielkanocną i dzień odwiedzin Marka, porzucam mocne postanowienie rozpoczęcia diety i decyduję, że zjem jeszcze jednego, a może nawet i dwa. Swoje postanowienie opijam łyżką barszczyku o barwie dojrzałego amarantu. I właśnie wtedy padają słowa, których absolutnie bym się nie spodziewała.

– Skoro już niemal jesteśmy rodziną, to właściwie mógłbyś mówić do mnie *mamo*, Mareczku! – Z dzióbka mojej matki dobywa się radosne ćwierkanie.

Kawałek nadziewanego naleśnika zatrzymuje się w przełyku, mimo to udaje mi się obrócić nieznacznie w kierunku, gdzie zasiada mężczyzna, który od pewnego czasu wzbudza motylki w moim brzuchu, jak również nie tylko tam. Usiłuję ocenić, jakie wrażenie czynią na nim starania mojej matki, która wbrew pozorom do subtelnych nie należy. Czy odsuwa już krzesło, wstaje i ucieka tam, gdzie pieprz rośnie, a Tony Halik kręcił swoje programy?

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu Marek wcale nie wybiega z pokoju w popłochu, gubiąc po drodze strzępy krokietów i lejąc wszystko dookoła gorącym barszczem. Na jego

lekką opaloną twarz nie widać paniki ani nawet nerwowych tików. Wprost przeciwnie! Mruga do mnie porozumiewawczo, odkłada widelec od świątecznego kompletu, rozpięta się wygodnie w krześle i obdarza moją matkę promiennym uśmiechem.

– W sumie to mamusia ma rację – oświadcza radośnie, na co moja matka rozplęta się w zachwycie i mało co nie zaczyna merdać ogonem, którego naturalnie nie posiada. – A skoro już niemal jesteśmy rodziną, to może mamusia pomoże mi przekonać Kalinkę, żeby ze mną zamieszkała?

Tego już dla mnie po prostu za wiele. I dla mojego przełyku również. Krztuszę się smacznym krokietem mojej matki, krokietem z nadzieniem z kapusty kiszanej i najprawdziwszych prawdziwków. Krztuszę się barszczem (nie z torebki) i strącam pod stół świąteczny widelec. Usiłuję bić się w pierś, aby odzyskać odrobinę powietrza niezbędną do oddychania, ale moich zabiegów nikt nie dostrzega. Matka i Marek mierzą się twardymi spojrzeniami, choć ich oblicza opromieniają złociste uśmiechy. A to zagiął mamusię, szczwany lis!

Moje działania zauważa wreszcie ojciec, który pomiędzy jednym kęsem a drugim pyta opanowanym tonem:

– Podać ci wody, Kalinko?

Dopiero teraz matka i Marek dostrzegają powód mojego braku zaangażowania w rodzinną dyskusję. Spoglądają na mnie cokolwiek zirytowani, że przerywam im ten pasjonujący pojedynek na siłę spojrzeń. W końcu Marek delikatnie poklepuje mnie po łopacie, a matka udziela troskliwej rady:

– Nie łykaj takich wielkich kawałków, bo się udławisz!

Po tak czułym przemówieniu opada mi wszystko, co opaść może, łącznie z apetytem. Odsuwam od siebie talerzyk i ocieram

usta serwetką w kwiecisty wzorek (lnianą, wykrochmaloną, nie papierową). Bez słowa obserwuję spektakl, w którym aktorami są moja rodzicielka oraz ukochany mężczyzna.

– Muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie, Mareczku. – Ton matki stracił na słodkości. Już nie przypomina krówki ciągutki, raczej dość kwaśną landrynkę. – Rozumiem, że chcecie rozpocząć wspólne życie. Ale zamieszkać razem?

– Na ogół na tym polega wspólne życie – mówi wesoło Marek. – Na wspólnym mieszkaniu.

– Ale to nie po bożemu!

– Nie po bożemu jest to, że dorosła kobieta wciąż mieszka z rodzicami. Nie po to Pan Bóg stworzył kobietę i mężczyznę – oświadcza Marek, który na pewne kwestie ma zdecydowane poglądy. Widzę wyraz konsternacji na twarzy mojej matki i zaczynam się dobrze bawić.

– No ale co powie ksiądz proboszcz? – Wyraźnie martwi się moja rodzicielka.

– O, księdzem proboszczem się nie przejmuj! – wtrącam. – Akurat on powiedział, że popiera.

– Proszę?! – Matkę oblewa zimny pot. – Jak to popiera? Życie w grzechu popiera?!

– No, może nie popiera... – szukam właściwych słów. – Ale powiedział, że tym razem się nie będzie mieszał. Mówi, że mieszkanie z poprzednim stanowczo mi odradzał, niby że będziemy poznawać się po ślubie. I o mało co nie słałabym paczek do kryminału. Bardzo się przejął. Mówi, że tym razem nie będzie się wtrącał.

Poprzednim, czyli moim eksnarzeczonym, Patrykiem Cieplakiem pseudonim Cieplarnia. Niewiernym eksnarzeczonym, którego musiałam porzucić przed ołtarzem, kiedy okazało się, że skutecznie zaokrąglił w talii moją

przyjaciółkę Jolę. To zdarzenie zapoczątkowało lawinę innych, w wyniku których trafiłam do dworku w Kamionkach, stałam się malarką laikiem, trenerką asystentką, a w końcu również detektywem amatorem. W Kamionkach poznałam również Marka, który incognito rozpracowywał szajkę handlarzy skradzionymi dziełami sztuki, Patryka vel Ciepłarnię między innymi.

– Świat staje na głowie. – Moja matka wyraźnie zdegrustowana chowa twarz w dłoniach. – Cóż, ja przeszkadzać wam nie będę, jednakże zachęcać Kalinki do grzechu również nie. Jak to wygląda, tak bez ślubu?

– A kto powiedział, że bez? – Marek uśmiecha się szelmowsko.

Tym razem nie mam czym się zakrztusić, więc zanoszę się suchym kaszlem. Matka posyła mi pełne irytacji spojrzenie, po czym całe swoje zainteresowanie przerzuca na Marka, nachylając się w jego kierunku nad stołem nakrytym sztywno wyprasowanym obrusem.

– Mam rozumieć, że są już jakieś plany? – Jej ton wyraźnie się ociepla, być może nie jest jeszcze krówką ciągutką, ale oscyluje gdzieś w okolicach raczków z Wawelu.

– Będą, będą plany. W tej kwestii także liczę na wsparcie mamusi, bo Kalinka oporna, niestety – oświadcza Marek zbolalym tonem.

W tym momencie spojrzenia dwóch par oczu wędrują w moim kierunku, a do mnie dociera, jak czuje się motyl przyszpilony do kartonika kawałkiem drutu. Szare oczy mojej matki ciskają gromy, bo jak można odrzucać propozycję małżeństwa, kiedy ma się dwadzieścia osiem lat na karku, początki cellulitu i kilka siwych włosów nad uchem? Błękitne oczy Marka wypełniają figlarne diabliki, wszak kilkakrotnie

ostrzegał mnie, że jeśli nie zgodzę się z nim zamieszkać, wydobędzie ciężką artylerię, ale nie podejrzewałam, że tą artylerią będzie moja własna matka! Wiję się pod obstrzałem ich spojrzeń, ale na szczęście w sukurs przychodzi mi ojciec.

– Mamy jeszcze barszczyk? – pyta.

Godzinkę później przechadzamy się z Markiem po pobliskim parku, obserwując gruchające gołąbki i pary. To już niemal nasz stały niedzielny rytuał: spotykamy się w moim mieszkaniu, zjadamy z rodzicami to, co pysznego akurat przyrządziła matka, a następnie spacerujemy, by uciec przed jej wścibskim spojrzeniem i przy okazji spalić nieco kalorii, bo kuchnia mojej rodzicielki do dietetycznych się niestety nie zalicza. Później idziemy na kawę albo do kina, jeszcze później jedziemy do Marka, który pomyślnie mieszka sam i spędzamy wieczór w sposób, który moja matka podsumowałaby słowem na g. I pokropiła święconą wodą, naturalnie.

Tym razem nie myślę o niczym na g, moją uwagę całkowicie zaprzęta rozmowa, która odbyła się przy stole. Myśl, by codziennie mieć obok siebie Marka, zasypiać i budzić się obok niego, jest kusząca. To myśl z gatunku tych, które powodują u mnie głupawy uśmiezek i cielece spojrzenie. Od momentu, kiedy pojawił się w moim życiu, minie wkrótce rok. Rok pełen spotkań, śmiechu, żartów, czułości, miłości, namiętności... Plus naturalnie złości, irytacji, przepychanek słownych – cóż, w codziennym życiu nie ma lekko. Nawet najpiękniejszy książę potrafi podnieść kobiecie ciśnienie

i sprawić, że ta chce dmuchnąć, chuchnąć i tupnąć jak zły wilk w bajce o trzech świnkach.

A nasza historia od początku była inna, co teraz przywołuję w myślach z uśmiechem. Jak wspomniałam, Marek przybył do dworku w Kamionkach w roli detektywa rozpracowującego szajkę złodziei dzieł sztuki. Aby móc przebywać tam zupełnie incognito, podał się za malarza odnawiającego freski.

Tymczasem ja uznałam, że na pewno jest jednym z rzeźmieszków, którzy wcześniej włamali się do dworku i polowali na cenny obraz mający powrócić z renowacji. Postanowiłam Marka zdemaskować i unieszkodliwić. Z ciężkim sercem, bo coś między nami zaiskrzyło, i z ciężką encyklopedią ruszyłam na odsiecz kamionkowskim zabytkom. Marek dostał w łeb, a wówczas okazało się, że za włamaniem stał mój wiarołomny eksnarzeczony, który akurat dziwnym zbiegiem okoliczności przebywał w spa. Na szczęście Marek nie chowa urazy, choć nie raz w żartach wypomina mi, że mam nie tylko ciężki charakter, ale i rękę.

Po powrocie z Kamionek zacieśniliśmy nasze kontakty, początkowo na przesłuchaniach na komendzie, następnie na spacerach i w kawiarniach, a jeszcze później w zaciszu Markowego mieszkania. I choć jest wspaniale i czuję, że kocham go z całego serca, to jednak mój spostrzegawczy detektyw nie kłamie: jestem oporna. Po przygodach z Patrykiem Cieplakiem, który nie dość, że okazał się bawidamkiem, Casanovą i reproduktorem dzieci, to jeszcze pospolitym przestępcą, mam obawy i nie umiem tak do końca zaufać żadnemu mężczyźnie. To trochę na zasadzie: chciałabym, a boję się.

Tymczasem on wyczuwa mój nastrój i przyciąga do siebie.
– I co powiesz, hrabianko? – Często mnie tak nazywa,

nawiązując do naszej kamionkowskiej historii.

– Powiem, że moja matka dostanie przez ciebie nadkwasoty – kręcę głową.

– Niemożliwe. Była zachwycona. Mam do niej mówić *mamo*, sama słyszałaś!

– Przez ciebie spędzi pół nocy, siedząc przy kuchennym stole i spisując listę dalekich krewnych, których koniecznie trzeba zaprosić na wesele. Nie miałaś z czym wyskoczyć, tylko z tym, że mamy *plany*?

– A nie mamy? – śmieje się.

– Zastawiłeś na mnie pułapkę. – Celuję w niego palcem i mrużę złowieszczo oko podmalowane metalicznym cieniem. – Wcale się nie zdziwię, jeśli po powrocie do domu zastanę spakowane walizki i nakaz eksmisji z rodzicielskiego gniazdka. Moja matka sprzedałaby mnie arabskiemu szejkowi, jeśli gwarantowałoby to, że nie zostanę starą panną!

– Jeśli zastaniesz w przedpokoju walizki – Marek przyciąga mnie jeszcze mocniej i całuje za uchem, tam gdzie, nie ukrywam, bardzo lubię – to ja udzielę ci schronienia. Mam przestronne mieszkanie i popatrz, jesteśmy bardzo blisko? Może zajrzemy tam na chwilkę?

Kręcę głową, udając oburzenie, ale już czuję te motylki. To są podstępne bestie, te motylki. Nigdy im nie ufajcie. Kiedy po czasie wychodzimy z mieszkania, jedziemy po moje walizki.

Mieszkamy sobie razem – Marek i ja.

Minęły dwa miesiące, nadszedł sierpień, a mimo to ta myśl

wciąż wzbudza we mnie entuzjazm i szczerzenie zębów. Robię to przed lustrem, na wszelki wypadek, żeby nie wyglądało dziwnie. Kiedy mieszka się z kimś, trzeba bardzo uważać, kiedy szczyrzy się zęby, co się mówi, gdzie się drapie i co się je. Pierwszą czynnością, jaką wykonałam po przeprowadzce do Marka, było zawieszenie dużego lustra w przedpokoju. Marek przyglądał się temu odrobinę skonfundowany.

– Przecież mamy lustro! – zawołał.

– To nie jest lustro, to jest kawałek lustra – obwieściłam stanowczo, delikatnie obwijając gazetą kwadrat szkła o wymiarach piętnaście na piętnaście. Przy takim maleństwie można przyglądzić dłonią włosy albo sprawdzić przed wyjściem z domu, czy pod nosem nie zostały wąsy po ketchupie. Ale z pewnością nie można się podmalować, uczesać, zawiązać apaszki w artystyczny węzeł. I porządnie wyszczerzyć zębów też nie można.

Na szczęście Marek jest inteligentnym mężczyzną i pozostawił mi pełną swobodę. Nie znaczy to, że już pierwszego dnia wyrzuciłam na śmietnik dotychczasowe wyposażenie i pobiegłam z wywieszonym językiem do salonu meblowego. Naturalnie, że nie. Po prostu potrzebowałam czasu, żeby oswoić się z nowym wnętrzem. Poznawałam je powoli i nieufnie, jak pies przyniesiony ze schroniska. I podobnie jak pies znajduje sobie ulubione legowisko, ja także natrafiłam na swoje miejsce w nowym domu. Wykuszowe okno w dużym pokoju wyściełałam miękkimi poduchami, lubię spędzać tam deszczowe ranki. Patrzę na zalane wodą ulice, popijam kawę z mlekiem z dużego kubka i czytam albo szkicuję. Pobyt w Kamionkach obudził we mnie artystyczną duszę!

Uwielbiam nasze wspólne mieszkanie. Uwielbiam poranki w łóżku. Markową jajecznicę z zawartością lodówki, czyli

wszystkim, co do jajecznicy można wrzucić. Łaciatą surfinię, którą przynieśliśmy z Kleparza i wspólnie posadziliśmy w pojemniku po kilogramowym twarożku. Uwielbiam nocny stół zawalony książkami i nie wkurza mnie nawet to, że Marek wiecznie przykłada Stephenem Kingiem moją Norę Roberts. Już wiem, że zmywarka zaczyna działać po solidnym kopniaku, a pralki lepiej nie tykać w deszczowe dni, bo też potrafi kopać jak zawodowy kickbokser.

Nie lubię za to samotnych wieczorów, kiedy Marek pracuje do późna. Akcja w Kamionkach była jego ostatnią. Po doprowadzeniu sprawy do końca zdecydował się odejść z policji i założyć własną agencję detektywistyczną. Teraz pociesza zdradzane żony, śledzi zdradzających mężów, a nawet poszukuje zaginionych emerytów. I często znika na długie godziny lub co gorsza dni.

Jest jedna rzecz, której nie lubię równie mocno, jak wieczornych nieobecności Marka. To naloty mojej własnej rodzicielki, która odwiedza nas z częstotliwością niemal dorównującą reklamom w programie telewizyjnym. Na nieszczęście mieszkanie rodziców jest zaledwie kilka ulic dalej, zatem niezapowiedziane wizyty nie stanowią dla matki problemu. Stanowią jednak wielki problem dla mnie. Niemal każda z nich kończy się kłótnią.

Według ojca matka nie potrafi poradzić sobie z faktem, że jej pisklątko wyleciało z gniazdka. Według mnie matka nie potrafi poradzić sobie z faktem, że przed wylotem z gniazdka

pisklę nie zostało należycie zaobrączkowane. Marek, zwany w moim rodzinnym domu Mareczkiem, został obecnie sprowadzony do rangi drapieży, który pisklę zbałamucił, oskubał z co ładniejszych piórek i uprowadził. Chwilowo krokieciki poszły w odstawkę, a niedzielne obiady witają nas resztkami pomidorowej z ryżem.

Uraza matrymonialna, jak w duchu nazywam stan, w który zapadła zacna matrona, nie przeszkadza jej nawiedzać naszego gniazda rozpusty i rzucać czujnym okiem po wszystkich kątach. Czyni to na tyle dyskretnie, że nie sposób jej na tym przyłapać, niemniej wciąż zdradzają ją jakieś szczegóły. A to sześć rolek papieru toaletowego ostentacyjnie położonych na kuchennym stole, a to delikatna sugestia, że skoro zepsuł nam się odkurzacz, najwyższa pora przeprosić się ze zmiotką...

Dziś subtelność matki zostaje wystawiona na próbę, bo obok filiżanki z jej ulubioną kawą stawiam talerzyk z kupnymi ciastkami. Patrzą, jak ostrożnie bierze w dwa palce kruchy herbatnik i obraca go przed oczami z niesmakiem wypisanym na twarzy. Ostatecznie ciasteczko ląduje na spodeczku, a matka wyciera dłonie chusteczką. Z jej piersi dobywa się żalostne westchnienie.

– Jeżeli już naprawdę musisz kupować ciastka, rób to przynajmniej w dobrej cukierni, a nie w pierwszym lepszym markecie – mówi.

– Wcale nie w pierwszym lepszym! – Jestem urażona. – Zawsze robimy zakupy w...

– I czy naprawdę nie mogłabyś piec ciasteczek według przepisu babci Leokadii? Mężczyźni nie lubią byle jakiego jedzenia. Nic dziwnego, że Marek nie chce się z tobą ożenić. – Posyła mi czujne spojrzenie.

Uśmiecham się w głąb kubka, z którego właśnie upijam

solidny łyk białej kawy. To stała zagrywka mojej matki, która ma sprowadzić rozmowę na tematy ślubne i pomóc jej ustalić, czy zostały już poczynione jakieś plany, o których nie została poinformowana. Matka potrafi nawiązać do mojego stanu cywilnego w rozmowie o zepsutym samochodzie („Mężatki mogą przynajmniej liczyć na pomoc męża, kiedy coś im stuka pod maską...”), monarchii brytyjskiej („Replika sukni ślubnej księżnej Kate wisi na wystawie ciucholandu na Królewskiej!”), wygranej w totolotka („Z takimi pieniędzmi nawet męża nie trzeba szukać!”), poziomu edukacji („Być może dzieci twoje i Marka zahaczą o reformę szkolnictwa...”), sąsiadki, która spadła ze schodów („Gdyby miała męża, to przecież posłałaby go po kompot do piwnicy!”), a nawet bankructwa lokalnego biznesmena („Mógł lepiej inwestować w branżę ślubną, na tym to zarobiłby kokosy...”). Przyzwyczyłam się i nawet jeśli odrobinę irytują mnie te uszczypliwości i próby inwigilacji, nie dają tego po sobie poznać. Nie radzi sobie z nimi z kolei Marek, który najchętniej zaobrączkowałby uwiedzioną ptaszynę, tylko nie za bardzo wie jak.

– Ale naprawdę nie ma takiej potrzeby, mamó! My bardzo rzadko jadamy słodczy. Musisz wiedzieć, że te ciasteczka kupiłam specjalnie dla ciebie, bo wiem, jak lubisz słodkie do kawy! – Uśmiecham się niewinnie.

– Obawiam się, że wy to w ogóle mało jadacie! – prychnęła zirytowana rodzicielka. – Według mnie Marek nieco zmizerniał.

– Zmizerniał, bo bardzo dużo pracuje! – Jestem zdecydowana bronić własną pierśią ukochanego i opinii o mnie samej, jako że matka wyraźnie insynuuje, że Marek mizernieje przez moje zaniedbania.

– Pracuje, pracuje. Nie samą pracą człowiek żyje. W życiu liczy się rodzina, dom, dzieci. Kiedy wy to w końcu

zrozumiecie?

– Ależ my to doskonale rozumiemy! Spędzamy razem tyle czasu, ile tylko się da!

– Przecież wiesz, że ja nie o tym mówię. – Matka wpada w żałobne tony. – Martwię się o ciebie, bo lata upływają, a twoje życie jest w rozsypce. Tak wiele czasu straciłaś na tego buca, tego zramolałego Casanovę od siedmiu boleści. Już ja bym mu powiedziała, co o nim myślę. Ale nie zgodził się mnie wpisać na listę odwiedzających.

– Mamo, powiedz, że tego nie zrobiłaś! – Krztuszę się kawą. Matka przybiera skruszoną minkę.

– Chciałam z nim tylko porozmawiać! Zresztą i tak się nie zgodził, więc naprawdę nie ma o czym mówić.

– Mamo, nie wolno ci robić takich rzeczy! Przecież ja byłam świadkiem w jego sprawie!

– No i co z tego? Mnie nikt nie przesłuchał, a też miałam parę rzeczy do powiedzenia. I jeszcze jest ta... Jolka. – Imię mojej wiarołomnej przyjaciółki matka wymawia takim tonem, jakby do języka przykleił jej się kawałek kociego gówienka. – Wskoczyła mu do łóżka, jak pierwsza lepsza, zaszła z nim w ciążę, a potem miała czelność zjawić się na ślubie. A ty wciąż się z nią zadajesz!

– Zadaję, bo Natalka jest moją chrześnicą. Poza tym ja wybaczyłam Jolce. Twierdzi, że przyćmiło ją po solarium. I ja jej wierzę. W tamtym okresie chodziła brązowa jak Murzyn! Przepraszam: Afroamerykanin – poprawiam się pospiesznie, by nie zostać uznaną za niepoprawną politycznie.

– Szkoda, że nie przymknęła się w tym solarium na trochę dłużej. Zrobiłyby się z niej skwareczki. Choć, jak żyję, skwarków z flądry nie widziałam. – Matka pociąga nosem, po czym sięga po kruche ciasteczko i przygryza, sypiąc naokoło

okruszkami. Nagle krzywi się i spogląda na mnie wymownie. – Takimi ciastkami to Jolkę możesz poczęstować. A teraz weź kartkę, długopis i zapisz przepis na ciasto kruche. To lekarstwo na wszelkie bolączki tego świata – poucza.

Rozdział 2

Tydzień później okazuje się, że swoje mądrości o kruchych ciasteczkach i ich niezwykłych właściwościach niwelowania wszelkich bolączek tego świata matka może schować sobie bardzo głęboko. Proponuję najniższą półkę w zawalonej szpargałami piwnicy, tak by już nigdy nie zostały odnalezione.

A dzień zaczyna się nad wyraz dobrze. Marek wychodzi

później do pracy, więc z rana pijemy razem kawę i jemy śniadanie. Gawędzimy o zbliżającym się urlopie i zastanawiamy się, czy poświęcić cały na wizytę w Kamionkach, czy jednak podzielić wolny czas i wyskoczyć w jakieś ładne i romantyczne miejsce, gdzie będziemy sami i tylko sami. Później pan detektyw cmoka mnie w czubek nosa, jak ma w zwyczaju i wychodzi do pracy, dzierżąc pod pachą plastikową tackę z kruchymi ciasteczkami mojego osobistego wypieku.

Taka sama tacka spoczywa grzecznie na blacie w kuchni i oczekuje, aż zawinę ją we folię spożywczą i zabiorę ze sobą do biblioteki, a następnie postawię przed zachwyconymi koleżankami. Odkąd matka pod groźbą, że nie opuści naszego mieszkania, póki nie nauczę się piec kruchych ciasteczek, wymusiła na mnie przyspieszony kurs cukierniczy, jestem mistrzem kruchego ciasta. Moimi wypiekami zachwycają się przyjaciółki, współpracownice, a nawet dzieci przychodzące do biblioteki po kolejne części Harry'ego Pottera. Z tego zachwytu czasami zapominają książek zabrać do domu.

Uzbrojona w tackę zamykam mieszkanie i biegnę do pracy. Jestem już nieco spóźniona. Odkąd mieszkam z Markiem, zdarza mi się to zbyt często, jednak na moje szczęście kierowniczka spóźnia się jeszcze częściej. Pozostaje mieć nadzieję, że i tym razem zdążę zająć swoje miejsce, nim wkroczy do biblioteki.

Tego dnia jednak nie dopisuje mi szczęście. Pospiesznie zmieniam w szatni obuwie na wygodniejsze balerinki i wbiegam do swojej sali. Już od progu zauważam, że panuje dziwnie gęsta atmosfera. Koleżanka, z którą pracuję tutaj od kilku miesięcy, podnosi znad klawiatury przestraszone oczy i łamiącym się głosem oznajmia:

- Kierowniczka o ciebie pytała!
- O kurczę! – Czuję, że nagle robi mi się bardzo gorąco. –

Przecież nie spóźniłam się znowu tak dużo! – jęczę, odstawiając tackę z ciasteczkami na biurko i ocierając twarz chusteczką higieniczną.

– Chyba nie chodzi o spóźnienie – kręci głową.

– A o co? – dopytuję niespokojnie.

– Nie wiem – wzrusza ramionami. Mam wrażenie, że mija się z prawdą. Nagle dopada mnie olśnienie! Czy kierowniczka nie wspominała, że szykują się awanse i będzie intensywnie przyglądać się naszej pracy? Spoglądam zagadkowo na pociągającą nosem koleżankę i wszystko staje się dla mnie jasne! To oczywiste, że nie została doceniona i teraz się chmurzy. Za to ja... czyżbym miała dostać awans?

Chwytam oburącz tackę z ciastkami i pędzę jak na skrzydłach do gabinetu pani dyrektor. Stukam do drzwi mocno, jak lubi i czekam na zachęcające do wejścia „proszę”. Następnie wchodzę do środka z promienną miną i wyciągniętymi przed sobą ciastkami, z których pospiesznie zerwałam zębami folię.

Gabinet dyrektorki wypełniają książki. Tłoczą się one na wysokich regałach sosnowych, podręcznym biurku, a nawet zalegają w niewielkich stosikach na podłodze. Samej dyrektorki zza książek niemal nie widać, jednak gdzieś tutaj musi być, ponieważ dobiega do mnie jej głos. Ostrożnie manewruję między meblami, tak by nie stracić kupek lektur i zbliżam się do miejsca, w którym szefowa zasiada w obrotowym krześle. Kiedy staję przed nią, przez chwilę przygląda mi się z dziwną miną, reflektuję się, że wciąż trzymam przed sobą ciasteczka. Podsuwam je dyrektorce pod nos, ale opędza się, jak od natrętnej muchy. „Oho – myślę sobie – chyba nie lubi kruchych. Trzeba poprosić matkę o inny przepis.”

– Przepraszam za spóźnienie – wyrywa mi się. Dyrektorka macha ręką lekceważąco.

– W tej sytuacji to już nieważne, pani Kalinko. Mamy istotniejsze sprawy do omówienia.

– Słucham. – Uśmiecham się najszerszej, jak potrafię.

– Hm, powiem tak. Nasza placówka staje przed bardzo ważną próbą. Ode mnie jako od dyrektorki wymagano, żebym dokonała słusznego wyboru.

Słucham dyrektorki jednym uchem, ale myślami powoli odpływam. Dumam nad tym, że niełatwo było mi wybrać zawodową drogę, którą podążę. Nad katalogiem uczelni wyższych spędziłam chyba dwie noce, zanim zdecydowałam się na bibliotekoznawstwo. Tak naprawdę namówiła mnie koleżanka z liceum, mówiąc: „Spójrz, to wymarzone studia dla nas! Całymi dniami będziemy siedzieć wśród książek i czytać!”. To była kusząca wizja i w końcu uległam. Na studiach okazało się, że tak kolorowo i łatwo to nie będzie, jednak ostatecznie jestem bardzo zadowolona z wyboru. Wreszcie, po długim czasie poszukiwań, odwiedzania pośredniaka i zaciskania zębów, mam pracę, którą lubię, a na dodatek okazuje się, że świetnie sobie radzę i już wkrótce – po niepełnym roku od zatrudnienia, zostanę doceniona i otrzymam awans!

Tymczasem dyrektorka powoli kończy swoje przemówienie i spogląda na mnie wyczekująco.

– I jak się pani na to zapatruje, pani Kalinko?

– Bardzo się cieszę! – oświadczam z entuzjazmem potwierdzającym stan mego ducha.

– Cieszy się pani? – Dyrektorka robi wrażenie lekko skonfundowanej. – Dlaczego?

– A... dlaczego nie? – Czuję pierwsze ukłucie niepokoju. Trzeba było słuchać, gdy przemawiała, a nie bujać w obłokach.

– Tłumaczę pani, że nie mam wyjścia i z powodu ograniczonych środków finansowych muszę dokonać redukcji

etatów. Inaczej mówiąc, zwolnić.

– Przepraszam, ale kogo zwolnić? – Coraz mniej podoba mi się ta rozmowa.

– No panią! – Dyrektorka najwyraźniej traci do mnie cierpliwość. – Jednak niepotrzebnie obawiałam się pani reakcji, bo pani mówi, że się cieszy... – dodaje lekko urażonym tonem. Najwyraźniej mój entuzjazm dotyczący utraty zatrudnienia jest osobistą ujmą dla niej jako przełożonej.

– Hm, rzeczywiście – zastanawiam się, jak wybrnąć z tej głupiej sytuacji, aby nie wyjść na stukniętą, a równocześnie nie rozplakać się w głos. A muszę przyznać, że niewiele mi już brakuje. Tak się cieszyłam, że wszystko układa się po mojej myśli. Marek, praca, mieszkanie, teraz jeszcze awans mi się zamarzył.

– Niestety, zdecydowano zamknąć nasz oddział, ponieważ nie mamy zbyt wielu czytelników. Ostatnio nawet dzieci przestały wypożyczać Pottera, pewnie ściągają e-booki z chomika, niecnoty jedne! – tłumaczy mi gorączkowo szefowa. – Starszych stażem pracowników przeniesiono do innych bibliotek, ale pani, niestety, ma umowę tylko do końca sierpnia, zatem zdecydowano jej nie przedłużać.

– Rozumiem. – Wpatruję się tępym wzrokiem w kruche ciasteczka i w myślach oskarżam je o wszelkie nieszczęścia tego świata: okrągłe uda, brak wcięcia w talii, cukrzycę, miażdżycę i brak zainteresowania Harrym Potterem. Jak moja matka coś wymyśli, można być pewnym, że wyniknie z tego katastrofa.

– Może dopełnimy formalności? Od jutra pójdzie sobie pani na urlopik. – Pośpiech dyrektorki wskazuje, że chce mnie jak najszybciej wypchnąć z gabinetu.

– Oczywiście. – Podpisuję podsunięte wypowiedzenie i prostuję się z dzielnym uśmiechem. – Dziękuję i do widzenia. –

Dygam grzecznie i biegnę do drzwi.

– Pani Kalinko?

– Tak? – Zawracam z miną pełną nadziei. Może ma dla mnie jakąś propozycję? Szuka kogoś do mycia okien, namalowania fresku albo wyprowadzania psa? Zawsze chciałam mieć psa.

– Te ciasteczka są, zdaje się, dla mnie? Proszę je tutaj postawić! – Uśmiecha się słodko i nieomal oblizuje.

Spełniam jej prośbę z krzywym uśmiechem.

Już nigdy nie wezmę do ust kruchego ciasteczka!

Po powrocie z biura Marek zastaje mnie, delikatnie mówiąc, w nieciekawej formie. Siedzę pośrodku dużego pokoju i wyję niczym wilk do księżyca. Tyle że w moim przypadku księżyc zastępuje okrągła kula żyrandola. Poza tym mam na sobie szlafrok, jestem zasmarkana i potargana, a wokół mnie walają się papierki po czekoladkach. To są prawdziwe słodczyce, a nie jakieś tam ciasteczka!

Początkowo Marek wpada w popłoch i ogląda się w stronę drzwi wyjściowych, jakby nie mógł się zdecydować, czy trafił do dobrego mieszkania lub czy zdąży się ulotnić. Nowy potok łez i jęków z mojej strony skłania go jednak do podejścia i wydobycia ze mnie informacji, cóż takiego tragicznego się stało.

– I cóż takiego tragicznego się stało? – pyta z dziwnym uśmiechem, kiedy wykładam przed nim powód mojej rozpacz.

- Jak to: co się stało? Przecież zostałam zwolniona!
- Kochanie, to w tej chwili naprawdę żaden problem.

Uwierz mi.

– Ale jak to: żaden problem? Jak możesz nie dostrzegać problemu? – Zalewam się nowym potokiem łez, bo nie dość, że nie mam pracy, to jeszcze mam faceta, który w ogóle mnie nie rozumie.

– Jesteś młoda i zdrowa, bez problemu znajdziesz inną pracę. Masz gdzie mieszkać i co jeść. Czym się martwisz?

– No bo... ona mnie nie chciałaaaaaa!

– Po prostu nie potrafiła docenić, jaka jesteś wspaniała. – Przez zasłonę z łez widzę, jak Marek wstaje z podłogi i zmierza do kuchni z tym swoim ironicznym uśmiezkiem. Po chwili do moich uszu dobiegają odgłosy jego krzątania. Nalewa wody do czajnika, zapala gaz i wyjmuje z szafki kubki. A potem wraca do pokoju i dodaje:

– Przecież byłaś pracownikiem idealnym, prawda?

– Właśnie – kiwam głową z entuzjazmem.

– W pracy zawsze przed czasem...

– Aha.

– I nie podczytywałaś w godzinach pracy romansów, jak niektóre twoje koleżanki.

– No...

– Nigdy nie zdarzało ci się wyjść wcześniej niż powinnaś.

– Marek?

– Słucham, hrabianko?

– Jesteś niemożliwy, wiesz? – Celuję w niego palcem. – Wiedz, panie idealny, że byłam bardzo dobrym pracownikiem. Pieklam nawet ciasteczka dla dzieci przychodzących do biblioteki!

Marek śmieje się i mocno mnie przytula. Kiedy znajduję się

blisko niego, czuję, że wszystko będzie w porządku. Przez chwilę siedzimy i cieszymy się swoją bliskością, jednak sielską atmosferę przerywa dzwonek Markowej komórki.

– Och, nie – jęczę. – Tylko nie z pracy!

– Nie jęcz! – strofuje mnie. – Teraz mam utrzymanie, muszę porządnie zarabiać!

Częstuję go kuksańcem w bok i obserwuję, jak podnosi telefon do ucha.

– O witam mamusię – szczerzy do mnie śnieżnobiałe zęby. Pospiesznie wykonuję gest, który ma oznaczać, że nie chcę rozmawiać z moją rodzicielką, że najlepiej to mnie nie ma w domu i jeśli tego nie załatwi, jak trzeba, będzie martwy. Marek jednak wcale nie ma ochoty wręczać mi telefonu, przez chwilę słucha paplaniny matki, by w końcu dojść do głosu. – Z Kalinką wszystko w porządku, pewnie rozładowała się jej komórka. – Podnoszę w górę kciuk na znak, że dobrze sobie radzi, ale okazuje się, że to nie koniec rozmowy. – Nie, naprawdę wszystko z nią w porządku, co prawda zwolnili ją z pracy, ale radzi sobie doskonale – temperatura mojego spojrzenia powinna ściąć mu krew w żyłach. Wyciągam rękę i usiłuję zabrać mu telefon, ale więzi mnie ramieniem. – Tak, oczywiście, że zjadła czekoladę. Nie, nie trzeba przyjeżdżać, a już na pewno nie z ciasteczkami domowego wypieku, ona ma ich teraz po same uszy. Nie, naprawdę nie trzeba. Tak, ja też uważam, że praca kobiecie wcale nie jest do niczego potrzebna, co innego mąż i dzieci. Tak, pocieszam, jak mogę! Przytulam, oczywiście, a zaraz zrobię kanapki. Dobrze, z serkiem żółtym i pomidorkiem. Dobrze, powtórzę. Ściskam – przerywa połączenie i wstaje z kanapy, by wyłączyć gwizdzący w kuchni czajnik.

Po chwili wraca z dwoma kubkami owocowej herbaty.

Oczywiście nic nie mówi, chociaż wie, że zżera mnie ciekawość, co na to wszystko powiedziała matka! Mam jednak swoją dumę, nie zapytam. Upijam łyżeczek herbaty i spoglądam na niego chmurnie.

– Co mówiła?

– Mamusia? Kazała cię uściskać i powiedzieć, że wspiera cię dobrą myślą.

– Naprawdę?

– Naprawdę – kiwa głową. – I jeszcze coś.

– Co?

– Że zawsze mogło być gorzej. Przynajmniej nie musisz posyłać paczek do więzienia.

Okazuje się, że Marek nie ma racji i szukanie pracy wcale nie idzie mi jak po maśle. Tydzień wertowania ogłoszeń w codziennej prasie i internecie nie przynosi żadnych efektów. Nikt nie potrzebuje bibliotekarki, nawet jeśli piecze pyszne kruche ciasteczka i potrafi od ręki malować piękne freski. Niepowodzenia sprawiają, że staję się marudna i drażliwa.

– Może ty w ciąży jesteś? – pyta dociekliwie matka, która wpada do nas każdego popołudnia, aby wraz ze mną utyskiwać na nieudolność rządu i niestabilność rynku pracy.

– Nie jestem! – oświadczam, zgrzytając zębami.

– Zachowujesz się, jakbyś jednak była. Na twoim miejscu zainwestowałabym w test.

– Nie mam pracy!

– Dyszką mogę cię poratować. – Matka najwyraźniej

dochodzi do wniosku, że brak pracy wiąże się u mnie z brakiem funduszy na test ciążowy i pospiesznie gmera w zagraconej torebce w poszukiwaniu portmonetki. Widząc moje lodowate spojrzenie, porzuca jednak swój pierwotny zamysł i ostatecznie na blacie stołu kładzie dezodorant w kulce. – Gorąco dziś – mamrocze sama do siebie, machając brzegiem bluzeczki w lamparcie cętki.

– Nie potrzebuję pieniędzy, tylko zajęcia! – tłumaczę jej płaczącym tonem. – Marek przepada w biurze na całe dni, a ja nie umiem znaleźć sobie miejsca. Chcę robić coś pożytecznego. Czuć się potrzebna i spełniona.

Odwracam się do matki plecami i schylam do piekarnika, gdzie właśnie dochodzą apetycznie pachnące kruche ciasteczka z wiórkami czekoladowymi. Przez brak zajęcia piekę i piekę. Opanowałam już ciastka kruche, rogaliki drożdżowe i półfrancuskie. Swoimi wypiekami zastawiłam wszystkie szafki kuchenne i przestawiłam guzik w ulubionych džinsach. Marek również twierdzi, że jakoś ostatnio mu ciężiej. A komu w dzisiejszych czasach jest lekko, pytam się? Na pewno nie pozbawionym pracy!

– A Marek nie może zabrać cię do siebie? – Matka wypowiada pytanie, nad którym głowię się niemal od tygodnia.

– Nie może – odpowiadam krótko i wracam myślami do rozmowy, w której wyszłam z tą samą propozycją. Moja sugestia spowodowała u Marka atak paniki. Najpierw zbladł, następnie poczerwieniał, a na koniec oświadczył, że jeśli potrzebuję pieniędzy, mam mu powiedzieć. „Ale ja chcę pracować, a nie dostawać pieniądze!” – zawołałam żałośnie. „Ty i ja w jednym biurze? To nie jest najlepszy pomysł, hrabianko!”. „Ale dlaczego? Sam mówiłeś, że nie ma kto odbierać telefonów!”. „Kupiliśmy automatyczną sekretarkę!” – uciał

temat mój ukochany i tym to sposobem przegrałam w przedbiegach z kupą żelastwa.

– Ale dlaczego? – Moje własne słowa powielane przez matkę są żywym testem zgodności DNA.

– Ponieważ już kogoś mają. – Naginam prawdę, zgarniając ciasteczka z blachy na specjalną podstawkę do studzenia. Następnie przekładam je do papierowej torebki i wyciągam ją w stronę matki. – Proszę, to dla ciebie!

– Nie, dziękuję, piekłam drożdżowe z kruszonką. Odkąd wyprowadziłaś się z domu, nie ma kto wyjadać resztek ciasta.

Wzruszam ramionami, odkładam torebkę na blat i wyłączam piekarnik. W tej samej chwili rozlega się dzwonek. Zdejmuję kuchenny fartuszek z pszczołką Mają i spieszę otworzyć. Za drzwiami stoi Jolka. Z wysokości jej prawego barku swoje osiem zębów szczerzy Talcia, moja chrześnica. Patrzę na rozpromienioną minę Joli i oblewa mnie zimny pot. Jolka i matka w jednym mieszkaniu? Zastanawiam się, czy po siekaniu i zagniataniu kruchego ciasta pochowałam wszystkie noże.

– No, co tak stoisz i nie wpuszczasz? – dziwi się Jola. Nagle jej wzrok wędruje nad moim ramieniem i najwyraźniej zatrzymuje się na oniemiałej matce, bo twarz Joli pokrywa się purpurą pod warstwą mineralnego fluidu. – Dzień dobry, pani Lucyno – dodaje słabym głosem.

– Był dobry, był. – Matka cmoka z dezaprobatą.

– Może jednak wpadnę potem? – zastanawia się Jola.

– No, coś ty! – Wciągam ją do przedpokoju i posyłam matce upominające spojrzenie. Ta prycha i zarzuca na ramię torebkę.

– I tak już wychodzę. – Matka kieruje się do drzwi, a Jola przywiera plecami do ściany przedpokoju, jakby bała się, że pani

Radecka wbije jej szpikulec do lodu w okolice lewej łopatki. Talka radośnie wierzga tłustymi nóżkami i parska śliną. Matka zatrzymuje się i pochyla w jej stronę z uśmiechem. Obydwie z Jolką wstrzymujemy oddech. – No, śliczna jestem! – dobiega słodziutkie ćwierkanie matki. Uśmiechamy się do siebie z Jolką z wyraźną ulgą, ale w tej samej chwili moja rodzicielka prostuje się i spogląda na matkę dziewczynki oskarżycielsko. – Cały tatuś, cały! – Jakby to była Jolki wina, że dziecko wdało się kolorem oczu i kształtem nosa w Patryka Cieplaka vel Cieplarnię.

Pospiesznie prowadzę Jolkę do kuchni i sadzam za stołem. Natałka rozpoczyna chwiejną wędrówkę po pomieszczeniu i ostatecznie ląduje pupą w jasnej plamie, jaką na wyłożoną płytkami podłogę rzuca leniwe, sierpniowe słońce. Krzątam się, nastawiając wodę na herbatę, równocześnie cmokając radośnie do obślinionej Natałki i nasłuchując, jak moja własna matka kręci się po przedpokoju.

– Wychodzę – obwieszcza gdzieś od drzwi.

I kiedy myślę, że mogę już rozluźnić ściągnięte pośladki, wypuścić zgromadzone w płucach powietrze i poczęstować przyjaciółkę jej ulubioną herbatą earl grey, matka przystępuje do niespodziewanego ataku. Wpada do kuchni i w biegu łapie torebkę ze wzgardzonymi wcześniej ciasteczkami.

– To moje ciastka! – mówi złowieszczo i spogląda na Jolkę takim wzrokiem, jakby ta planowała skonsumować wszystkie ciastka tego świata i nie pozostawić matce ani jednego.

– Przecież ich nie chciałaś! – Patrzę na nią oniemiała.

– Ale zmieniłam zdanie! – warczy matka, po czym uchyla torebkę, wydobywa z niej jedno ciastko i wsuwa w rączkę zachwyconej Talki. Następnie prostuje się dumnie i nie zaszczywszy Jolki jednym spojrzeniem, wychodzi z kuchni

i mieszkania.

– Właściwie to idealnie się składa, że nie masz pracy! – obwieszcza Jolka, odsuwając talerzyk z okruszkami ciastek i poklepując się po zaokrąglonym brzuszku.

– Nie wiem, dla kogo idealnie się składa – burczę. Po spektakularnym wyjściu mojej matki zrobiłam dla nas herbaty i wydobyłam z przepastnych szafek kuchennych upieczone poprzedniego dnia kruche poduszcзки z dżemem truskawkowym. Wspólnymi siłami spałaszowałyśmy z Jolką cały talerz wspomnianych poduszczek, poprawiłyśmy upieczonymi przedwczoraj serduszkami w polewie czekoladowej i popiłyśmy to wszystko dzbankiem smacznej herbaty. Po tak sutym podwieczorku opadamy na poduchy rozrzucone na kanapie, masujemy się po żołądkach i obserwujemy, jak Talka rozkosznie drepcze przy fotelu, podrzucając małą piłeczkę.

– Na przykład dla mnie! – Z gardła Jolki dobywa się słodkie ćwierkanie, którego nie powstydzilyby się gołąbki z bajki o Kopciuszku.

– Zupełnie nie rozumiem, w jakim sensie.

– Poznałam kogoś! – Jola teatralnym gestem wyrzuca ramiona w górę i patrzy spod zakręconych czarnych rzęs, jakie wrażenie czyni swoim wyznaniem. A muszę przyznać, że czyni niemałe!

– To wspaniale! Najwyższa pora, żebyś ułożyła sobie życie! – Moja radość jest szczera. Był okres, kiedy

nienawidziłam Jolki najbardziej żarliwą nienawiścią, jaką potrafiłam z siebie wykrzesać. Po tym jak w kościele wypełnionym weselnymi gośćmi wyjawiała, że spodziewa się dziecka mojego narzeczonego. I jeszcze później, kiedy została żoną mojego już eksnarzeczonego, obnosząc się z okrągłym brzuchem i nie mniej okrągłą obrączką na palcu. Oj, tak. Wówczas moja nienawiść była naprawdę mocna i powodowała u mnie różne, niekoniecznie piękne myśli! Kiedy jednak okazało się, że Patryk nie tylko zdradza Jolkę z piękną Anną Ptak, ale również jest rasowym przestępcą, nienawiść wyparło uczucie żalu i współczucia. Ostateczny rozejm między nami zapanował, kiedy usiadłam przy szpitalnym łóżku rodzącej Jolki, a ona przeprosiła mnie za swoje zachowanie. I jeszcze później, kiedy ze łzami w oczach poprosiła mnie, abym została matką chrzestną jej córki, ponieważ wszyscy się od niej odwrócili, a na domiar złego boi się członków grupy przestępczej, której częścią był ojciec Natalii.

– Mała potrzebuje dobrego tatusia – mówię teraz poważnym tonem. – A ty kogoś, kto się zatroszczy o was obie. Tylko nie za bardzo rozumiem, jak to się wiąże z moim brakiem zatrudnienia.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę! – Jola jest tak podniecona, że nieomal podskakuje na puchatych poduchach kanapy. – Bo Boluś, ten facet, którego poznałam, chce zabrać mnie na romantyczny weekend. Na pewno nie zgadniesz, gdzie! – piszczy.

– Na pewno nie zgadnę – mówię krótko, ponieważ dopada mnie jakieś złe przeczucie.

– Do Kamionek, oczywiście! – Jola patrzy na mnie oskarżycielsko, najwyraźniej powinnam była chociaż spróbować odgadnąć, gdzież to jej nowy wybranek zaplanował ceremonię

uwiedzenia.

– O, no to dobrej zabawy wam życzę, kochana. – Klepię ją po kolanie. – Na pewno będzie wspaniale. I Talci się spodoba! Tam mają przecież kozy i kurki, pamiętasz chyba?

– Naturalnie, że pamiętam. Ale Talcia z nami nie jedzie! – ćwierka Jola, mrugając śliwkową powieką. – To przecież romantyczny weekend *we dwoje*.

– Rozumiem. W pełni popieram – dla poparcia swojego poparcia unoszę dumnie wyprostowany kciuk. – Wobec tego z kim zostawisz małą?

– Z tobą oczywiście!

– Doskonały wybór, będzie jej jak w niebie – unoszę kolejny kciuk, gdy nagle dociera do mnie sens wypowiedzianych przez Jolkę słów. – C-co? Jak to ze mną?

– Jesteś jej ukochaną ciocią, a do tego mamą chrzestną. Nikogo nie kocha tak mocno, jak ciebie – tłumaczy przejęta Jola. – Oczywiście poza mną.

– Oczywiście. – Kiwam głową i z nerwów osuszam pustą filiżankę po herbacie. – I zawsze chętnie się nią opiekuję, kiedy idziesz malować paznokcie, farbować włosy czy depilować bikini. Jednak wybij sobie ze swojej ślicznej główki, że zajmę się nią przez cały weekend. Przecież ja w ogóle nie znam się na dzieciach!

– Ja również się nie znam – wzdycha Jola żałośnie. – A przecież jakoś sobie radzę. W erze pieluch jednorazowych i słoiczków z Rossmanna opieka nad dzieckiem to pikuś – dodaje po chwili, pstrykając palcami.

– Tak, ale to twój pikuś, droga Jolu – uświadamiam jej.

– Nie bądź taka, to także twoja wina, że jestem samotną matką.

– Moja?! Jak to moja?

– Oczywiście, że tak. To ty poznałaś mnie z Patrykiem Cieplakiem i poniekąd jesteś odpowiedzialna za to, że mam z nim dziecko.

– Z pewnością nie jestem odpowiedzialna za to, że się do niego przyssałaś, jak... jak... pijawka.

– Dawne dzieje! – Jola prychna lekceważąco. – Nie możesz zostawić mnie na lodzie. Przecież wiesz, że tak naprawdę mam tylko ciebie!

– Wiem, ale akurat w tym jednym nie mogę ci pomóc. Nie radzę sobie z własnym życiem. Nie mam pracy i źródła dochodu. A miałabym zaopiekować się dzieckiem?

Spojrzenie Joli przybiera wyraz pełen wyrzutu. Przygarnia do siebie córkę.

– W porządku, nie mam do ciebie żalu, mimo że komplikujesz moje życie i przez ciebie zaprzepaszczam nadzieję na stały związek. Pójdziemy sobie. Zrób „papa”, Natałko!

– Pa-pa! – Posłusznie dobywa się ze słodkiego pyszczka.

– Ale... – patrzę skonfundowana na emanującą urazą Jolę. – Nie możesz mieć pretensji o to, że nie jestem w stanie zaopiekować się twoim dzieckiem!

– Nie mam. Ale ty nawet nie chcesz, a to jest poważna różnica.

– Ale...

– Nie kłopotcz się tym, moja droga. Do zobaczenia.

Jola posyła mi zimne spojrzenie i wychodzi. Zostaję sama, z pustą filiżanką w dłoni i talerzykiem pełnym okruszków na kolanach. Nie wiem, co sądzić o zachowaniu przyjaciółki, czuję się zmęczona i stłamszona. Ostatnio nic mi się nie udaje, myślę żałośnie, zlizując okruszki kruchego ciasta.

Z żalem muszę przyznać, że najprawdopodobniej związałam się z najbardziej rasowym przedstawicielem męskiego gatunku. Zapatrzonym w czubek własnego nosa i nic nierobiącym sobie z faktu, że odkąd straciłam pracę, moje życie stanęło na głowie, przez co potrzebuję nieustannego wspierania, pocieszenia, pieszczenia, najlepiej połączonego z drapaniem po plecach i masażem stóp przy zastosowaniu kremu o zapachu kwiatu pomarańczy. Tymczasem Marek z niewzruszoną miną, ironicznym uśmiechem i bezradnie rozłożonymi dłońmi oświadcza mi właśnie, że musi wyjechać w związku z prowadzoną sprawą i najprawdopodobniej nie wróci przed poniedziałkiem.

– Rozumiem, że sobie żartujesz. – Spoglądam na niego z pierwszym błyskiem złości w lewym oku.

– Nie. Dlaczego? – dziwi się.

– Przypominam ci, że poniedziałek następuje po niedzieli, która z kolei następuje po sobocie, która...

– Tak, następuje po piątku. Właśnie tak na ogół wygląda układ dni w tygodniu, kochanie.

– Ale to w sumie daje trzy dni! Mam spędzić bez ciebie trzy dni? Jak?

– Przypominam ci, że spędziłaś beze mnie dwadzieścia siedem lat.

– O, mój Boże! – Kryję twarz w dłoniach, by Marek nie dostrzegł jej wyrazu.

– Co się stało? – Przerażony Marek podbiega do mnie i przygląda się badawczo. – Coś cię boli?

– I jeszcze wiek mi wypomina! – Zanoszę się łzami.– Co za

człowiek! Co za człowiek! Nie rozumie, że to najbardziej traumatyczny moment mojego życia i nie dość, że zostawia mnie samą z tyloma problemami, to jeszcze wypomina mi, ile mam lat!

Marek z trudem hamuje śmiech, co wzbudza we mnie kolejny atak wściekłości. I nowe strumienie łez, naturalnie. Ostatecznie zostaję przytulona, wymasowana, wycalowana i... hm, spuśćmy na to zasłonę milczenia. Na koniec Marek obiecuje, że postara się wrócić już w niedzielę i zabrać mnie na moje ulubione lody.

Stwierdzam więc, że właściwie takie dwa dni w charakterze słomianej wdowy mogą okazać się przydatne. Wciągnę na siebie ulubiony dres, upiekę ciasteczka z czekoladą i kupię chipsy paprykowe. Obejrzę cały sezon *Gotowych na wszystko* albo ekranizacje powieści Nory Roberts, wiecznie brakuje mi na to czasu! Będę czytać *Anię z Zielonego Wzgórza*, wymoczę się w wannie za wszystkie czasy, zrobię sobie maseczkę i peeling, a na koniec wydepiluję porządnie to, co akurat wydepilowania wymaga.

Postanawiam jednak, że nie pokażę po sobie, że samotny weekend ma swoje plusy. Może Marek mnie jeszcze podrapie troszkę, jeśli będę użalać się nad sobą? Przybieram swój ulubiony grymaśny ton, ten zarezerwowany na specjalne okazje.

– Wcale mi się nie uśmiecha siedzieć samotnie tyle czasu. Gdzie ty jedziesz, tak w ogóle? Może pojedę z tobą, panie detektywie?

– Nie ma takiej możliwości, hrabianko. Mam ekstrazlecenie od babki. – Unoszę znacząco brew, na co Marek uśmiecha się szelmowsko i daje mi pstryczka w nos. – Jej mąż zachowuje się bardzo dziwnie od pewnego czasu, unika jej, stał się mrukliwy, znika na długie godziny, późno wraca do domu... no, wiesz,

klasyczne oznaki romansu. Mam go śledzić przez kilka dni. Kobieta właśnie wyjeżdża na jakieś szkolenie i facet ma wolną rękę.

– Hm, a może po prostu ma kłopoty – zastanawiam się. – Może stracił pracę i nie wie, jak jej o tym powiedzieć?

– To możliwe. – Marek kiwa głową. – Byłabyś świetną panią detektyw.

– Naprawdę? – Budzi się we mnie nadzieja. – Więc daj mi szansę i przyjmij mnie do pracy! – Posyłam mu proszący uśmiech. Marek reflektuje się, co najlepszego narobił i przybiera nieco spanikowaną minę. Ponieważ mam w perspektywie piękny weekend i bardzo go kocham, przytulam się do niego i szepczę mu do ucha, że żartowałam. A potem proszę go, by podrapał mnie jeszcze troszeczkę i zwijam się przy nim w kłębek, zapadając w słodki sen.

Rozdział 3

Siedzę w wodzie z dodatkiem pachnącego olejku do kąpieli i planuję rozrywki na rozpoczynającą się właśnie sobotę. Nie umiem się zdecydować, czy najpierw wykonać resztę zabiegów kosmetycznych, czy uruchomić kanał z serialami. Ostatecznie pośpiesznie nakładam maseczkę na twarz i wybieram morelowy lakier, którym pomaluję paznokcie u stóp. We włosy wcieram maseczkę przygotowaną według przepisu znalezionej w internecie i zawijam je w ręcznik. Następnie biegnę do kuchni, by przygotować przysmaki na rozpoczynający się seans. Chipsy paprykowe zastępuję odżywczym smoothie z kiwi, gruszki, brzoskwini i miodu. Nie chcę zaprzepaścić śmieciowym jedzeniem korzyści, jakie moja skóra wyciąga z drogiej maseczki. Przez chwilę z namysłem przyglądam się ciasteczkom czekoladowym, ostatecznie zabieram je ze sobą, przecież nie można przesadzać z tym zdrowym żywieniem.

Właśnie zastawiam smakołykami mały szklany stolik stojący przed kanapą i poszukuję pilota od telewizora, kiedy do moich uszu z korytarza dobiega dźwięk dzwonka. Na moment zastygam w pozie pełnej napięcia i rozważam, co zrobić. Opuszkami palców dotykam zastygłej zielonej maski na twarzy i zaciągam poły szlafroka. Nie jestem gotowa na przyjęcie gości, ale z drugiej strony to może być matka, która zarządzi akcję ratunkową, jeśli jej nie otworzę. To może być również Jolka, która przemyślała sobie swoje głupie zachowanie i chce mnie przeprosić. Z tą myślą zmierzam do przedpokoju i zerkam przez judasza.

Przed drzwiami nie ma nikogo.

Wzruszam ramionami i równocześnie dostrzegam pilota od telewizora, który spoczywa sobie w najlepsze na stoliku w przedpokoju. Sięgam po niego i w tej samej chwili dobiega mnie radosny chichot. Ten dźwięk brzmi znajomo, więc wracam do drzwi i delikatnie je uchylam, kryjąc się za skrzydłem, by pozostać niewidoczną dla osób przebywających na klatce schodowej.

Nie wierzę w to, co widzę. Nie chcę uwierzyć. A jednak w końcu obraz zarejestrowany przez moje oczy najwyraźniej dociera do mózgu, co skutkuje głośnym:

– Niech to szlag!

Odpowiada mi jedynie chichot wydobywający się gdzieś znad obślinionej brody. Talcia swoim zwyczajem radośnie uderza piętami i wymachuje rączkami. Śmieje się w głos, obserwując minę przerażonej ciotki, która dzikim spojrzeniem lustruje klatkę schodową i szuka tej, która dziecku powinna towarzyszyć. Z braku innych możliwości przykucam przy foteliku i zwracam się do małej.

– Gdzie jest mama, kochanie? – pytam.

– Mama! Mama! – powtarza po mnie dziewczynka i zanosi się kolejną porcją śmiechu. Wykonuje przy tym mocno niezgrabny, ale wyjątkowo znamienny ruch malusią rączką. Czuję, że jeszcze chwilę i ziemia osunie mi się spod stóp. Przysięgam, że tym razem Jolce się nie upiecze. Wywijała mi już różne numery, ale ten bije na głowę wszystkie. Przecież ja

nie znam się na dzieciach i wyraźnie jej zapowiedziałam, że nie zajmę się jej córką, kiedy ona będzie oddawała się słodkiemu têtè-à-têtè!

Zabiję. Utłukę. Połamie paznokcie i zęby. Pasami będę zdzierać z niej opaleniznę.

Tymczasem łapię fotelik i z trudem wciągam do mieszkania. Odpinam pasy bezpieczeństwa, a Natałka natychmiast z tego korzysta, niezdarnie stając na nóżki. Przez chwilę patrzę na nią z rozczuleniem, po czym wracam na klatkę schodową i jeszcze raz się rozglądam, jakby mając nadzieję, że gdzieś zza załomu korytarza wychyli się Jolka i zacnie pokładać się ze śmiechu, jaki to zabawny kawał mi zrobiła. Zamiast Jolki na klatce schodowej znajduję torbę wypchaną po brzegi dziecięcymi akcesoriami. Pieluchy jednorazowe i słoiczki z Rossmanna, dzięki którym opieka nad dzieckiem to pikuś. Plus ubranka, buciki, zabawki, butelki i inne pierdółki, których przeznaczenia nie znam i których nie potrafię używać.

Oraz list. Pisany słodziutkim, drobnym charakterem pisma Jolki.

Kalinka, nie pozostawiłaś mi wyboru. Chyba to rozumiesz? Wiem, że zajmiesz się nią najlepiej, jak potrafisz. Nie bój się, nie jest taka straszna. Nie dzwoń. Wrócimy w środę. Catuski!

Jak to, kurka felek, w środę?

Czy Jolka nie mówiła, że wyjeżdża na weekend?

Czy weekend nie jest czasami sobotą i niedzielą? Po których następuje poniedziałek, jak wynika z moich dyskusji z Markiem? Kalendarz Jolki pokazuje inaczej czy co?

Mnę w dłoni liścik od mojej słodkiej koleżanki i ruszam na poszukiwanie telefonu. Mam nie dzwonić? Już ja ci, kurde, nie

zadzwonię!

Pospiesznie wybieram numer i przyciskam komórkę do ucha, ale odpowiada mi radosny głos operatorki, która zapowiada, że abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem sieci. Pospiesznie przerywam połączenie i wybieram numer kolejny raz, i kolejny, i kolejny... Z tym samym efektem, a pod koniec mam wrażenie, że nawet pani operatorka jest już wyraźnie zirytowana. Tymczasem Talcia dotarła już do stolika w pokoju i stanowczym gestem przysunęła sobie talerzyk z ciasteczkami czekoladowymi. Nie jestem pewna, ile takich ciasteczek dziecko może zjeść i czy w ogóle może, zatem biegnę na złamanie karku i zabieram jej przysmaki, akurat kiedy napycha buzię trzecim ciasteczkiem. Kiedy ona zdążyła to zrobić?!

Mój manewr spotyka się z ostrym sprzeciwem, tak ostrym, że wędzną mi od tego uszy. Usiłuję pochwycić małą rozrabiakę, ale odpycha mnie tłustymi łapkami i strzela rasowym fochem. Ooo, teraz widzę uderzające podobieństwo do obojga rodziców. Co prawda mała jest skórą zdartą z Patryka Cieplaka, charakterek jednak najwyraźniej odziedziczyła po Jolce. Ona wścieka się w podobny sposób, kiedy coś nie idzie po jej myśli. Podrzucony fotelik samochodowy z chichoczącą zawartością i słoiczkowym żarciem jest tego dowodem.

Nie mam pojęcia, co powinnam robić! Nie znam się na dzieciach!

Zdesperowana wybieram numer Marka.

– Witaj, kochanie! Już się za mną stęskniłaś? – Z telefonu dobiega radosne parsknięcie.

– Nie mam czasu tęsknić – odpowiadam urażona. – Kochanie, mamy dziecko!

– My? Mamy dziecko? A skąd, jeśli mogę zapytać?

– Jolka podrzuciła!

– C-co? Opowiedz mi wszystko, tylko tak szybciotko.

Pospiesznie streszczam historię swojego spotkania z Jolą, kiedy to ta usiłowała obarczyć mnie opieką nad Natalią, a ja robiłam wszystko, aby się z tej opieki wykręcić. Na koniec reflektuję się:

– A co to właściwie znaczy *tak szybciotko*, co?

– Hrabianko, ja naprawdę nie mam czasu.

– Za to ja mam problem! Marek, przecież ja nie umiem zajmować się dziećmi! Nie wiem nawet, czy mogą jeść ciasteczka czekoladowe, a ten łakomczuch zaraz po wejściu do mieszkania opitolił trzy!

– Nie mogą – stwierdza Marek. – Tyle to nawet ja wiem.

– O Boże! Myślisz, że powinnam zabrać ją na płukanie żołądka albo coś?

– Myślę, że dzieci zjadają gorsze rzeczy niż ciasteczka czekoladowe – śmieje się Marek. – Kamienie, piasek, papier, tektura... Po prostu zabierz jej te ciastka.

– Zabrałam. – Usiłuję obejrzeć się za siebie, by sprawdzić, co poczyna moja niesforna nowo mianowana podopieczna. Okazuje się, że udało jej się ogołocić z liści nasz fikus beniaminek, a teraz usiłuje zawiesić je z powrotem niczym na karykaturalnej, sierpniowej choince. – O, nie!

– Co się dzieje? – Ton Marka zwiastuje, że doskonale się bawi. Decyduję się na malutką zemstę.

– Nic takiego, kochanie. Po prostu zostawiłeś na wierzchu książkę. Tę grubą, wiesz...

– Kinga? Masz na myśli powieść Kinga? – W głosie Marka pojawia się niepokój.

– Nie wiem, nie widzę. Książka nie ma już okładki...

– Nie, nie, Kalina, zabierz ją stamtąd, słyszysz? Idź z nią na

plac zabaw!

– Poczekaj, teraz rysuje... Długopis też zostawiłeś. Wciąż powtarzam, że okropny z ciebie bałaganiarz.

– Kalina! – Marek przypomina teraz ryczącego lwa. Nagle milknie i zaczyna się śmiać. – Niezła z ciebie aktorka, kochanie. Niemal zapomniałem, że zabrałem tę książkę ze sobą. Bardzo zabawne.

– To ty pojechałeś sobie poczytać czy do pracy?

– Coś muszę robić, kiedy śledzę gościa. Nudny jest, swoją drogą. To nie romans.

– Tobie się nudzi, a mnie wprost przeciwnie! Co ja mam z nią zrobić?

– Nie mam pojęcia. Zadzwoń do Jolki.

– Dzwoniłam siedemnaście razy!

– Wobec tego zadzwoń do matki!

Jest to jakieś wyjście. Doświadczenie mojej matki w kwestii wychowywania potomstwa przewyższa moje własne o jakieś jedno dziecko, zatem może coś poradzi. Na pewno wie, jak zakłada się pieluchy, co mogą jeść takie szkraby i jak radzić sobie z dziecięcym fochem. Pospiesznie cmokam na pożegnanie w kierunku komórki i wybieram numer kochanej mamusi.

– Potrzebuję twojej pomocy! Mam dziecko! – oświadczam bez wstępu.

– A więc jednak! – Triumfujący głos matki uświadamia mi, jak niezręcznie się wyraziłam. – Mężu, będziesz dziadkiem! – wrzeszczy uradowana matka w głąb mieszkania, a ja uderzam się otwartą dłonią w czoło.

– Czy ja powiedziałam, że będę miała dziecko?

Powiedziałam, że już je mam. Chodzi o Natalkę. Jola podrzuciła mi ją bez zapowiedzi i... cóż, zmyła się.

– Aaaaa. – Ton matki ocieka rozczarowaniem. – Dlaczego

czynisz starej matce takie nadzieje, a potem je odbierasz? Już się ucieszyłam, że będę jeździć z wózekkiem na spacerki i robić małe skarpeteczki na drutach. Co do twojej przyjaciółki, spodziewałam się, że prędzej czy później coś zmałuje. Takie jak ona się nie zmieniają, niestety.

– Mamo...

– Ostrzegałam cię, żebyś trzymała się od niej z daleka, ale jak zwykle jajko mądrzejsze od kury.

– Mamo...

– Pewnie spakowała manatki i wyjechała za granicę układać sobie życie, tak? A ty teraz będziesz sprawować opiekę nad kukułczym jajkiem, jak na dobrą ciocię przystało?

– Mamo... – ogarnia mnie irytacja połączona z lekkim niepokojem. Mam nadzieję, że Jola nie ma tak bogatej wyobraźni, jak moja matka i nie wpadnie na ten sam pomysł. – Mamo, porzućmy kwestię nabiału, bo od tych wszystkich jaj kręci mi się w głowie. Jola wyjechała na weekend ze swoim obecnym narzeczonym i podrzuciła mi Natalię. Nie ukrywam, że wcale nie jestem tym zachwycona i z pewnością odpowiednio jej za to podziękuję, kiedy już wróci. Jednak teraz to dziecko już tu jest i muszę się nim zająć. Nie wystawię dziewczynki za drzwi. Wysłuchałaś mnie? To teraz powiedz mi, co mam robić.

– Ale jak to: co masz robić?

– Przecież ja się nie znam na dzieciach, nie wiem, jak się nią zajmować.

– Najwyższa pora, abyś poczuła do tego powołanie. Latka lecą, córeczko. Poćwicz troszeczkę.

– Ale jak? – pytam żałośnie.

– Podpowiem ci tylko tyle, że kiedy dzieci płaczą, to albo mają mokro, albo są głodne, albo zmęczone – mówi tajemniczo i mogę założyć się o pół mojej ostatniej pensji z biblioteki, że

uśmiecha się teraz jak kot, który upolował tłusciutką myszkę. – Poza tym trzeba je od czasu do czasu myć, zabierać na świeże powietrze i bawić się z nimi.

– Czym? – dopytuję pospiesznie, nie wiedząc nawet, czy bardziej chodzi mi o proces mycia czy zabawy. Nie ma to już jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ odpowiada mi głucha cisza. Moja nad wyraz kulturalna matka rozłączyła się. Mogę założyć się o drugą połowę pensji, że siedzi teraz na kuchennym taborecie i chichocze złośliwie. Nie zrobię tego jednak, znaczy nie założę się, przecież to moja ostatnia pensja i nie potrafię przewidzieć, kiedy rachunek bankowy zasili kolejna.

Odkładam telefon i zamyślona wpatruję się w Natalkę, która znudzona fikusem beniaminkiem człapie do firanek i robi wszystko, aby je zerwać. Z przerażeniem stwierdzam, że pod wpływem jej działań moje śnieżnobiałe firanki diametralnie zmieniają zabarwienie. Tajemnica wyjaśnia się, kiedy Talcia zwraca ku mnie rozpromienione oblicze z rozkosznymi dołeczkami w policzkach. Dziecięce dłonie, dziecięca ciekawość i roztopiona mleczna czekolada nie stanowią dobrego połączenia, zapamiętajcie moje słowa!

Przez kilka minut usiłuję doprowadzić buzię i rączki Natalki do porządku przy wykorzystaniu mokrych chusteczek znalezionych na dnie torby, ale w końcu uznaję to za próżny trud i wsadzam piszczącą z zachwytu dziewczynkę do wanny. Po szybkim prysznicu mała staje się czyściutka, a przede mną pojawia się kolejne wyzwanie tego dnia: muszę założyć jej pieluszkę! Czy ja czasami nie miałam odpoczywać pod nieobecność Marka?

W tej samej chwili przypominam sobie o maseczkach, które pompują drogocenne składniki w moją skórę i włosy. Z braku innych możliwości przypinam golutką i oburzoną tym faktem

Natalkę w foteliku samochodowym, ten obstawiam krzesłami, by się nie przewrócił, a sama splukuję z siebie kosmetyczne papki. Pospiesznie przebieram się w coś bardziej wyjściowego niż frotowy szlafrok i przetrząsam torbę z rzeczami dziecka, aby znaleźć pieluszkę. Następnie przyglądam się jej przez chwilę z namysłem i... decyduję się poszukać instrukcji obsługi w internecie.

Myślicie, że tylko ja szukam tego rodzaju wskazówek w sieci? Mylicie się. Pod wpływem ruchu moich palców na klawiaturze pojawiają się kolejne frazy wskazujące na to, że nie wszyscy mają doświadczenie w zakładaniu pampersów. Przez chwilę lustruję wyniki podpowiadane przez Google, w końcu decyduję się na filmik instruktażowy. Wydaje się proste.

Przygotowuję sobie miejsce pracy na kanapie w pokoju, gromadząc pieluszkę, zapas czystych ciuszków i tubkę z kremem, po czym biegnę po Natalkę. Obrażona mina dziewczynki stanowi dowód na to, że znajduję się w stanie niełaski. Pospiesznie wyplątuje ją z szelek fotelika i rozkładam na rozścielonym kocyku. I przekonuję się, że zakładanie pampersa wcale nie jest taką prostą sprawą!

Po pierwsze: pan na filmiku operował grzecznym kilkumiesięcznym bobaskiem, a nie czternastomiesięczną złością, która wierzga bosymi stopami, usiłując wybić ciotce dwie górne jedyńki. Po drugie: dziecko na filmiku najwyraźniej zostało czymś otumanione, ponieważ jedynie ślini się, parska i szczyrzy bezzębne dziąsółka, z kolei Natalka wczepiła się w moją grzywkę, jak jakiś nietoperz, a zęby szczyrzy najwyraźniej po to, by mnie upitolić w ramię. Co zresztą czyni!

– Auć! – prostuję się i patrzę na nią z wyrzutem, równocześnie rozmasowując rękę i uspokajając oddech. – A czy ty przypadkiem nie powinnaś sikać już do nocnika, moja panno?

– Ble! – odpowiada z pełnym przekonaniem dziewczynka i wesoło podskakuje całym ciałem po kanapie. W tym samym momencie zauważam, że pieluszka jest założona tyłem na przód, zatem pacyfikuję małą akrobatkę i z zadyszką zmieniam pieluchę na właściwą stronę. Tyłem do przodu zakładam również body z misiem, ale szybko naprawiam swoją pomyłkę. Krótkie portki. Skarpetki. Buciki. No, mała jest gotowa. A ja bardzo zmęczona! Chciałabym ułożyć się na kanapie i odpocząć, ale oczywiście nie mam na to najmniejszych szans. Na niepewnych nóżkach Natalia rusza na zwiedzanie kuchni, a ja muszę biec za nią!

Z zadumą obserwuję, jak przysiada się do wiklinowego kosza z owocami i układa jego zawartość na płytkach podłogi. Jabłko, gruszka, jabłko, brzoskwinia, jabłko... Zabawka zaadaptowana w pośpiechu, a tyle radości i pisku. Dla niej. A dla mnie chwila odpoczynku, kiedy mogę uspokoić oddech i przetrzeć zroszone potem czoło. Wykorzystuję tę chwilę również po to, aby sięgnąć po komórkę i wykonać kolejny pełen desperacji telefon do Jolki. Niestety, z tym samym skutkiem, co poprzednie.

I wtedy dopada mnie nagła myśl. Uwielbiam moją chrześnicę, ale nie mogę pozwolić, by Jolka mieszała w moim życiu, jak mikser w ucieranym cieście! Nie mogę pozwolić, by dyktowała mi warunki swoim piskliwym głosem wydobywającym się zza uszminek ust, a tym bardziej, by stawiała mnie przed faktem dokonanym, podrzucając córkę

na moją klatkę schodową niczym niechcianą lalkę! I naturalnie nie mogę zgadzać się, by tak przedmiotowo traktowała dziewczynkę, nawet jeśli jest to gryząca bestia, która czyha na śnieżną biel moich firan!

Zrywam się z chybotliwego taboretu i podbiegam do kuchennego zlewu, aby ochłodzić rozpalone policzki lodową wodą. Równocześnie dokonuję pospiesznych obliczeń, z których wynika, że jeśli teraz wyruszę do Kamionek, zdążę odstawić Natalkę pod opiekę bynajmniej niestęsknionej matki i wrócić do Krakowa na tyle wcześnie, by na powrót nałożyć maseczkę, przyodziać szlafrok i obejrzeć parę odcinków serialu!

– Na co czekamy? – swoje pytanie kieruję do dziewczynki, która właśnie wbija palec wskazujący w miękki miąższ brzoskwini i rozsmarowuje ciekący sok na podłogowych płytkach. – Zbieraj manatki, moja panno! Jedziemy do mamusi!

Droga do Kamionek w towarzystwie Natalki poważnie narusza moje zasoby cierpliwości i siłą muszę powstrzymać się, by nie odstawić dziewczynki na pierwszy z brzegu komisariat z informacją, że znalazłam ją podrzuconą u swoich drzwi i nie mam nic wspólnego z jej wyjątkowo nieodpowiedzialną matką.

Moja wesolutka chrześnica najwyraźniej nie pała miłością do fotelika samochodowego, ponieważ robi wszystko, by znaleźć się poza nim. Wypręża pulchne ciało, gryzie pasy bezpieczeństwa i artykułuje wyrażenia, których nie jestem w stanie zrozumieć, ale wydają się godzić w moją własną osobę. Mała bestia w żadnym razie nie potrafi docenić trudu, jaki

włożyłam w zamontowanie tego ustrojstwa w swoim ciasnym samochodzie!

Obiecuję sobie, że kiedy wrócę z Kamionek, wymoczę moje ciało w kolejnej długiej kąpieli. Ta myśl jest tak krzepiąca i przyjemna, że uśmiecham się szeroko.

Pytanie brzmi: kiedy wrócę z Kamionek?

Bo na chwilę obecną nie zapowiada się, bym tam w ogóle dotarła. Z niepokojem wpatruję się w mały ekran GPS-u, który zamontowałam po usilnych prośbach Marka. Według mojego ukochanego jedyna trasa, jaką mogę pokonać względnie bezpiecznie, wiedzie z ronda Matecznego na most Grunwaldzki. Niepełny kilometr w prostej linii. A i tak po drodze zabłądzą dwa razy.

Chociaż często zdarza mi się odwiedzać dworek w Kamionkach, nigdy do tej pory nie jechałam sama. To Marek prowadzi auto, kiedy wyruszamy w odwiedzinach do pani Elizy, po prawdzie to prowadzi auto, kiedy jedziemy gdziekolwiek. Podobno niezmiernie irytuje go mój sposób jazdy. Twierdzi, że nie ma nic gorszego niż niezdecydowana kobieta na drodze. Zupełnie nie rozumiem, o co mu chodzi! Jestem po prostu ostrożnym kierowcą, a że czasami ciągnie się za mną ogonek zniecierpliwionych kierowców? Ich sprawa. Może podziwiają moje zgrabne światła stopu?

Samochodowe niedoświadczenie sprawia, że decyduję się w pełni zaufać zaprogramowanemu pudełku, którego zadaniem jest wskazanie mi najkrótszej drogi do Kamionek. Szybko okazuje się, że obdarzenie zaufaniem kupy żelastwa nie jest dobrym pomysłem. Zaraz po minięciu granic Krakowa trafiamy na opuszczoną, polną drogę. Nie wiem, gdzie ona wiedzie, ale prędzej do jakiegoś kamieniołomu niż do Kamionek.

Zgrzytając zębami, wyłączam urządzenie i nakręcam, aby

powrócić na drogę. Klasyczne drogowaskazy wskazują mi wyjazd na Nowy Sącz. Rozluźniam się, a nawet lekko uśmiecham. Przypominam sobie, jak przed ponad rokiem jechałam tą trasą nagrzanym autobusem, aby zakosztować rozkoszy w zabytkowym spa. Mój nastrój natychmiast ulega poprawie, zaczynam nawet podśpiewywać. Wszystko będzie dobrze! – powtarzam sobie. Dojadę do Sącza, a stamtąd już mnie ktoś pokieruje na Kamionki. Szybko odstawię dzieciaka i wrócę do domu, aby korzystać ze stanowiska „słomianej wdówki”.

W tej samej chwili Natalka decyduje się przypomnieć o swojej obecności.

– Mama! – dobiega mnie jej wrzask.

– Tak, słonko! Jedziemy do mamusi! – ćwierkam do niej, zerkając w lusterko.

– Maaa-maaaa! – Okrzyk podkreśla mocny wymach nóżki. Różowy paputek wiruje w powietrzu i ląduje gdzieś w okolicach kierownicy.

– Już dobrze, kochanie. Jedziemy do mamusi. Będziemy za... godzinkę?

– Mamaaaaa! – Niech to szlag! Z niepokojem zerkam w lusterko i przekonuję się, że buzia dziewczynki przybiera kolor soczystego pomidora. Z jej oczu tryskają dosłownie strumienie łez, choć do tej pory byłam przekonana, że jest to całkowicie niemożliwe, a tego typu określenie służy jedynie wzbudzaniu emocji w ckliwych romansach. Jak widać, strumienie łez są jak najbardziej możliwe, do tego dochodzi solidny gil zwisający z nosa i z zapalem rozsmarowywany po mokrym policzku. – Maamaaaa!

– Niech to szlag! – powtarzam głośno. – I co narobiłaś, kretynko? Przysięgam, że tym razem wydrę ci wszystkie włosy, wraz z cebulkami i odrostem. Nie tobie! – zastrzegam szybko,

widząc przestraszoną minę dziecka. Niestety, powstrzymuję swój żywy temperament za późno, Natalka ponownie zaczyna wyć niczym syrena alarmowa. Zatrzymuję samochód na poboczu i rozglądam się bezradnie dookoła. W tym samym momencie dostrzegam, że tuż za mną parkuje radiowóz. –Niech to szlag! – powtarzam kolejny raz.

Odpinam pas i nachylam się w stronę fotelika, aby uspokoić dziewczynkę. Ze zdenerwowania trzęsą mi się ręce, kiedy ocieram chusteczką mokre policzki i zasmarkany nos. Kątem oka dostrzegam, że w moją stronę zmierza mężczyzna w mundurze. Niech to szlag, dodaję tym razem w myślach i główkuję, czym uspokoić Natalkę. Jeśli ona w tej chwili nie przestanie płakać, pan władza gotów pomyśleć, że jestem kidnaperką i zabrać nas na komisariat! Z przerażeniem obserwuję, jak buzia Talci wygina się w podkówkę, a oczka zatapiają się w kolejnych strumieniach łez. Matko Boska Kamionkowska, jak wiele łez mieści się w takim małym, dziecięcym oku?

W panice rozglądam się po ciasnym wnętrzu samochodu z nadzieją, że znajdę coś, co na kilka chwil zabawi dziecko i zapobiegnie katastrofie. Policjant jest tuż-tuż, zatem nie mam czasu do stracenia i pospiesznie przetrząsam spoczywającą na przednim siedzeniu torebkę. Jest, mój Boże, jest! Z triumfem wyciągam mocno sfatygowane i cokolwiek nadgryzione czekoladowe ciasteczko i wodzę nim przed oczami dziewczynki, niczym jakimś zaczarowanym wahadełkiem. Najwyraźniej ta magia naprawdę działa, bo Natalka porzuca płaczliwe zamiary i z fascynacją wodzi spojrzeniem za przesuującym się przysmakiem.

W tym samym czasie rozlega się lekkie stukanie w uchyloną do połowy szybę, więc czym prędzej kładę

ciasteczko na kolanach dziewczynki i odwracam się w kierunku, z którego dochodzi odgłos. Prezentuję najśłodszy uśmiech, na jaki mnie stać i otwieram okno do końca.

– Młodszy aspirant Krystian Nowak, Wydział Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej w Krakowie. Proszę pani, czy wszystko w porządku?

– Jak najbardziej! – ćwierkam radośnie. – Dziecko ma katar i musiałyśmy zatrzymać się na chwilę, aby wytrzeć nos.

– Nie chciałbym być wścibski, ale słyszałem, jak dziewczynka płakała.

– Płakała i pewnie jeszcze będzie płakać. Czy wie pan, jak okropnie upierdliwy jest katar u takiego malucha?

– ... a pani na nią krzyczała i straszyla, że wyrwie jej wszystkie włosy! – Policjant spogląda na mnie wrogo. – Proszę pani, tak się nie wolno zachowywać!

– Ale ja wcale nie mówiłam do niej! – odpowiadam lękliwie.

– A do kogo? – Teraz spojrzenie policjanta jest pełne politowania. – Chyba nie chce pani powiedzieć, że rozmawiała przez telefon komórkowy w czasie jazdy?

– Oczywiście, że nie! – odpieram zarzut urażonym tonem, po czym stwierdzam, że najlepszą obroną okaże się atak. – Swoją drogą: bardzo dobrze pan słyszy – mówię z przekąsem. – Musi pan mieć duże uszy!

Policjant nachyla się w moją stronę i mierzy mnie nieprzychylnym spojrzeniem. W tym samym momencie uświadamiam sobie swoją pomyłkę. Jego uszy są ogromne, no po prostu gigantyczne uszyska, o jakich w podstawówce mówiliśmy „gacki” albo „radary”! O – mój – Boże!!!

– O Boziu, przepraszam! – Oblewam się krwistym rumieńcem, ale po kamiennym obliczu pana władzy widzę, że

moje „przepraszam” nic tu nie pomoże!

– Proszę wysiąść z wozu i zabrać ze sobą prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Z nieszczęśliwą miną spełniam jego polecenie i cierpliwie czekam, aż sprawdzi, czy nie jestem poszukiwaną morderczynią, złodziejką samochodów i porywaczem dzieci. Kiedy oddaje mi papiery, ciekawie zerka na tylne siedzenie. W tym samym czasie Natałka, która spałaszowała już ciastko, decyduje się przystąpić do ataku.

– Mama! – wrzeszczy.

– Cicho, brzdącu! – uspokajam ją pospiesznie.

– Może ma mokro? – interesuje się policjant.

– Nie, na pewno nie. – Robi mi się gorąco na samą myśl, że miałabym przewijać małą pod czujnym spojrzeniem stróża prawa. Bez filmiku z internetu i w ogóle. – Przewijałam ją, zanim wyruszyliśmy z domu.

– Wobec tego może jest głodna? Chce się jej pić?

– Nie... Chcesz pić, malutka? – zwracam się do dziewczynki.

– Mamaaaaa, mamaaaa!

– A czy to dziecko w ogóle jest pani? – Policjant przygląda mi się podejrzliwie.

– Nie – uśmiecham się do niego słodko. – Po drodze mijałam zagon kapusty i tam ją znalazłam. Chce pan taką samą? Trzeba zawrócić...

– Droga pani, zachowuje się pani cokolwiek nietypowo – kręci głową.

– Czy możemy już jechać? – pytam zmęczonym głosem. – Przed nami długa droga. Jedziemy do małej wioski pod Nowym Sączem, a ta wredna machina – wskazuję GPS – odmówiła posłuszeństwa.

– Może pani na nią nakrzyczała – ironizuje. – Proszę jechać dalej i nie krzyżeć. Na nikogo. A takim małym dzieciom nie daje się czekoladowych ciastek. Co z pani za matka? – mówi na odchodnym, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Czekam, aż odjedzie, po czym zapinam pas i ocieram spocone czoło. Mało brakowało, myślę. Za moimi plecami Talcia zanosi się perlistym śmiechem, plując okruszkami ciastka i wierzgając nóżkami.

Rozdział 4

Nigdy nie przyznam tego głośno, ale moja matka w jednym ma rację: Jolka sprowadza na mnie wszelkie przekleństwa tego świata i ciągle pakuje mnie w tarapaty. Pomijając Czarną Sobotę, kiedy to przed ołtarzem parafialnego kościoła pozbawiła mnie narzeczonego, wesela na sześćdziesiąt par i złudzeń, ma na swoim koncie kilka pośledniejszych występków. O, chociażby ten dzień, kiedy spędziłam pół dnia na zapleczu butiku w galerii, bo Jolce zachciało się przymierzyć pasek do własnych spodni, a później zapomniała go zdjąć i wprawiła w wycie wszystkie bramki alarmowe. Albo kiedy urządziła u siebie w mieszkaniu

wieczór medytacji w stylu buddyjskim i przez całą noc rzygałam jak kot od tych kadzidełek. Nie mówiąc już o mojej imprezie z okazji osiemnastki – choć to zamierzchłe dzieje – na którą pomogła mi wybrać sukienkę na Tandecie, a później przyszła w takiej samej!

Wszystkie absurdalno-dramatyczne wypadki z udziałem Jolki przemykają mi przez głowę, kiedy pędzę pustą szosą w kierunku Kamionek. Naturalnie *pędzę* jest w tym przypadku pojęciem względnym i szalenie naciągany, z racji tego, że minęłam już kapliczkę na lipie i zjechałam na mocno podziurawioną drogę do wsi. Chociaż na ogół pomstuję na służby drogowe, lokalne władze i inne jednostki odpowiedzialne za stan polskiego asfaltu, kondycja drogi wiodącej do Kamionek wcale mi nie przeszkadza. Jadę sobie spokojną *czterdziestką*, podskakuję na wybojach i z uczuciem nagłego uniesienia upajam się zapachem łąk, widokiem pól i tym, że za moment powitam panią Elizę i Szparkę. A także tym, że za parę chwil powiem Jolce, co o niej sędzę i złożę w jej matczyne ramiona jej osobisty, w tym momencie mocno zasmarkany, skarb.

– Am, am, am. – Dziewczynka przypomina o swojej obecności donośnym krzykiem i mocnym wymachem, który pozbawia ją drugiego papucia.

– Zaraz, kwiatuszku, zaraz będziemy na miejscu. Już dojeżdżamy do wsi. O, popatrz krówka! Jak robi krówka, Talciu?

– Mama! Am!

– Parę sekund, słonko! – Zerkam na małą w lusterku i dostrzegam usteczka wykrzywione w charakterystyczną podkówkę. – O, nie! – jęczę żałośnie i robię proszącą minę. – Jeszcze parę minetek! Zaraz będzie mamusia!

W tym momencie uświadamiam sobie, że słoiczki

z jedzeniem dla dzieci zostały w Krakowie, a niespodziewająca się naszego przyjazdu Jolka z pewnością nie dysponuje odpowiednim zapasem. Na nic zatem zda nam się szybki dojazd do dworku, skoro mała nie dostanie swoich ulubionych przysmaków. Niespokojnie zerkam na nią w lusterku i nakręcam na krzyżówkach, jadąc w kierunku centrum wsi i miejscowego supermarketu. Nie jest to co prawda centrum handlowe, ani popularna drogeria, ale z tego co pamiętam, sklep ma całkiem niezłe zaopatrzenie. Z pewnością kupię w nim zupki i mleko, czyli wszystko, co takiemu brzdącowi do szczęścia jest potrzebne.

Mijam kapliczkę z powiewającymi na wietrze kolorowymi wstążkami i uśmiecham się na myśl, że pod sklepem prawdopodobnie spotkam Starego Jana i jego konia, Romeo. A może i Karol Broszko wychyli głowę ze swojego maleńkiego posterunku, by sprawdzić, co to za nowy przybysz zjawił się we wsi?

Dobrze tutaj wracać i spotykać tych wszystkich życzliwych ludzi!

Pod sklepem ani śladu po Starym Janie, pewnie gdzieś krąży z furmanką, zwozi siano, snopki zboża, czy co tam można zwozić o tej porze roku na drabiniastym wozie. A może pojechał na wycieczkę krajoznawczą z mieszkającymi w dworku gośćmi? Tłumię uczucie zawodu i zerkam w kierunku posterunku, a potem małej ławeczki zbitej z kawałków desek. Wszędzie pusto, jedynie przy ławce siedzi dość duży pies o skołtunionym,

rudobrazowym futerku i zwisających uszach. Patrzy na mnie wyczekująco.

Natałka podejmuje przerwany koncert, więc szybko wyplątuję ją z fotelika i unoszę w taki sposób, żeby mogła podziwiać kudłate psisko.

– Popatrz, jaki śliczny! – mówię do niej. – Jak robi piesek, Talcu?

– Blee! – Ostro sprzeciwia się dziewczynka, a ja pytam samą siebie w duchu, po jaką cholerę zadaje się dzieciom tak idiotyczne pytania? Chyba tylko po to, aby odwrócić ich uwagę od niewygodnych kwestii. Być może kiedyś znajdę na nie odpowiedź, póki co muszę rozwiązać inne palące problemy: pieluszka zrobiła się dziwnie ciężka, dziecko jest głodne, jakby nie jadło od ubiegłego tygodnia i jakimś cudem muszę dokonać zakupów. I szybko pozbyć się nieswojego pisklęcia.

Aby uspokoić małą, decyduję się na karygodny fortel; sięgam po pokruszone resztki ciasteczek. Wiem, że nie powinnam, czytałam, że zwierzęta nie mogą zjadać zawartości ludzkiego talerza, bo to dla nich niezdrowe. O słodyczach już nawet nie wspominając. Oglądałam o tym także program w telewizji, a następnie zrobiłam pogadankę babci Leokadii, która swojego ratlerka karmi miętówkami, wywołując swą przemową ferment w rodzinie. Jestem świadoma własnego nieodpowiedzialnego zachowania, zatem czuję się z tym naprawdę fatalnie i decyduję się przeprosić kudłatego amatora podsklepowych ławeczek. Jednak on wcale nie wydaje się urażony i natychmiast pochłania kolejne znalezione ciasteczko. Jest zachwycony, podobnie zresztą jak Talcia, która klaszcze w rączki i radośnie podryguje.

Pies podchodzi o pół kroczku i siada przede mną. Podnosi przednią łapę i zabawnie porusza nią w powietrzu. Najwyraźniej

prosi o jeszcze, demonstrując nabyte umiejętności. Posyłam mu przepaszające spojrzenie:

– Nie mam już ciastek, kolego. Poza tym biały cukier to trucizna, nie czytałeś?

Pies wydaje z siebie wąpiący pomruk.

– Ale jeśli poczekaś pięć... no, może dziesięć minut, kupię ci serdelka? Chcesz? To poczekaj! Jestem ci coś winna, pomogłeś mi spacyfikować potwo... potomka Jolki znaczy się.

Zakupy zajmują nam nieco ponad piętnaście minut, nie doceniłam bowiem wymagań, jakie stawia przed konsumentem sklepów samoobsługowych posiadanie obciążenia w postaci czternastomiesięcznych, ruchliwych bobasów. Każda kolejna puszka i paczka strącona z półki na posadzkę marketu budzi we mnie krwiożercze instynkty. Przezornie omijam alejkę ze słoikami, pospiesznie wrzucam do koszyka artykuły dla dzieci i po kryjomu upycham do kieszeni łyżeczkę do lodów. Czuję się jak pospolita przestępczyni, więc dorzucam jeszcze mrożony przysmak na patyku. Chyba nie ma przepisu, który regulowałby, że trzeba je jeść bez użycia łyżeczki?

Pospiesznie zaglądam jeszcze na mięsny i proszę panią w śnieżnobiałym czepku o najsmaczniejsze parówki, jakie tylko znajdują się w asortymencie. Pani spogląda znacząco i cokolwiek karcąco, najpierw na mnie, a następnie na Natalcię, która obficie się ślini i wygląda, jakby miała ochotę pożreć podane parówki wraz z osłonkami.

– Dla dziecka? – zgrzyta zębami. Najwyraźniej takie małe dzieci nie powinny się jeszcze żywić przetworzonym mięchem przyprawionym glutaminianem sodu.

– Dla psa – wyjaśniam szybciotko, a wtedy twarz kobiety rozjaśnia się w serdecznym uśmiechu. Do najlepszych parówek – dwadzieścia cztery złote za kilo – dostajemy w gratisie

kawałek obsuszonej szynki i laskę kaszanki. Interes życia, nie ma co!

Kiedy po opłaceniu rachunku wychodzę na ulicę, przekonuję się jednak, że psa już nie ma. Najwyraźniej zirytowało go moje spóźnienie, a może miał do załatwienia własne psie sprawy? Zastanawiam się, do kogo należy i postanawiam, że jeśli uda mi się w przelocie spotkać Szparkę, zapytam ją i spróbuję przekazać uzyskane w sklepie smakołyki.

Jestem nieco rozczarowana, bo kudłaty czworonóg wzbudził moją sympatię, poza tym ugniata mnie poczucie winy, że nakarmiłam go słodyczami. Póki co mam inne problemy. Natałka przypomniała sobie, że jest bardzo głodna, więc pospiesznie odkręcam słoiczek i wydobywam z kieszeni skradzioną łyżeczkę. Obiad dla malucha, level hard.

Mijając bramę parku otaczającego dworek, czuję głębokie wzruszenie. To dziwne, wiem, ale nic na to nie poradzę. To miejsce jest zaczarowane i zrobiło dla mnie tak wiele. To tutaj odnalazłam spokój po tym, gdy zdrada Patryka i Jolki pogruchołała mnie na małe kawałeczki. To tutaj poznałam najserdeczniejszych ludzi pod słońcem i spotkałam Marka. Można powiedzieć, że tutaj tkwią korzenie mojego nowego życia. Boże, co ja plotę! – Upominam się w duchu i pomimo łez wzruszenia wybucham gromkim i bynajmniej nie perlistym śmiechem. Wariatka, na dodatek stuknięta!

Skrećcam w aleję prowadzącą do dworu i niespokojnie oglądam się na Natałkę. Po ataku hysterii, który dopadł

dziewczynkę, zanim pod miejscowym supermarketem skonsumowała słoiczek owocowego musu, ani śladu. Poza parówkami dla psa kupiliśmy kilka słoiczków dla niemowląt, paczkę kaszki i mleko w proszku. Plus pampersy i opakowanie mokrych chusteczek. Nie miałam pojęcia, które produkty Jola podaje małej, więc po prostu chodziłam z nią na rękach wzdłuż regałów i pozwalałam wskazywać paluszkami wybrane artykuły. Słoiczek z musem z jabłek i brzoskwiń dziewczynka pochłonęła w całości na parkingu przed sklepem, używając do tego plastikowej łyżeczki i dosłownie wszystkich części ciała, łącznie z czubkiem ucha. Zaspokoiwszy pierwszy głód, pozwoliła usadzić się w foteliku i bez przeszkód wyruszyliśmy w dalszą drogę. Teraz z namaszczeniem wpatruje się w mój płaszcz przeciwdeszczowy, a nawet szczyrzy do niego swoje perłowe ząbki. Uśmiecham się do niej ciepło. Ja również lubię ten płaszcz. Marek śmieje się, że jest infantylny, tak jakby kolorowe serduszka były zarezerwowane dla małych dziewczynek. Natałka ma dobry gust, a płaszcz, cóż, płaszcz zyskał dodatkowe zastosowanie. Stał się uspokajaczem czternastomiesięcznych dziewczynek. Poskramiaczem złych emocji.

Kiedy zajeżdżamy przed dworek, dostrzegam poruszającą się firankę i po chwili na szerokie schody wypada Szparka, a zaraz za nią dostojnie kroczy pani Eliza. Szparka przypomina nimfę z niegdyś przeze mnie namalowanego fresku, te same roziskrzone oczy, te same rozwiane włosy wymykające się ze splecionego warkocza. Tylko że oczywiście nimfa nie miała na sobie śnieżnobiałego fartucha i czepka założonego na bakier nad lewym uchem. I nie śmiała się tak perliście, w ogóle się nie śmiała, dla ścisłości.

– Co za niespodzianka! – mówi pani Eliza i podchodzi, żeby mnie uściskać. – Zupełnie się ciebie nie spodziewaliśmy,

ale naturalnie dla takich gości pokój mamy zawsze! – mówi z dumą. Na te słowa zwracam się w kierunku niewielkiego parkingu usytuowanego nieopodal głównego budynku. Ciasno, jeden obok drugiego parkują tu luksusowe samochody, najwyraźniej spa w dworku cieszy się wielkim zainteresowaniem. Na myśl o tym ja również odczuwam dumę!

– Nie trzeba – śmieję się, całując moje kamionkowskie przyjaciółki. – Ja tylko na chwilę, dosłownie kilka minut! Naprawdę!

– Jak to na kilka minut!? Jak to na chwilę? – oburza się pani Eliza. – Przecież musimy się kawy napić! Pogawędzić! Nadzieja drożdżówkę ze śliwkami upiekła. Naprawdę myślisz, że się wymigasz, Kalinko?

– Skoro Nadzieja upiekła swoją słynną drożdżówkę ze śliwkami, to nawet nie będę próbowała się wymigać – śmieję się serdecznie. – Wobec tego szybko załatwię sprawę z Jolką i napijemy się kawy.

– A załatwiał sobie, co chcesz, tylko szybko wracaj! – pani Eliza wygląda na uradowaną moim przyjazdem. Mocno szturcha w plecy Szparkę, która właśnie zagląda na tylne siedzenie samochodu i opromienia uśmiechem Natalkę.

– A nic nie mówiła, że się spodziewa! – Dziewczyna patrzy na mnie z podziwem. – A takie duże jakieś... ile to to ma?

– Ja? – śmieję się. – To przecież Jolka się spodziewała, nie pamiętasz? To jej córeczka, Natalka. Moja chrześnica i tymczasowa podopieczna. Właśnie przywiozłam ją do mamusi.

– Czyli gdzie? – Pani Eliza zerka na mnie podejrzliwie.

– Czyli tutaj. – Nagle dopada mnie jakieś złe przeczucie. – Bo ona jest tutaj, prawda?

Na chwilę zapada kłopotliwa cisza, po czym sama odpowiadam sobie na zadane pytanie. Jestem wściekła.

Najwyraźniej mój cudowny weekend urody i rozrywki trafił szlag. I przez kogo to? Przez kogo? Kto ma wyjątkowy talent do rujnowania mojego życia i modyfikowania planów?

– Nie ma jej, tak? Czyli znowu mnie oszukała i teraz będę się bujać z małą do środy, tak jak chciała! – mówię płaczliwie.

– Cóż, być może nie chciała cię oszukać – ton pani Elizy ocieka współczuciem. – Rzeczywiście była tutaj zaraz z rana i chciała zatrzymać się w dworku razem ze swoim przyjacielem, jednak z wielką przykrością musiałam jej odmówić – z miny właścicielki dworku wnioskuję, że ta przykrość wcale nie była tak wielka, jak utrzymuje pani Eliza. Mogę założyć się o ostatnią kroplę benzyny w baku, że Jolka spotkała się z pełną satysfakcją odmową i odjeżdżając, mocno zgrzytała swoimi wybielonymi zębami. – Dworek jest oblegany, po prostu oblegany! Wszyscy chcą zobaczyć stryjecznego dziadka na galerii, a opowieść o udaremnionym napadzie tylko podsycza ciekawość gości. Coś mi się wydaje, że będziesz bohaterką podczas dzisiejszego obiadu, moja droga! – Klepie mnie po ramieniu. – Weź dziecko, Kalinko, i chodźmy do środka.

– Ale ja nie mogę tutaj zostać. Muszę wracać do Krakowa i poszukać tej chole... Jolki.

– A niby dlaczego? – dziwi się pani Eliza. – Mareczek czeka na ciebie?

– A skąd. Pojechał skunks w teren i zostawił mnie samą z tym całym bajzlem. Gdyby nie ta jego pilna praca, wyjechalibyśmy gdzieś na weekend i ona nie miałaby jak podrzucić mi dziecka! Jestem wściekła, po prostu wściekła! Tym razem ją zamorduję!

– Spokojnie. – Pani Eliza kładzie mi uspokajająco dłoń na ramieniu. – Na pewno wszystko się wyjaśni! Tymczasem wejdźmy do środka. Malutką z pewnością trzeba będzie

przewinąć. Poza tym musicie coś zjeść. Dzisiaj na obiad mamy wspaniałe gołąbki. Dietetyczną kuchnię musieliśmy porzucić. Co prawda zatrudniliśmy nowego kucharza, ale Nadzieja nie dała mu żyć. Odszedł po tygodniu i to nawet bez słowa wyjaśnienia.

– I tak nikt tego nowoczesnego jeść nie chciał – parska śmiechem Szparka. Nachyla się i wyplątuje Natalkę z szelek. Dziewczynka wpatruje się w nią jak zahipnotyzowana i dotyka małą rączką usianych piegami policzków.

– Weź torebkę. – Pani Eliza wskazuje wewnątrz samochodu.
– I psa, oczywiście.

– Oczywiście! – zgadzam się i pospiesznie pochylam do wnętrza auta, żeby wydobyć torebkę i jednorazową reklamówkę z zakupami dla Natalki. Nagle dociera do mnie sens słów pani Elizy i prostuję się tak gwałtownie, że aż uderzam głową o dach.
– Jakiego psa?!

I wtedy mój wzrok pada na tylne siedzenie, gdzie spod przeciwdeszczowego płaszcza w kolorowe serduszka wystaje kudłaty, rudawy psi łebek.

Pies robi wszystko, aby wsunąć się głębiej pod okrycie, ale słuszne gabaryty niweczą jego plany i kiedy pod płaszczem kryje się głowa, wychyla się zadek zakończony puszystym, choć mocno skołtunionym ogonem. Ciemne, przypominające małe paciorki oczy wpatrują się we mnie niespokojnie. Prostuję się i robię jedyną rzecz, na jaką mam w tej chwili siłę: chowam twarz w dłoniach i kręcę głową z niedowierzaniem.

– To jej sprawka. Na pewno jej ... – jęczę żałośnie.
– Kogo? – Pani Eliza wygląda na przestraszona.
– No, Jolki przecież. Ona jest odpowiedzialna za wszystkie nieszczęścia w moim życiu.

– Niemożliwe!

– A jednak. To zaczęło się jeszcze przed maturą...

Jednak zanim udaje mi się wytłumaczyć pani Elizie cały dramatyzm wieloletniej przyjaźni z Jolą, do samochodu podchodzi Szparka i ciekawie zagląda na tylne siedzenie i maskujące swoją obecność zwierzę.

– To przecież Młynek – mówi z uśmiechem.

– Kto? – wyrywa się równocześnie z ust moich i pani Elizy.

– Młynek. Tak ludzie ze wsi na niego wołają.

Trzy pary dorosłych oczu plus jedna para czternastomiesięcznych ślepeków zaglądają na tylne siedzenie i oceniają walory rasowe niespodziewanego pasażera. Odpowiada nam spłoszone spojrzenie, po czym pies nurkuje jeszcze głębiej pod przykrycie.

– Spotkałam go pod sklepem. Ale skąd ten Młynek tu na wsi i w moim samochodzie?

– Skąd w jej samochodzie, to ja tam nie wiem – śmieje się Szparka. – Jeść mu czasem nie dała?

– Dała – potwierdzam.

– No, to pewnie stąd – domyśla się Szparka.

– A skąd pod sklepem? Czyj on? – pyta pani Eliza.

– Niczyj. Jego to już parę tygodni temu podrzucili – tłumaczy Szparka.

– Jak to podrzucili? – Spoglądam ze zgrozą na zwierzę.

– Normalnie. – Szparka wzrusza ramionami, co Natałka kwituje głośnym chichotem. – Mało to paniczyków psy z auta wyrzuca? Na wczasy jadą, a pies zawadza. Więc przystanek pod lasem i dalej jadą już sami. A pies potem gania po wsi i żebrze o kawałek chleba albo pasztetówki. Nie wiedziały? – patrzy na nas z politowaniem.

– Widziałam w telewizji, ale żeby tak blisko, na żywo –

pani Eliza jest wyraźnie zmieszana. Ja nie mówię nic, tylko wpatruję się w skulonego pod płaszczem psa. Czuję, jak coś ściska mnie za gardło. Wstyd mi za ludzki gatunek. – I on też tak biega tu po wsi? – dopytuje właścicielka dworku.

– Ano biega – wzdycha Szparka, przerzucając Natalkę na drugie ramię. – To pod sklep leci, Marczakowa rzuci mu zeschniętej kiełbasy, to pod plebanię, ksiądz pacnie kromką chleba z masłem. Karol – piegowate policzki pokrywa krwisty rumieniec – to znaczy komisarz chce tego psa posłać do schroniska. Mówi, że szkoda go tu na wieś, bo na łańcuch wezmą. W mieście może i dom znajdzie?

– A jeśli nie znajdzie? Może lepiej niech tu zostanie? – Widmo psa za kratami schroniska wcale mi się nie podoba.

Szparka wzrusza ramionami.

– I na łańcuch trafi?

– A musi na łańcuch? – oburzam się. – Przecież to bardzo ładny piesek, taki na salony.

– Na wsi to nikt zwierzęcia na salonach nie trzyma – wzdycha pani Eliza. – Ale psa rzeczywiście szkoda.

Nagle uderza we mnie niepokojąca, ale zarazem dziwnie wspaniała myśl. Przecież ja zawsze marzyłam o psie i tylko maniacka obsesja czystości mojej matki stawiała na przeszkodzie spełnienia tych marzeń. Lucyna Radecka nie zniósłaby ludzkiego włosa spoczywającego na nieskazitelnej powierzchni dywanu w egzotyczne wzory, o psich kłaczkach nawet nie wspominając. Plan posiadania psa padł, zanim zdążył się narodzić. Ale teraz to zupełnie co innego. Wyprowadziłam się spod rodzicielskich skrzydeł i czujnej kontroli detektora czystości. Mieszkam z Markiem, który właściwie nigdy nie wypowiadał się krytycznie na temat posiadania domowych zwierząt, a nienawiścią pała jedynie do komarów i muszek

owocówek, zatem...

Muszę tylko gdzieś przetrzymać psa, póki nie poinformuję ukochanego o nowo mianowanym członku rodziny. Spoglądam z namysłem na panią Elizę.

– Może tutaj?

– Co: tutaj? – Właścicielka dworku wygląda na nieco przestraszona.

– Czy tutaj nie mógłby zostać? Hasać sobie po parku, pilnować kóz?

– Nie wiem... A co na to goście? Może im się nie spodoba?

– Na krótko – zastrzegam szybko. – Znajdę mu dom, obiecuję. Ale lepiej niech się już tak nie szwenda po wsi, jeszcze coś złego go spotka...

– No, może. – Pani Eliza nie wygląda na przekonaną, ale w końcu wzdycha głęboko i mówi. – No, dobrze. Najwyżej na kilka dni i tylko pod jednym warunkiem. Musicie go wykąpać i to szybko! Ja w tym czasie zajmę się małą.

Pozostaje wydobyć przerażone zwierzę z samochodu, co zdaje się nie będzie łatwym zadaniem. Cmokam, wołam i klepię się po kolanie. Wszystko na nic. Odpowiada mi butne i zdecydowane spojrzenie czekoladowych oczu. Psu spodobał się płaszcz w kolorowe serduszka i ani myśli spod niego wychodzić.

– Chodź piesku. – Pani Eliza stara się okazać swoje wsparcie. Razem cmokamy i wołamy, ale pies ma nas w nosie. Jedyłą odpowiedzią na nasze nawoływania okazuje się spojrzenie wilgotnych psich oczu i okrycie lekko falujące w miejscu, w którym znajduje się ogon.

– To na nic, nie wyjdzie – wzdycham żałośnie.

Szparka kręci głową.

– Widać, że psa nigdy nie miały – podaje Natalkę pani Elizie, a sama sięga do przepastnej kieszeni fartucha

i wydobywa kawałek smakowicie pachnącej kanapki. Odwija sreberko i pokazuje uważnie śledzącemu jej ruchy zwierzęciu. Płaszcz w serduszka porusza się coraz mocniej.

– Młynek, Młyneczek... chcesz troszkę?

Oczywiście, że chce! Pies strząsa z siebie okrycie i czołga się po siedzeniu w kierunku drzwiczek. Po chwili przeskakuje nad fotelikiem i już opiera przednie łapy o brzuch dziewczyny. Jednym kłapnięciem pyska eliminuje kanapę i łakomie obwąchuje kieszeń. Przypominam sobie o kupionych parówkach. Zdaje się, że jeszcze wiele muszę się dowiedzieć o psiej naturze.

– Serio mu dom znajdzie? – pyta zdyszana Szparka, mocując się z dwoma plastikowymi wiaderkami wypełnionymi po brzegi letnią wodą. W jednym wiadrze mamy wodę z dodatkiem delikatnego szamponu, w drugim czystą, do spłukiwania. Do tego spora emaliowana balia z nieco odrapanym bokiem. Taszczymy to wszystko na łączkę za kurnikiem, gdzie ukryte przed ciekawskimi spojrzeniami gości będziemy mogły porządnie wyszorować Młynka, a następnie wracamy na parking po samego zainteresowanego. Po drodze zgarniamy jeszcze stare ręczniki i szczotkę do ubrań.

– Pewnie! – kiwam głową. – Najlepszy, jaki tylko się uda!

Pani Eliza spaceruje po podjeździe, prowadząc zachwyconą Natalkę za rączkę. Oglądają krzaczki, kwiatki i motylki. Pies nie odstępuje ich na krok, na nasz widok robi jednak pospieszny zwrot w tył i chowa się za samochodem. Cmokam na niego

zachęcająco, ale ani myśli wyjść. Podejrzewam, że ta kąpiel okaże się niezapomnianym przeżyciem! O ile w ogóle do niej dojdzie, bo na razie się na to nie zapowiada! My w prawo, pies w lewo. My w lewo, pies w prawo. My w prawo i lewo, pies w krzaki. Ostatecznie Szparka wydobywa z kieszeni fartucha kolejną kanapkę z kiełbasą i łakoma bestia sama przychodzi.

– Z torbami przez niego pójdę – śmieje się dziewczyna, gdy kanapka znika za jednym kłapnięciem rudego pyska. – Nie mam już! – Intensywne psie spojrzenie utkwione w kieszeni mówi nam, że smakosz chleba z kiełbasą ma na ten temat odmienne zdanie.

Pospiesznie łapiemy go za obrozę, aby ponownie nie ewakuował się w krzaki i jesteśmy gotowe do misji „kąpiel”. Pani Eliza wskazuje palcem na przegub dłoni ozdobiony dużym zegarkiem.

– Macie tylko kwadrans, dziewczęta! Musicie się szybko uwinąć, bo Kasia ma masować tego biznesmena.

– Malinę? – Szparka wywraca oczami i pokazuje język. Wygląda to tak komicznie, że parskam śmiechem, a masażystka i Talcia wtórują mi radośnie.

– Tak, pana Malinę – pani Eliza grozi nam palcem. – I naprawdę nie ma tu miejsca na żadne śmichy-chichy. To bardzo wymagający klient i trzeba się nim zająć naprawdę starannie. On nie toleruje spóźnień, więc punktualnie o jedenastej musisz być na miejscu.

– Może być pewna, że będę. – Szparka zanosi się śmiechem i ciągnie Młynka w kierunku kurnika. Spieszę za nimi, rzucając zaciekawione spojrzenia na trawnik, gdzie właśnie wylegają goście. Ciekawe, który to ten Malina, co to ma tyle wymagań i nie toleruje spóźnień? Jakby czytając w moich myślach, Szparka nachyla się i szepcze:

– Okropny z niego typ, nic mu nie pasuje. Odkąd tylko przyjechał. Pokój nie taki, bo za mały. W następnym znowu przeciagi mu przeszkadzały. Nadzieję wnerwił już pierwszego wieczora, twierdząc, że makaron niedogotowany. Mało roboty nie rzuciła, bo jak twierdzi, chciała na dętkę gotować. Bo w telewizji widziała.

– Na dętkę? – dziwię się.

– No, programów kulinarnych nie ogląda? Na półtwardo przecie!

– Aaa, al dente!

– No, przecie mówię.

– I co dalej?

– No, postękała, postękała, ale została. Przecie wiadomo, że pani Elizy samej nie zostawi. Zwłaszcza teraz, jak panią Lilę znów na Francję pognało.

– Ale ja o tego faceta pytam.

– Ano nic. Łazi i narzeka. Nic mu się nie podoba. Twierdzi, że portret to podróba. Nimfa jakaś taka niewyraźna. Od rzeki komary leżą, a kozy beczą i drzemać po południu nie może. A ja go dziś masować muszę. – Szparka wzdycha żałośnie i chwytą obrożę Młynka drugą dłonią. – Chętnie bym mu wszystkie kosteczki policzyła, ale się nie da. Widzi te babki?

– Kto? – Szybko się reflektuję i poprawiam. – To znaczy które?

– Tamte. – Broda Szparki mało dyskretnie wskazuje dwie kobiety siedzące po bokach biznesmena Maliny. – Ta blondyna w seledynowym topie to jego żona, jakaś znana piosenkarka. Ta druga to sekretarka i kochanka.

– Naprawdę? – Przesuwam niechętnym spojrzeniem po szatynce w rogowych okularach. Od czasów love story niewiernego Patryka i Jolki darzę urazą wszystkie kochanki tego

świata. – A skąd wiesz?

– Nie wiem. – Szparka wzrusza szczupłymi ramionami. – Ale w serialach sekretarki zawsze mają romans ze swoimi szefami, co nie?

– Niby tak. Ale skoro jest taki niesympatyczny, to może się nie złapała?

– Sekretarki łapią się na co innego, nie na sympatyczność.

– A na co?

– Na małżeństwo. I pieniądze. – Szparka uśmiecha się pobłaźliwie. – Taka stara, a nic o świecie nie wie.

– Ile osób przebywa obecnie w dworku? – Decyduję się pominąć milczeniem przytyk dotyczący mojego wieku. Właśnie wchodzimy na łączkę za kurnikiem. Szparka puszcza obrożę psa, prostuje się i zaczyna wyliczać na swoich długich palcach kolejnych pensjonariuszy.

– No, więc... jest pan Waldemar Malina z żoną. Jest pani Karolina, jego... sekretarka. – Szparka parska śmiechem i puszcza do mnie oko. – Poza tym jeszcze pani Nina Krauze i jej mąż. Oni wszyscy się znają i przyjechali tutaj razem. Podobno ma dojechać jeszcze syn Maliny z pierwszego małżeństwa i jego żona, Jagoda. Jagoda Malina, to się jej trafiło, nie?

– Rzeczywiście, trochę nefartownie – uśmiecham się. – Czyli wszystko jedna klika... trochę dziwnie!

– Dziwnie, nie dziwnie. – Szparka wzrusza ramionami i ponownie łapie Młynka za obrożę. Pokazuje mi na migi, żebym przysunęła balię i wiaderka z wodą. Jakby wyczuwając jej intencje, pies zaczyna się wyrywać, a następnie dygotać. – Szczerze jej powiem, że ci goście mają takie wymagania, że nie mam czasu zastanowić się, co jest dziwne. Poza tym ja tu jestem tylko masażystką.

– No, chyba nie tylko! – Uśmiecham się, dźwigając ciężkie wiaderko z pianistą wodą. – Jesteś jeszcze psią kosmetyczką.

Zabieramy się do szorowania.

Uwięziony Młynek posyła nam tak rozpaczliwe spojrzenia, jakbyśmy zamierzały go co najmniej kijami okładać. Trzęsie się na całym ciele i chowa pod siebie kudłaty ogon. Który już tak kudłaty nie jest, kiedy pies został polany wodą. W ogóle to kiedy się go zmoczyło, zniknęło pół psa. Wszystkie kosteczki widać. Ogarnia mnie wściekłość na okrutnego właściciela, który zafundował niewinnemu zwierzęciu tak paskudny los. Och, niech ja cię dorwę w swoje ręce, kanalio jedna!

– Dobra, wystarczy, bo mu skórę zedrze! – Szparka zabiera mi gąbkę. – Teraz opłuczemy, niech trzyma mocno!

Trzymam mocno, najmocniej jak mogę, a Szparka polewa psa letnią strugą wody. Czuję, jak moja dłoń ślizga się na obroży, próbuję zacisnąć mocniej, ale pies w tej samej chwili decyduje, że koniec tego dobrego i wyrywa się z całych sił. Czyni to na tyle mocno, że z całym impetem padam na pupę, na dodatek ciągnąc za sobą Szparcę. To jednak nie koniec zemsty świeżo wykąpanego stworzenia. Młynek zatrzymuje się w pół kroku i posyła w naszą stronę obrażone spojrzenie. Po czym mocno wstrząsa całym ciałem, zrzucając z siebie miliardy lodowatych kropelek wody! Raz i drugi! Kiedy już z głośnym śmiechem i piskiem prosimy go, by okazał nam litość, wydaje z siebie radosne szczeknięcie i daje susa w pobliskie krzaki. Patrzymy za nim, siedząc w trawie i ocierając mokre twarze.

– No i zwał – mówię bardziej do siebie niż do Szparki, kiedy pies ginie w zaroślach parku. Szparka macha lekceważąco ręką, wstaje i zbiera pozostawione na trawniku wiaderka. Schylam się po miskę i czuję, jak mokre ubranie nieprzyjemnie przywiera do ciała. A to cwana bestia z tego psa! Nieźle nas

załatwił.

– Niech się nie martwi. Pewnie zaraz wróci, teraz jak poczuł kiełbasę, tak łatwo nie odpuści.

– Pospieszmy się, bo spóźnisz się na masowanie Maliny.

– A wtedy pani Eliza zrobi ze mnie galaretkę do obiadu.

– Malinową! – dopowiadam i zaśmiewamy się do łez.

Podchodzimy do drzwi wejściowych, naprzeciw nam wychodzi pani Eliza z drzemiącą Natałką na ręku.

– Mój Boże, jak wy wyglądacie!? Psa miałyście kąpać, a nie siebie nawzajem!

– Pies też wykąpany.

– A gdzie jest?

Spoglądamy na siebie ze Szparką znacząco i parskamy śmiechem.

– Poszedł na maliny.

– Ha, ha, ha, bardzo śmieszne! – pani Eliza grozi nam palcem, ale w jej oczach błyskają żartobliwe ogniki. – Ale jeśli już o malinach mowa, to pan Waldemar przełożył masaż na popołudnie. Przyjechał jego syn i musi się z nim pilnie rozmówić. Idźcie się przebrać, bo aż z was kapie! Zaraz Nadzieja wypowiedzeniem rzuci, że podłoga zachlapana, a jej pracy nikt nie szanuje.

Biegniemy do zabytkowej łazienki, w której to w ubiegłym roku przygotowowałyśmy słynne kąpiele z mleka z supermarketu i namydlonej wody. Na samą myśl o spędzonych w dworku dniach pogodnieję i uśmiecham się szeroko. Moja mina jednak szybko rzednie, kiedy uświadamiam sobie, że przecież nie mam nic na przebranie!

Szparka rozwiązuje mój problem z typowym dla siebie stoicyzmem. Z szafy w korytarzu wyciąga śnieżnobiały fartuch masażystki i oplata mnie nim na dziesiątą stronę. Zrezygnowana

spoglądam na siebie w nieco zaśniedziałym lustrze i usiłuję dopasować sztywny, biały materiał do swojej sylwetki. Fartuch najwyraźniej został zaprojektowany z myślą o Nadziei, sięga mi do połowy łydek, dłonie kryją się w przydługich rękawach, a na dodatek na całej długości materiał groteskowo odstaje od ciała. Spoglądam na Szparkę ze zgrozą w spojrzeniu.

– No, co się tak patrzy? Krochmalu z mąki ziemniaczanki nie widziała? – Śmieje się moja towarzyszka, po czym wydobywa z szuflady kawałek sznurka i nożyczki. Z podziwem obserwuję w lustrze jej manewry. Z niebywałą wprawą skraca mój nowy przyodziewek i opasa mnie sznurem, niczym paskiem z modnego butik. Wyglądam całkiem po ludzku! Tymczasem Szparka pewnym ruchem ciacha kolejny kawałek sznura, po czym odkłada resztę do szuflady. – Dla Młynka, gdy już wróci. – Potrząsa kawałkiem powrozka.

– O ile wróci – wzdycham.

– Wróci, wróci. Musi pozwiedzać nowe kąty, ale na kanapkę z kiełbasą na pewno przyleci. Niech ją o to głowa nie boli.

– I ty chcesz psa na tym uwiązać? – Patrę powątpiewająco na trzymany przez nią sznurek.

– A po co? Wcale nie zamierzam. Ale na wszelki wypadek mieć muszę, jakby miastowym się pokazał i postraszył. Takie paniusie potrafią rabanu narobić!

– Co racja, to racja – bąkam pod nosem, ponieważ sama zaliczam się do miastowych, jednak nie przypominam sobie żadnego rabanu w swoim wykonaniu. – A co teraz?

– Teraz niech idzie powiesić te mokre rzeczy na sznurku, a ja lecę kawę parzyć i Nadzieję uświadomić, że przerwę trza zrobić! W końcu nie co dzień mamy takich gości w dworku! – Zanosi się perlistym śmiechem. – Tylko niech wysoko wieszka,

bo kozy są łakome. Ostatnio Pucia żonie Maliny apaszkę za trzy stówki wszamała.

- I co? – otwieram szeroko oczy.
- Jak to: co? Jedna dostała ze stresu zatwardzenia, a druga...
- Nie kończ, błagam.

Rozdział 5

Przypuszczenia pani Elizy sprawdzają się co do joty i podczas obiadu obydwie z Natalką wzbudzamy spore zainteresowanie. Moja skromna osoba zdecydowanie większe, gdyż zamoczone ubranie jeszcze nie wyschło i jestem zmuszona zasiąść do stołu w kombinezonie stanowiącym połączenie sztywnej poszwy na kołdrę i kitla lekarskiego.

Zajmuję miejsce u końca stołu, skąd mam doskonały widok na zgromadzonych w jadalni kuracjuszy. Przy moim prawym łokciu siedzi pani Eliza z Talką na kolanach. Dziewczynka zdrzemnęła się troszkę przed południem i teraz jest pełna energii

i ochoty do psot! Po drugiej stronie siedzi cicha, rudowłosa kobieta o zamyślonym wyrazie twarzy. Jagoda Malina, jeśli dobrze zinterpretowałam jej lekko zalękniony szept.

Obok Jagody siedzi jej mąż, przystojny i pewny siebie mężczyzna. Swoją niedbałą pozą, gestami i soczystą opalenizną niepokojąco przypomina Patryka Cieplaka, więc staram się nie patrzeć zbyt często w jego kierunku, aby nie wyczytał niechęci płynącej z mojego spojrzenia. Dalej szczupła Nina Krauze z ciemnymi, nastroszonymi włosami i zamaszystą gestykulacją. Na wprost mnie siedzi jej mąż, podobno jakiś naukowiec. Nie wydaje się zainteresowany dysputą przy stole, z zaciekle wyrazem twarzy atakuje ślizgające się po talerzu gołąbki w sosie pomidorowym.

O ile na lewo ode mnie panuje cisza przerywana jedynie pojedynczymi uwagami, prawa burta rozbrzmiewa nieustannym gwarem. Pośrodku stołu siedzi Waldemar Malina, rozparty na krześle niczym arabski książę i łaskawie przyjmuje wyrazy uznania napływające ze strony siedzących po obydwu stronach kobiet. Dyskretnie przyglądam się blond piękności z nienaturalnie naciągniętą skórą i wydatnymi ustami idealnie wpisującymi się w kanony piękna afrykańskich plemion. Przez głowę przemyka mi myśl, że operacja powiększania ust jest mało ekonomiczna. Nie dość, że trzeba za nią słono zapłacić, to jeszcze później więcej szminki się zużywa. Madame Malina najwyraźniej na szmince nie oszczędza, co widać po obfitych śladach w kolorze fuksji zdobiących filiżankę, sztućce i serwetkę. Chyba fuksja jest modna w tym sezonie, bo Jola paraduje w podobnej kolorystyce.

Sekretarka siedzi nieco dalej, więc nie widzę dokładnie, czy jest ładna. Z pewnością ma mniejsze usta, mniejszy dekolt i niższe obcasy. Nosi okulary i granatowy kostium ze spodniami.

Nieustannie nachyla się w kierunku szefa, podsuwa półmiski, szklankę i pojemnik z przyprawami. Mam dziwne wrażenie, że gdyby tylko mogła, pokroiłaby jego gołąbki swoim nożem, a po obiedzie otarła zabrudzoną brodę papierową serwetką.

Spoglądam na Natalkę niedbale dłubiącą łyżeczką w ziemniakach polanych jogurtem naturalnym i stwierdzam, że jest bardziej samodzielna niż biedny Waldemar!

Tymczasem biznesmen przełyka ostatni kęs gołąbka, odchrząkuje i rozsiada się wygodnie w krześle, spoglądając na mnie z zagadkowym uśmiechem.

– Słyszałem, że pani ma, że tak to ujmę, zasługi w tym dworku – zagaja.

– Proszę? – Nie bardzo rozumiem, do czego zmierza.

– Czy to nie pani unieszkodliwiła złodziei?

– Bardziej Nadzieja. – Siłę się na żart.

– Ale to pani narzeczony był prowodyrem zajścia, tak? – Draży Malina. Kątem oka widzę, że pani Eliza nerwowo kręci się na krześle, co spotyka się z ostrym sprzeciwem Natalki.

– Były narzeczony – prostuję czym prędzej.

– Zawsze fascynowali mnie przestępcy – wtrąca Diana Malina, wydymając znacznie już wydęte usta. Przyglądam się temu z fascynacją. Nie podejrzewałam, że usta mogą stać się jeszcze większe, a tu proszę, niespodzianka! Żona biznesmena unosi dłoń zakończoną manikiurem w kolorze szminki i podkreśla swoje słowa zamaszystym ruchem. – Wydają się tacy prymitywni i dzicy. I te tatuaże, ohohoho! Czy pani narzeczony miał tatuaże? – Spogląda na mnie z ciekawością.

– Nic mi o tym nie wiadomo! – odpowiadam wesoło. – Nie zauważyłam żadnego, być może jakieś ukrył? – Diana taksuje mnie spojrzeniem o dość pogardliwym charakterze, które najwyraźniej ma sugerować, że takie gołąbeczki jak ja nie

orientują się, gdzie u dzikich i prymitywnych występują tatuaże. Czuję się w obowiązku dodać. – Ale wie pani, w tym czasie, kiedy ten człowiek był moim narzeczonym, wydawał się całkiem normalny. Tyle że mocno opalony. – Wbrew usilnym staraniom zerkam w kierunku syna Maliny i przekonuję się, że przygląda mi się z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Nie wierzę, że nie zauważyła pani, że coś się kroi. – Waldemar Malina najwyraźniej ma ochotę drażnić temat napadu na dworek, ale nikt nie podchwytuje wątku. Zwraca się więc w kierunku pani Elizy, która właśnie odsuwa swój talerz i usiłuje zabrać Natalce łyżeczkę, którą dziewczynka drażni tunele w kupce ziemniaków. – A ten obraz to ile wart? – pyta obcesowo.

– Dużo! – odpowiada równie obcesowo pani Eliza, która najwyraźniej ma już dość niegrzecznego gościa.

– Niemożliwe! Obawiam się, że dały się panie wpuścić w maliny! – W odpowiedzi na własny dowcip jako jedyny zanoszą się śmiechem. Pani Eliza czerwienieje i najwyraźniej ma zamiar powstać i co nieco panu Waldemarowi powiedzieć, ale w tej samej chwili następują po sobie dwa znaczące wydarzenia.

Do jadalni wbiega Szparka, która zaczyna zbierać ze stołu pozostawione naczynia. Wpierw kładzie na tacy płaskie talerze po drugim daniu, przez chwilę waha się, po czym na szczycie ustawia naczynie z resztką nietkniętych gołąbków i sosjerkę z sosem pomidorowym. Jej manewry śledzą pełne uznania spojrzenia mężczyzn i przepełnione zawiścią oczy kobiet. Bo Szparka porusza się wokół stołu niczym jakaś baletnica lub, co bardziej możliwe, jak ta nimfa rzeczna, którą osobiście wymalowałam na ścianie galerii, a którą następnie Marek splukał wodą z ludwikiem. Z gracją i jakimś naturalnym urokiem.

Chwilę później z przerażeniem obserwuję, jak w szparę uchylonych przez dziewczynę drzwi wsuwa się kudłata i dość mocno zabrudzona łapa. Łapa przez moment zwisa w powietrzu, po czym popycha skrzydło drzwi i posuwa się do przodu, prowadząc za sobą godne pożałowania stworzenie składające się z rudych kłaków, ogromnej ilości błota i wywieszonego, różowego jęczora. Przeczuwam nadciągającą katastrofę i unoszę się z krzesła, ale jest już za późno. Niczym karykaturalnie wesoły armagedon z merdającym ogonem Młynek wydaje z siebie jedno szczeknięcie, po czym rusza z impetem w kierunku Szparki. W tej chwili dociera do mnie, skąd wzięło się jego osobliwe imię. Pies kilkakrotnie obraca się wkoło, jakby chcąc złapać własny ogon. Patrzę, jak opiera się o Szparkę przednimi łapami i wydobywa z kieszonki fartucha ostatni kawałek kanapki z kiełbasą. W tej samej chwili dziewczyna traci równowagę i upada, zalewając siebie i psa resztką gołąbków i sosu!

I chociaż wydaje się, że to już koniec godnych pożałowania wypadków i gorzej być naprawdę nie może, Młynek unosi się spomiędzy szczątków naczyń i liści kapusty (włoskiej, bo Nadziejka zawsze powtarza, że gołąbki jedynie z włoską smakuja), pospiesznie przełyka kawałek oswobodzonego ze sreberka chleba i rozgląda się na boki, radośnie machając ogonem. Po czym szybkim truchtem podbiega do oszołomionego Waldemara Maliny i opiera na nim łapy, znacząc śnieżnobiałą koszulę charakterystycznymi, pomarańczowymi odciskami.

Doprawdy nie wiem, kto w tym momencie jest bardziej czerwony: pani Eliza, która chowa twarz w dłoniach, usiłująca pozbiierać się z podłogi Szparka, wściekły biznesmen czy ja sama. Choć mam na swoim koncie sporo zasług dla dworku,

właśnie sprowadziłam na to miejsce największe jego przekleństwo!

Dramatyczne chwile w jadalni skutkują następującymi ustaleniami. Pan Malina idzie zmienić koszulę i zmyć z siebie zapach błota i psich kłaków, po czym ma zostać wymasowany i to natychmiast. Po masażu wraz z zaproszonymi gośćmi opuści ten przybytek rozpaczy i jego noga tu więcej nie postanie. A jeśli masażystka nie stanie na wysokości zadania – pan Malina dopilnuje, żeby w tej godnej pożalowania stodole między drzewami nie powstała żadna ludzka stopa. Pani Eliza może sobie w dworku otworzyć schronisko dla bezdomnych zwierząt albo spa dla psów. Najwyraźniej tylko do tego się nadaje i żadna podróba portretu na galerii tego nie zmieni.

Zrozpaczona pani Eliza słabym głosem wydaje polecenia. Zalana sosem Szparka zostaje oddelegowana do łazienki, gdzie ma doprowadzić do porządku siebie i psa. Najlepiej równocześnie. Ale kto w takim razie będzie masował biznesmena?

– Sama go wymasuję... grabiami – cedzi między zębami pani Eliza i dopiero teraz dociera do mnie, że jej wściekłość nie jest ukierunkowana ku mnie i tej nieszczęsnej kupce futra, która jeszcze przed chwilą wylizywała sos pomidorowy z parkietu, ale właśnie w stronę pana Waldemara, który grabił sobie przez ostatnie dni i wreszcie nagrabił. Do tego stopnia, że właścicielka pragnie go właśnie grabiami pobłogosławić.

Czuję się winna, bądź co bądź własnym samochodem

przywiozłam do dworku pasażera na gapę i do tego uprosiłam panią Elizę, żeby go dla mnie przechowała przez kilka dni. Ba, zdecydowałam nawet – choć bez konsultacji z Markiem – że rzeczony pasażer zostanie stałym lokatorem naszego mieszkania. Jestem więc odpowiedzialna za wszystkie odciski błota, rozbite naczynia, wylane sosy. I za zagniewanych biznesmenów też jestem odpowiedzialna.

– Ja to zrobię – proponuję więc szybko.

– Co zrobisz, Kalinko? – Pani Eliza jest cokolwiek zamyślona, najwyraźniej więc bojowe nastawienie skrywa poważny frasunek.

– Wymasuję Malinę!

– Och, nie mogę cię o to prosić. – Pani Eliza kręci głową.

– Nie ma o czym mówić. Dam sobie radę. To chyba nic trudnego?

– No, nie wiem. Słyszałaś, co mówił. Jeśli nie będzie zadowolony...

– Myślę, że i tak nie będzie. Nawet jeśli wymasuję go topless. – Oczy pani Elizy nabierają kształtu piłeczek pingpongowych, więc pospiesznie zaznaczam, że nie mam takiego zamiaru. – Po prostu jest wściekły i w tym momencie nic go nie przekona do dworku. A to wszystko wina... – Spoglądam w kierunku pobojuwiska pozostawionego na podłodze przez Młynka. – A to moja wina, bo zachciało mi się psa.

– Och. – Pani Eliza przygląda mi się przez chwilę zagadkowo, po czym skinieniem głowy okazuje aprobatę dla mojej propozycji. – Może to i dobry pomysł, żebyś ty to zrobiła? Masz w sobie takie coś, nie wiem co. Wszyscy cię uwielbiamy, może i Malina pokocha? Zresztą gorzej być już nie może.

Obciągam brzegi uniformu masażystki, który przed godziną spreparowała dla mnie Szparka. Jej działania okazały się

prorocze, za parę minut przyjdzie mi się zmierzyć z nowym zajęciem. W kamionkowskim dworku byłam już malarką, instruktorką fitnessu, osobistą asystentką, detektywem amatorem – poradzę sobie i z rolą masażystki. Zaopatrzę się w karafkę z olejkiem i ruszam do boju, tak ugniotę pana Malinę, że ani jedna pesteczka, tfu, kosteczka nie pozostanie na swoim miejscu.

Jak się okazuje, pod względem technik masażu dworek w Kamionkach również przeszedł metamorfozę. Kiedy rok temu do spa przybyli pierwsi goście, masażystka Szparka powitała ich przy kozetce w bibliotece, dzierżąc w jednej dłoni karafkę z olejem kujawskim, w drugiej zaś woreczek ze świeżo zmieloną pszenicą. Obecnie zabiegi masażu wykonuje się w specjalnie wydzielonym, zacisznym pokoiku, na profesjonalnym łóżku nakrytym miękką, białą tkaniną. A świeżo mianowane dłonie masażystki mogą zwilżyć ciało kuracjusza aromatycznym olejkiem do masażu w wybranej tonacji zapachowej. Kwiat pomarańczy, arabskie kadzidło, a nawet coca-cola, żaden problem!

Zanim udaję się do pokoju masażu, decyduję się pokrzepić szklanką soku i sprawdzić, jak miewa się Natałka. Kiedy wchodzę do biblioteki, moim oczom ukazuje się osobliwy widok: Natałka na czworaka przemierza pomieszczenie, a tuż za nią podąża w tej samej pozycji pani Eliza. Obydwie wydają przy tym dziwaczne kwiki i parsknięcia, czemu z wysokości kanapy przygląda się świeżo wykąpany Młynek. Widząc, że Natałka przebywa w najlepszych możliwych rękach, decyduję się nie

zakłócać zabawy i czym prędzej opuszczam bibliotekę. Pies wykorzystuje moją obecność i zrywa się z kanapy, by towarzyszyć mi do położonego nieopodal pokoiku i ostentacyjnie rozsiaść się przed drzwiami.

– Dość już narozrabiałeś, znikaj! – mówię. Pies zdaje się zupełnie lekceważyć moje słowa, nadal siedzi przed drzwiami i miarowo uderza ogonem w deski podłogi. Wpatruje się wyczekująco w moją twarz, najwyraźniej wcale nie mając zamiaru mnie przepuścić. Wskazuję mu uchylone drzwi biblioteki. – Idź i pobaw się z dzieckiem, tam bardziej się przydasz! – Nadal nic, pochylam się w jego stronę i szepczę: – Słuchaj, wiem, że go nie lubisz. Na mnie też zrobił nie najlepsze wrażenie, ale po prostu muszę to zrobić. Twój występ po obiedzie może zrujnować panią Elizę, więc łaskawie weź i przesun swoje cztery litery. A może ty masz akurat trzy litery? Zad? To przesun, dobra? Bo już i tak jestem spóźniona.

Delikatnie kładę dłoń na klamce, a wtedy z gardła psa dobywa się ostrzegawcze warknięcie. No, teraz to już kolega przesadza! Ja do niego z sercem, czułymi słówkami i kiełbasą, a ten... zaraz! Kiełbasa! To jest jakaś myśl! Pospiesznie biegnę do kuchni i przetrząsam półki lodówki. Namierzam plasterek lekko podeschniętej szynki i wymachując nim triumfalnie, wracam do psa. W korytarzu napotykam żonę biznesmena, która na mój widok cofa się z obrzydzeniem.

– O mój Boże, co to jest?!

– Przynęta – mówię wesoło. Diana przywiera plecami do ściany i obserwuje mnie podejrzliwie, jakby bojąc się, że zechcę ją trzymanym plasterkiem nakarmić. Nie poświęcam jej więcej uwagi, zbliżam się szybko do psa i podtykam pod nos pachnący przysmak. Jedno kłapnięcie paszczy i po szynce. Niestety, Młynek nie rusza się sprzed drzwi ani o krok. Złoszczę się. –

Taki jesteś? Czekaj ty!

I ponownie biegnę do kuchni i lodówki, by wyszukać coś, co znęci psa na tyle, by zechciał opuścić swój posterunek przy drzwiach. Powracam z kawałkiem kaszanki i tym razem nie mam zamiaru pozwolić pożreć przynęty, zanim nie pozbędę się kudłatej przeszkody. Wraz z kaszanką przesuwam się w kierunku biblioteki, a pies jak zahipnotyzowany unosi się i podąża za mną, nie spuszczaając jedzenia z oczu. Wsuwam dłoń z kaszanką do wnętrza biblioteki, a kiedy pies znika za moją ręką, pospiesznie rzucam przysmak na podłogę i zamykam drzwi. No i problem rozwiązany, mam tylko nadzieję, że nie trafiłam pani Elizy tą kiszka w czubek głowy!

Kolejny raz biegnę do kuchni, tym razem aby umyć dłonie i natrzeć je pachnącym kremem, który zawsze trzymam w torebce. Nie chciałabym zniechęcić pana Maliny unoszącą się z mojej skóry wonią rodem z masarni!

W końcu docieram do pokoju masażu i przekonuję się, że biznesmen znajduje się już na miejscu. Leży na kozetce, rozebrany i gotowy do zabiegu. Od pasa w górę jest nagi, mogę podziwiać jego potężne plecy i szeroki kark. Twarz zwrócił do ściany, więc nie widzę jej wyrazu, ale mam nadzieję, że największa złość już mu minęła, że nie będzie rzucał inwektywami i złośliwościami. Nie rusza się, może śpi?

Na wszelki wypadek poruszam się bardzo cicho. Podchodzę do sprzętu grającego stojącego na komodzie i włączam delikatną, kojącą muzykę. Przez ramię zerkam na biznesmena, czy moje działanie nie spotka się z jego sprzeciwem. Wciąż zero reakcji, zatem lekko odchrząkuję i decyduję się przemówić.

– Jeśli jest pan gotów, możemy przystąpić do masażu.

Cisza.

– Włączyłam muzykę, żeby było nam przyjemniej, ale jeśli

nie odpowiada panu melodia, mogę wybrać coś innego.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszam ramionami i decyduję się przystąpić do działania. Jeśli woli się nie odzywać i grać obrażonego, jego sprawa. A może po prostu zasnął i nawet nie poczuje, że go masuję? Tym lepiej, bo jeśli coś skrewię, nawet tego nie zauważy! Nucąc cichutko piosenkę, podchodzę do szafy i otwieram jej skrzydła, lustrując wzrokiem zgromadzone wewnątrz olejki do masażu i kosmetyki. Oglądam się na leżącego na kozetce mężczyznę.

– Na jaki zapach ma pan ochotę, panie Waldemarze? Może nuta cytrusowa? Wanilia? Cynamon? Guma balonowa? Milczy pan. Pozwoli pan wobec tego, że wybiorę według własnych preferencji. Nie możemy dłużej zwlekać z masażem, bo nam pan zmarźnie, dostanie kataru i dopiero pan będzie kiepsko wspominał nasze spa. Bo do tej pory było wspaniale, prawda? – trajkoczę wesoło, równocześnie zdejmując korek z buteleczki oznaczonej rysunkiem róży i przytykając ją do nosa. – Przecież wypadek z psem nie mógł wpłynąć na pana ocenę, na pewno ma pan poczucie humoru!

Odpowiada mi cisza, więc dalej kontempluję piękne aromaty olejków. Ostatecznie decyduję się na zapach zielonej herbaty, który ostatnio podbił moje powonienie i serce. Zbliżam się do kozetki i obwieszczam panu Waldemarowi, że za moment jego zmęczone mięśnie poczują dobrodziejstwo płynące z olejku herbacianego. Rozcieram dłonie, aby porządnie je rozgrzać i kładę je na plecach biznesmena. Jestem przekonana, że się poruszy, drgnie albo cokolwiek, ale najwyraźniej ma twardy sen.

– Rzeczywiście, zmarzył pan, panie Waldemarze – mówię, czując pod palcami jego chłodną skórę. – Może włączę ogrzewanie? Wiem, że mamy sierpień, ale widzi pan, to bardzo stare i grube mury.

Odsuwam się na moment i wycieram tłuste dłonie w mały ręczniczek leżący na stoliku. Chęć włączenia ogrzewania jest tylko przykrywką, najwyższa pora przyznać, że w towarzystwie milczącego biznesmena czuję się dosyć nieswojo. Dlaczego on nie mówi, dlaczego się nie porusza? Może jest na coś chory i zapadł w śpiączkę?

Podchodzę do kozetki na palcach i wpatruję się uporczywie w plecy Waldemara Maliny. Unoszą się? Nie unoszą? Nic nie widzę i muszę nachylić się bardziej. Tak uporczywie wpatruję się między łopatki biznesmena, że nie zauważam, jak moje nogi zaplątują się w leżące przy łóżku ręczniki i padam jak długa. Asekuracyjnie wyciągam rękę i łapię, co akurat znajduje się w jej zasięgu. Zbyt późno uświadamiam sobie, że trzymam za ramię nieruchomego biznesmena i upadam na podłogę, ciągnąc go za sobą. Z głośnym łomotem zwałam się pod łóżko, a mężczyzna zsuwa się zaraz za mną i przygniata mnie do podłogi. Przez chwilę nie mogę złapać tchu, ale w końcu unoszę głowę i nieśmiało wpatruję się w twarz biznesmena. Ma prawo być naprawdę wściekły, to co wyczyniał z nim Młynek było niczym w porównaniu z tym!

Waldemar Malina nie ma jednak zamiaru okazać swej wściekłości i wrzeszczeć na niewydarzoną masażystkę. Za to ja mam ochotę wrzeszczeć, krzyczeć i piszczeć, jednak z mojego gardła nie dobywa się ani jeden dźwięk. Leżę i ciężko oddychając, wpatruję się w nieruchomą twarz biznesmena. W końcu udaje mi się wrzasnąć, a zza drzwi wtóruje mi żałobne wycie Młynka.

A przecież pies mnie ostrzegał, bym nie wchodziła do tego pokoju! Najwyraźniej ma dobry węch i wyczuł trupa, zanim ja go zobaczyłam. Może nawet wyczuł go wcześniej niż sama kostucha i dlatego tak entuzjastycznie podbiegł do niego po obiedzie? Psy lubią nieświeżo pachnące mięso, czytałam o tym!

Mogłabym sobie pluć w brodę, że nie posłuchałam psiej intuicji, ale nie jestem w stanie. Choćby dlatego, że zbyt blisko moich rozkrzyczanych ust przebywa twarz pana Waldemara Maliny, świętej kurczę pamięci, a ja nie mam ochoty się z nią zetknąć. Obawiam się również, że moje żalosne skamlenie nie dobiegnie niczyich uszu i będę tutaj leżeć i leżeć, aż w końcu wyzionę ducha i dołączę do niegrzecznego biznesmena. A musicie przyznać, że mało doborowe to towarzystwo!

Na szczęście siedzący za drzwiami Młynek nie ustaje w swym jazgocie, co napawa mnie otuchą i sprawia, że zaczynam wierzyć w doczekanie ekipy ratunkowej. Rzeczywiście, gdzieś z oddali dobiega mnie odgłos skrzypiących drzwi i niespokojny głos pani Elizy.

– Cho... inka jasna, co tu się wyrabia? Cicho już! Poszedł pies!

Słyszę także głośnie kroki nadbiegających z różnych stron ludzi, a po chwili ktoś naciska kłamkę i do pokoju wtacza się cały zastęp zaciekawionych osób z rozszczekany psem na czele!

Podejrzewam, że kiedy uchylono w końcu drzwi do pokoju, oczom przybyłych ukazał się budzący grozę widok. Na podłodze, nieopodal łóżka, leży wierzgająca wszystkimi czterema kończynami kobieta. Wydaje z siebie dziwne dźwięki i bezskutecznie usiłuje się podnieść. Uniemożliwia jej to potężny, półnagi mężczyzna, który swoim ciężarem przygniata

ją do podłogi. Popisy sumo w kamionkowskim wydaniu. Albo...
o, panie Waldemarze, ma pan szczęście, że nie ma tutaj Marka!

– Mój Boże, on ją morduje! – wrzeszczy pani Eliza, łapiąc za stojący w kącie pokoju wieszak.

– Mój Boże, ona go zabiła! – wrzeszczy ktoś o piskliwym tonie.

– Mój Boże, kto to posprząta? – wrzeszczy Nadzieja.

Do pokoju wciąż przybywają kolejni ludzie, aż w końcu robi się niewyobrażalnie ciasno i duszno. Pani Eliza miota się po pokoju i wciąż powtarza, jak mantrę:

– Ratujcie ją, przecież ją morduje.

– Niestety nie – piszczę więc cichutko. – Ale obawiam się, że sam się zamordował. To znaczy umarł. O matko, zdejmijcie go ze mnie, proszę!

Dwóch mężczyzn zsuwa ze mnie nieboszczyka, więc szybko podrywam się na nogi i uciekam w drugi kąt pokoju. Kucam sobie pod ścianą i ukrywam twarz w dłoniach.

W wyobraźni wciąż mam wytrzeszczone oczy biznesmena i uwierzcie na słowo, że nie jest to przyjemny widok. Młynek najwyraźniej wyczuwa mój nastrój, bo podchodzi i kładzie mi łeb na kolanie. Patrzy i patrzy wyczekująco, w końcu kiwam głową i mówię:

– Miałeś całkowitą rację, piesku. Trzeba było nie wchodzić do tego pokoju.

A nie mówiłem? – Czytam w jego oczach.

Tymczasem zgromadzeni snują różne teorie i zastanawiają się, co mogło się wydarzyć. Pani Eliza dopytuje, czy świętej pamięci Waldemar Malina uskarżał się na zdrowie. Jej słowa skutkują nieprzerwanym strumieniem łez toczonych ze starannie wymalowanych oczu świeżo upieczonej wdowy. Młoda kobieta opada na kolana tuż przy zwłokach i zaczyna zawodzić. Chwilę

później dołącza do niej sekretarka. Wszystkiemu przygląda się trzecia kobieta, ta z nastroszonymi włosami, ale najwyraźniej dochodzi do wniosku, że dla niej brakuje miejsca przy nieżyjącym, bo wzrusza tylko ramionami i wychodzi z pokoju.

– Coś nieładnie tu pachnie – stwierdza.

– Wezwałam karetkę – dobiega z korytarza cichy kobiecy głos.

– Po co? Na pierwszy rzut oka widać, że za późno.

– Takie są procedury – tłumaczy syn denata. –

W przypadku podejrzanego zgonu zawsze trzeba wezwać karetkę, żeby lekarz określił przyczynę śmierci.

– Sam możesz to zrobić! – Mąż Niny Krauze wzrusza ramionami.

– Ale wolałbym tego *nie* robić. Poza tym z ojcem nigdy nic nie wiadomo. Dziś umarł, a jutro może zmienić zdanie. Taki już jest. To znaczy był.

– O mój Boże, Waldi, Waldi, Waldi mój kochany – zawodzi żona.

– I taki dobry szef! – Pociąga nosem okularnica. – Taki porządny!

– Cyrk na kółkach – szepcze pani Eliza. – Nie dość, że taki nieuprzejmy, to jeszcze umarł! Chodź Kalinko, łykniesz nalewki na uspokojenie!

Pozwalam ująć się pod łokieć i zaprowadzić do kuchni, przed nami drepcze pies. Jego radosne truchtanie i wahadłowy ruch ogona wydają się zupełnie nie na miejscu w tak dramatycznej sytuacji, ale nic sobie z tego nie robi. Kiedy siadam za stołem, nie spuszcza ze mnie wzroku, zupełnie jakby doszedł do wniosku, że musi mnie strzec, by nie stało mi się nic złego. Zresztą wcale mu się nie dziwię! Właśnie udowodniłam, że zupełnie nie potrafię o siebie zadbać. Zero instynktu

samozachowawczego! Teraz będę się tłumaczyć, że biznesmena podczas tego całego masowania nie zamordowałam. Pani Eliza chyba myśli o tym samym, bo patrzy na mnie z troską i podsuwa kieliszek z czerwonym płynem, mówiąc:

- To na pewno serce...
- Myślałam, że śpi!
- Spał – mówi z przekąsem właścicielka dworku. – Uśpił się na amen.

Doprawdy, mogę powiedzieć, że wielu rzeczy nie potrafię, ale jedną rzecz opanowałam do perfekcji: pakowanie się w tarapaty. Jak nie uganiam się za złodziejami dzieł sztuki, to masuję nieboszczyka, zrzucam go ze stołu i odkrywam, że nie żyje. Choć oczywiście jest proste i logiczne, że nieboszczyk nie żyje, ale czy doprawdy jego masowanie musi przypadać w udziale właśnie mnie?

A czyja to wina? Naturalnie, że Jolki, która podrzuciła mi Natalię niczym kukułcze jajo i wyfrunęła z gniazda, by uganiać się za jakimś dzięciołem. To przez nią ponownie zjawiłam się w dworku, przez nią przygarnęłam bezdomnego psa, przez nią Szparka upuściła talerze i musiała się kąpać i przez nią ja stałam się masażystką. Wszystko przez Jolkę, a ja nawet nie mogę jej o tym powiedzieć, bo wciąż ma wyłączony telefon.

W końcu zdesperowana wychylam kieliszek nalewki i piszę krótkiego SMS-a: *W dworku jest trup, przyjedź po dziecko i przestań sprowadzać na mnie nieszczęścia!*

Mam nadzieję, że poskutkuje. A jeśli nawet nie, to

przynajmniej wyżyłam się na klawiaturze telefonu. Wciskałam przyciski z taką pasją, że cud, iż nie poodskakiwały!

Pani Eliza kręci się niespokojnie po kuchni i wygląda na podjazd, gdzie przed kilkunastoma minutami zatrzymała się karetka. Nagle docierają do nas podniesione głosy i decydujemy się wyjść na korytarz. Kiedy przechodzimy przez hall, dostrzegam bladą twarz Szparki, która siedzi na podeście schodów z drzemiącą Natalką przytuloną do ramienia. Młynek podąża za mną krok w krok i ze zdumieniem stwierdzam, że jakoś mi z tym lepiej. Czuję się pewniej i bezpieczniej.

Zbliżamy się do drzwi prowadzących do pokoju masażu, gdzie wciąż spoczywa Waldemar Malina i odbywa się właśnie badanie. Rodzina i przyjaciele zmarłego tłoczą się w korytarzu, popatrując na nas ponuro. Nagle zza drzwi wyłania się zapłakana żona denata i wskazuje mnie szpicem fuksjowego paznokcia.

– To ona! Panie doktorze, to ona zabiła mojego męża!

– Naprawdę? – Młody lekarz stojący u jej boku lustruje mnie uważnym spojrzeniem. Czuję, że oblewam się krwistym rumieńcem.

– Nikogo nie zabiłam, ledwie zdążyłam dotknąć pana Waldemara jednym palcem!

– To z pewnością jakieś kłopoty zdrowotne! – popiera mnie pani Eliza.

– Przykro mi to mówić, ale myli się pani. Niewiele można powiedzieć w tej chwili, ale to z pewnością nie był zgon naturalny – obwieszcza lekarz. – Proszę zadzwonić po policję albo ja to zrobię, jeśli państwo tak wolą.

– Nie trzeba! – Rozlega się donośny okrzyk i wszyscy zebrani zwracają się ku miejscu, skąd się roznosi. U wylotu korytarza pojawia się komisarz Karol Broszko. – Policja już tu jest!

Zgromadzeni patrzą na policjanta ze zdumieniem, a ten podkręca wąsa i uśmiecha się do mnie szeroko.

– I co znowu pani nawywijała, pani Kalino?

– Nic nie nawywijałam – tłumaczę komisarzowi po upływie paru chwil. Wyszliśmy razem do ogrodu, żeby uciec przed wścibskimi spojrzeniami bliskich denata. Sam Malina został przetransportowany do zakładu medycyny sądowej, gdzie zostanie wykonana sekcja zwłok, która wykaże przyczynę śmierci. Mam nadzieję, że nie będą nią opary herbacianego olejku lub zimne dłonie masażystki, bo pójdę siedzieć!

– A to się dopiero okaże! – mówi surowo Karol Broszko, na co gwałtownie się prostuję. – To zaskakujące, że nasze Kamionki są takie spokojne i ciche, a ledwie przyjedzie pani Kalinka, od razu włamanie, napaści, morderstwa!

– Co mi pan tu insynuuje, he? Poza tym wcale nie wiadomo, czy Malina naprawdę został zamordowany!

– Wiadomo, wiadomo! Doktor jest pewien, że zgon nie nastąpił w wyniku przyczyn naturalnych. To oczywiście mógł być jakiś wypadek, ale nasz doktorek skłania się ku temu, że ktoś panu Malinie pomógł zejść...

– Ja mu pomogłam zejść tylko ze stołu i to zupełnie niechcący!

– No, a gdzie pani była, kiedy to się stało?

– Co?!

– Kiedy odkryto, że Malina nie żyje?

– No, pod nim. Tak jakby.

– O, i to jest właśnie największy problem. Przebywała pani z denatem sam na sam i teraz stanie się pani główną podejrzaną. O ile nie jedyną!

– Ale ja mu nic nie zrobiłam!

– Ale o tym wie tylko pani i on. A on raczej się nie odezwie, aby stanąć w pani obronie.

Patrzę na komisarza z niedowierzaniem. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, po tym jak unieszkodliwiliśmy szajkę złodziei dzieł sztuki, nawet po naszej nieudanej akcji zdemaskowania Marka jako grubej ryby w przestępczym światku, komisarz ma czelność wątpić w moją niewinność? Nagle uświadamiam sobie ważną rzecz i chwytam się jej jak tonący dryfującej deski.

– A jaki ja niby miałam motyw, aby zamordować pana Malinę, co?

Z triumfem obserwuję, jak na twarzy Karola Broszko odbija się konsternacja. Komisarz zdejmuje z głowy czapkę, wsuwa ją pod pachę, drapie się w czoło, po czym ponownie wsuwa na swoje miejsce. Przez chwilę spogląda na mnie z namysłem, po czym uśmiecha się szeroko i oświadcza.

– Już tam na pewno coś się znajdzie! – mówi. Nie wierzę w to, co słyszę!

– To niech pan nie szuka! Niech pan lepiej poszuka tego, kto to naprawdę zrobił, bo ja mam inne sprawy na głowie, a nie zostać oskarżoną o morderstwo. Nie widzi pan, że dzieckiem podrzuconym się opiekuję? Że psią sierotę właśnie przygarniam? Ja naprawdę nie mam czasu na pana oskarżenia, za godzinę wyjeżdżam do Krakowa!

– Nikt stąd nie wyjedzie, ani do Krakowa, ani nigdzie indziej, dopóki policja nie wyda na to pozwolenia! – Karol Broszko czerwienieje na twarzy, nie jestem pewna z upału czy

ze złości. – Nikt, powtarzam! Wszyscy muszą pozostać w dworku, wszyscy są podejrzani!

– A mówił pan, że tylko ja! – Patrzę na niego z politowaniem. – Panie Karolu, to są Kamionki, a nie angielska posiadłość z powieści Agathy Christie. A pan nie jest Herkulesem Poirot. Nie będziemy tu przecież siedzieć, aż pan znajdzie sprawcę!

– To ja decyduję, ile będziecie siedzieć! – piekli się komisarz. – Spiesz się pani gdzieś? W pani interesie jest, żeby wszystko zostało starannie zbadane i sprawca został wykryty!

– No, właściwie to aż tak mi się nie spieszy – przyznaję. – Ale co z kukułczym jajem?

– Z czym, przepraszam?

– No z małą przecież! Muszę ją zwrócić matce, nie zamierzam opiekować się nią bez końca. W dodatku na miejscu zbrodni, to jakaś okropność!

– Policja namierzy panią Jolantę – obwieszcza dumnie Karol Broszko.

– Ciekawe, jak policja ją zmusi, żeby przyjechała po dziecko?

– Policja ma swoje sposoby. Do wieczora, no powiedzmy, do jutra rana, pozbędzie się pani jaja. To znaczy dziewczynki.

– Dobrze i to. – Kiwam głową. – Co pan teraz robi?

Karol Broszko posyła mi ostre spojrzenie.

– Chyba nie zamierza się pani wtrącać do dochodzenia?

– Oczywiście, że zamierzam. Sam pan powiedział, że wykrycie sprawcy jest w moim osobistym interesie. O co jak o co, ale o osobiste interesy to ja dbam.

– Zabraniam! Ma pani grzecznie siedzieć na... na... na leżaku za domem i czekać.

– Tym sposobem to ja się nigdy nie doczekam. – Patrzę na

niego z politowaniem.

Czerwona twarz komisarza czerwienieje jeszcze mocniej, najwyraźniej wyprowadziłam go z równowagi i zaraz wybuchnie. Przezornie odsuwam się o pół kroczku. Tymczasem od dworku spieszy odsiecz w postaci Szparki. Dziewczyna podchodzi do nas i uśmiecha się promiennie do stróża prawa.

– Niech idzie na obiad. Nadzieja nastroiła w kuchni gołąbki.

Komisarz zerka na mnie zmieszany, więc uśmiecham się wyrozumiale i poklepuję go po ramieniu.

– Niech pani idzie, panie Karolu. Są naprawdę pyszne!

– A która godzina? – chrząka komisarz.

– Za dwie piąta.

– Technicy skończyli?

– Skończyli, skończyli. Poszli teraz do sypialni Maliny, choć jego żona pomstuje, że głowa boli.

– Mnie też boli – wtrącam szybko. – Czy wiesz, że komisarz podejrzewa, że zamordowałam Malinę? Chyba olejkiem do masażu!

Szparka otwiera szeroko oczy i wpatruje się w komisarza z niedowierzaniem, a ten niemal wiję się pod jej spojrzeniem. Oto czym jest władza kobiety nad mężczyzną, muszę to wykorzystać, kiedy oświadczę Markowi, że w naszym domu zamieszka czworonóg. Słyszałam, że mężczyźni czasem mdleją, gdy słyszą: „Kochanie, będziemy mieli dziecko”. Ciekawe, jak zachowa się mój ulubiony detektyw, kiedy mu zapowiem: „Kochanie, będziemy mieli psa”.

A właśnie, dwie sprawy. Po pierwsze, gdzie też podziewa się mój ukochany i co aż tak zajmującego robi, że nie zainteresuje się, jak wybrnęłam ze sprawy z podrzuconą Natalką? Po drugie, gdzie znajduje się mój świeżo mianowany,

kudłaty towarzysz? Zagadkę Marka decyduję się rozwiązać później, póki co pytam Szparkę o Młynka.

– Bawi się z Natalką i panią Elizą w bibliotece – obwieszcza wesoło masażystka, po czym przenosi lodowate spojrzenie na komisarza, jakby oczekując wyjaśnień.

– Która godzina? – pyta ten ponownie.

– Piąta jeden – cedzi przez zęby dziewczyna. Obserwuję ich zafascynowana.

– No, to jak po siedemnastej, to można iść na obiad – radośnie obwieszcza Karol Broszko, ale pod wpływem chłodu bijącego od Szparki jego uśmiech zamarza.

– No, nie wiem, czy zasłużył na gołąbka. Żeby naszą Kalinkę o zbrodnię podejrzewać? To trzeba ani serca, ani rozumu nie mieć. O rozsądku już nie wspomniawszy!

Pospiesznie chwytam oboje pod ramię i prowadzę w kierunku budynku. Po drodze tłumaczę Szparce, że komisarz tylko żartował, a tak naprawdę to nawet zaproponował, żebyśmy wszyscy pozostali w dworku i pomogli mu rozwiązać zagadkę śmierci biznesmena. Dzięki temu zostanę w Kamionkach kilka dni i będziemy mogły spędzić ze sobą więcej czasu, czyż to nie cudowne?

– Cudowne – przyznaje Szparka i podejrzliwie zerka na komisarza, który wygląda, jakby połknął żabę. – Ale na sos niech nie liczy, wszystko się zmarnowało!

Nie kłamałam, mówiąc, że rozboleła mnie głowa. Czuję, jak coś boleśnie pulsuje w moich skroniach, więc zdecyduję się

poratować niezawodnym lekarstwem mojej matki, czyli tabletką przeciwbólową i kubkiem mocnej kawy. Według matki to połączenie jest jedynym skutecznym lekiem na ból, tylko po prostu lekarze jeszcze go nie odkryli. Wydaje się bardzo dumna, że wpadła na to przed nimi.

Popijam więc kawę małymi łyżkami, równocześnie przygotowując podwieczorek dla Natałki i obserwując komisarza Broszko, który z błogim wyrazem twarzy pochłania gołąbki. Zamiast sosu pomidorowego używa pikantnego ketchupu, na widok czego Nadzieja krzywi się boleśnie i trzaska głośno rondlami. Najwyraźniej to, co z jej przysmakiem wyprawia wąsaty policjant nie spotkało się z uznaniem. Niech no lepiej szybciej ten komisarz konsumuje, bo jak humor Nadziei zwarzy się jeszcze bardziej, na kolację dostaniemy surowe jaja i patelnię, z przykazem, by usmażyć sobie jajecznicę. Bez masła.

U stóp komisarza waruje Młynek, który łakomym spojrzeniem odprowadza każdy ruch widelca.

Dzielę właśnie biszkopty na mniejsze kawałki, kiedy komórka policjanta wydaje z siebie piskliwą melodyjkę z czołówki *Ojca chrzestnego*. Pospiesznie tłumię parsknięcie i nadstawiam ucha, ponieważ najwyraźniej rozmowa dotyczy naszego nieboszczyka.

– Aha, zamordowany? Na pewno? Nie ma żadnych wątpliwości? – Karol Broszko patrzy na mnie wymownie. – A wiemy już, co się... Aha, tylko prawdopodobnie. Ale prawdopodobnie: co? Otruty? Jak to: otruty? Czym? A, nie wie pan jeszcze, musi być ekspertyza, rozumiem, rozumiem... No, ale jak w dzisiejszych czasach można kogoś otruć?! Tego się nie praktykuje!

Patrzę na komisarza z triumfem w oczach: chciał mieć

zbrodnię jak u Agathy Christie, to ma! Sam jest sobie winien! Tymczasem komisarz odpowiada mi równie triumfującym uśmiechem.

– Co pan powie? W olejku do masażu? Naprawdę? – Czuję, że blednę, więc czym prędzej odstawiam miskę z pokruszonymi biszkoptami na blat. Przynajmniej się nie rozbije, jeśli tu z wrażenia i stresu stracę przytomność. Tymczasem widzę, że Karol Broszko z paniką w oczach spogląda to na talerz, to na srogie oblicze Nadziei. Nieświadoma niczego kucharka podnosi wielki nóż i naciera nim na pęczek natki pietruszki. – Jak to w obiedzie? Jak to w obiedzie? Rozumiem, do widzenia.

Komisarz odkłada komórkę i z kwaśną miną odsuwa od siebie talerz z niedojedzonym gołąbkim. Młynek porusza się nerwowo, w końcu wydaje z siebie szczeknięcie i szturcha go nosem. Obserwuję to z rozbawieniem, po czym podchodzę i nachylam się do komisarza.

– Jedno jest pewne: w sosie nic nie było – szepczę, tarmosząc futro zachwyconego amatora zawartości rozbitych sosjerek.

Kiedy nadchodzi wieczór, odczuwam tak wielkie zmęczenie wydarzeniami tego dnia, że jestem zdolna jedynie wyciągnąć ciało na pościelonym łóżku i leżeć z szeroko rozrzuconymi kończynami. Trudno mi uwierzyć, że od chwili, gdy nakładałam na twarz maseczkę według internetowej receptury, minęło zaledwie dwanaście godzin! Mam wrażenie, że upłynęły dni, tygodnie, a nawet miesiące!

Po niedokończonym obiedzie komisarz zwołał wszystkich do biblioteki i obwieścił, że wprowadza całkowity zakaz opuszczenia dworku. Jego przemówienie spotkało się z gorącym protestem gości, którzy zarzucili biednemu Karolowi Broszko wprowadzenie reżimu kubańskiego, stalinowskiego, a nawet putinowskiego.

– Wprowadzam reżim kamionkowski – zripostował spokojnie policjant. – Wydaje mi się, że powinno państwu zależeć na wykryciu sprawcy zbrodni, której ofiarą padł drogi wam pan Malina?

– À propos zbrodni – wysyczała Diana Malina, celując fuksjowym paznokciem w kierunku mojej skromnej osoby. – To co ona tutaj robi? Czy nie powinna gnić w więzieniu?

– W więzieniu, droga pani, zamyka się przestępców, a nie potencjalnych przestępców.

– Więc pan przyznaje! – zawołała z triumfem. Pozostali bliscy świętej pamięci Maliny pokiwali głowami.

– Co przyznaje? – stropił się komisarz.

– Że ta pani jest potencjalnym sprawcą.

– Oczywiście! – Karol Broszko skinął głową, odwracając się w moim kierunku. Posłałam mu jadowite spojrzenie. Policjant popatrzył na pozostałych gości i uśmiechnął się szeroko. – Podobnie, jak i każdy z państwa!

– Co?

– Jak tak można!

– Takie insynuacje?

– Biedny Waldi się w grobie przewraca! – zawyła Diana Malina, przytykając strzępek chusteczki higienicznej do starannie pomalowanego oka.

– Wątpię. – Komisarz obojętnie wzruszył ramionami. – To byłoby trudne, zważywszy na miejsce, w którym obecnie się

znajduje!

Ależ się temu komisarzowi dowcip wyostrzył!

Jak nic musi to być zasługa Szparki!

Tymczasem w bibliotece podniósł się niewyobrażalny rwetes, krewniacy i przyjaciele nieżyjącego biznesmena przekrzykiwali się, dając wyraz swemu oburzeniu metodami śledczymi i zachowaniem komisarza. Zaraz też zaczęli się przerzucać pomysłami, gdzie to na niewydarzonego policjanta złożą skargę. Karol Broszko przysłuchiwał się temu niewzruszony, po czym uprzejmie zdjął z głowy czapkę i z galanterią ukłonił się zgromadzonym.

– Pozostaje mi życzyć państwu miłej nocy. Z samego rana zjawię się, aby zebrać państwa zeznania.

Po wyjściu policjanta w dworku zapanowało poruszenie, nikt jednak nie odważył się opuścić miejsca zbrodni. Zgromadzeni w bibliotece podzielili się na dwa wrogie i milczące obozy. Po jednej stronie zasiadła rodzina i przyjaciele Waldemara Maliny, po drugiej właścicielka i personel spa. Gdzieś na linii granicznej przycupnęła rozentuzjasmowana Natałka i przytulony do jej boku Młynek. Nad ich głowami krzyżowały się pełne niechęci spojrzenia. Po kilku niezręcznych chwilach zabrałam moich podopiecznych i ewakuowałam się do przydzielonej sypialni.

Teraz odrzucam myśli związane z morderstwem i skupiam całą uwagę na moich towarzyszach. Natałka kręci się po pokoju, badając wszystkie kąty. Najwyraźniej wciąż czuje się

najswobodniej, poruszając się na czworaka. Kiedy przemieszcza się w tej pozycji, przypomina malutki samochodzik, trudno za nią nadążyć. Gdzie chce – wejdzie, co chce – zrobi... jak w wierszu Marii Konopnickiej. W ostatniej chwili reaguję i wyciągam ją spod łóżka. Muszę pamiętać, że w niektóre kąty się za nią nie wcisnę.

Młynek towarzyszy małej na każdym kroku i nie spuszcza z niej skupionego spojrzenia. Zastanawiam się, z jakiego domu został wyrzucony. Czy były tam dzieci, z którymi dokazywał w wielkim ogrodzie? A może to narodziny dziecka stały się przyczyną odprawienia czworonożnego przyjaciela? Zagrożenie alergią, zarazkami, brudem? Mógł też być niewygodnym spadkiem po jakimś staruszką. Niechcianym, zawadzającym dodatkiem do domu i supelką z oszczędnościami. Przeszkodą w drodze do Egiptu, Tunezji czy popularnego ostatnio Meksyku? Bo przecież, gdy wydaje się grube tysiące na rodzinne wakacje, szkoda dorzucić parę setek na hotel dla psa czy wynagrodzenie dla tymczasowego opiekuna.

Przyklękam obok psa i tulę do siebie jego wielki, kudłaty łeb. Chyba wyczuwa emocje, bo głośno wzdycha i kładzie pysk na moim barku. Natałka zanosi się piskliwym chichotem, więc i ją przyciągam. Siedzimy tak we trójkę na przykurzonej podłodze starego dworku, dopóki sielanki nie przerywa głośne burczenie. Nie jestem pewna, z czyjego brzucha dochodzi, jednak wiem, że na pewno nie z mojego. Zetknięcie z Waldemarem Maliną w jego całej okazałości skutecznie pozbawiło mnie apetytu na najbliższe dni. Może uda mi się zrzucić te wszystkie ciastka, które pochłaniałam w ostatnim czasie?

Z głębin przepastnej torby wydobywam kolejny słoiczek i sięgam po plastikową miseczkę. Młynek obserwuje moje

manewry, przekrzywiając łebek to w jedną, to w drugą stronę, jakby od kąta nachylenia zależało, czy psu coś z przygotowanego posiłku przypadnie, czy jednak niekoniecznie. Natałka popiskuje radośnie i wyciąga rączki w kierunku jedzenia, więc obkładam ją poduszkami, by było jej wygodniej i podsuwam miskę. Kiedy jednak zerka na zawartość naczynia, jej buzia zabawnie się wykrzywia.

– Mniam, mniam. – Znacząco masuję się po żołądku. – Co my tu mamy? Ziemniaczki. Marchewka. Króliczek. Pychotka!

Natałka przygląda mi się powątpiewająco, za to Młynek przysuwa się coraz bliżej. Ostatecznie udaje mi się wsunąć kopiastrą łyżeczkę w uchyloną buzię dziecka. Dziewczynka krzywi się, ale posłusznie przełyka. Następnie niezdarnie ujmuje łyżeczkę, nabiera trochę papki na jej czubek i... celuje w moje oko. Auć!

– Królik to nie krople do oczu, słoneczko! – oburzam się. Próbuje przetrzeć oko papierową chusteczką, ale efekt jest mizerny. Wydobywam z torebki małe lusterko i podchodzę z nim do okna. Gdzieś z tyłu dobiega płaskanie, jakby ktoś bawił się w błocie, towarzyszy mu radosne popiskiwanie dziewczynki i posapywanie Młynka. Kiedy odwracam się do swoich podopiecznych, moim oczom ukazuje się osobliwy widok. Przysiadam na brzeżku łóżka i kręcę głową z niedowierzaniem.

Natałka zanurza plastikową łyżeczkę w zawartości miski, po czym podnosi ją do pyska zachwyconego Młynka, który pochłania smakołyk jednym krótkim liźnięciem. Następnie z niezwykłą cierpliwością oczekuje, aż dziewczynka niezdarnym ruchem zanurkuje łyżką w gęstej zupce z królikiem, obserwując jej działania bystrym spojrzeniem. Po minucie lub dwóch manewr powtarza się. Uradowana dziewczynka kwituje każdy ruch długiego, różowego języka głośnym piskiem. Zapomniała

o uczuciu głodu, nie dopomina się o obecność matki, pochłania ją tylko zabawa z nowym przyjacielem. Nie umiem powstrzymać parsknięcia śmiechu i nagle oboje zerkają na mnie. Przysięgłabym, że i oboje się uśmiechają. Wskazuję na do połowy opróżnione naczynie.

– To jest prawdziwa miska pełna śmiechu – mówię.

Długie godziny leżę bezsennie i pozwalam, by tysiące myśli galopowały mi po głowie. Przy moim prawym łokciu słodko śpi Natałka, przy lewej pięcie pochrapuje Młynek. Kilkakrotnie szturcham go delikatnie, ale przynosi to mizerne skutki. Mam nawet wrażenie, że z każdym ruchem mojej stopy z jego wnętrza dobywają się głośniejsze dźwięki, więc w końcu rezygnuję. Panie Młynek, jeśli ma pan zamieszkać w naszym domu, musimy poważnie porozmawiać na temat tego chrapania!

Muszę przyznać, że jest coś kojącego w ciężarze psa na ludzkiej nodze. Co prawda nie jest mi za wygodnie, a do tego robi się potwornie gorąco, jednak obecność tego potężnego, rudego cielska jest dziwnie kojąca. Czuję się bezpiecznie. A tego właśnie potrzebuję, ponieważ najwyraźniej wpakowałam się w kolejną kabałę. I to niechęć, zważywszy na to, że najwyraźniej uwzględniono mnie w castingu do roli niebezpiecznego zabójcy.

Rozdział 6

Niepisane prawo mówi, że każdy dzień należy rozpocząć od toalety i nie ma od tego odstępstwa, czy jest się człowiekiem czy psem. My – ludzie – nie mamy z tym większych problemów, po prostu wstajemy z łóżka, poprawiamy gatki, które podczas snu wsunęły się nie tam, gdzie powinny, po czym idziemy do specjalnego pomieszczenia i załatwiamy, co trzeba. Nie musimy niespokojnie zerkać w okno, czy pada deszcz, wieje wiatr lub trawnik pokrywa gruba warstwa zmrożonego śniegu. Wszystko w humanitarnych, przytulnych warunkach, w towarzystwie gazety lub telefonu. Bez pośpiechu. Chyba że mamy psa. Wtedy

to zupełnie inna historia.

Przyznaję, że nie byłam świadoma, jak dziwne pomysły mogą narodzić się w psiej głowie. I że na ten przykład mój świeżo mianowany towarzysz, który stanowczo odmówił spania na dywaniku przy łóżku, a następnie zajął trzy czwarte posłania, może o szóstej rano zażądać spaceru.

Najpierw trąca mnie nosem i próbuje zwrócić na siebie uwagę, a kiedy odpędzam się od niego jak od nieznośnego komara i na siłę zamykam oczy, pochyla się nade mną i chucha w twarz taką mieszanką aromatów, że zrywam się z łóżka, jak oparzona. Czy to jakiś nowy rodzaj broni biologiczno-fizjologicznej?

– Rany boskie, Młynek! Kiedy ostatnio myłeś zęby?

Przez krótką chwilę czochram włosy, pocieram twarz i głośno wzdycham. To mój normalny rytuał porankowy, który pomaga mi odpędzić resztki snu i zaplanować pierwsze kroki budzącego się dnia. Kawa, prysznic, tabletki z minerałami na porost paznokci? Nie tym razem. Staję przed koniecznością zaakceptowania dramatycznej prawdy!

– O Boże, znowu. Znowu jestem w Kamionkach. Czy naprawdę to wszystko nie mogło okazać się snem?

Pomruk dobywający się z psiego gardła przypomina mi, że z całą pewnością to nie jest sen. Dowodem na to ma być uporczywe dreptanie przy drzwiach, które za chwilę postawi na nogi cały dworek!

– Wiem, że chcesz siku. Poczekaj sekundę!

Pospiesznie naciągam na siebie ubranie i obkładam poduchami śpiącą na łóżku dziewczynkę. Krytycznie przyglądam się stworzonej przez siebie konstrukcji, trochę poprawiam, trochę dokładam, w końcu cmokam cicho na psa i wychodzimy. Czy raczej ja wychodzę, a on gna na złamanie

karku, ślizgając się łapami po wypolerowanych deskach podłogi. Bez przesady, mój panie, aż tak cię chyba nie ciśnie?

Po drodze stukamy do pokoju, w którym śpi Szparka. Zza drzwi wychyla się rozczochrana głowa.

– Czego się tak tłucze? Zamordowali kogo? – Dziewczyna ma nieprzytomne spojrzenie, ale kiedy uświadamia sobie sens wypowiedzianych słów, zasłania dłonią usta i patrzy na mnie skruszona. Pozostaje mi wzruszyć ramionami i przekazać swoją prośbę, by na chwilę przeniosła się do Natałki.

Wychodzimy do parku. Po drodze zgarniam foliowy woreczek, bądź co bądź trzeba być odpowiedzialnym opiekunem i świadomym, że pies produkuje nie tylko kłaczki. W kuchni panuje już radosny rwetes. Nadzieja zagniata jakieś ciasto. Na parapecie stoi radio, z którego dobiega religijna pieśń. Kucharka mówi, że mogę nalać sobie kawy, na co odpowiadam szerokim uśmiechem. Drepczący w miejscu Młynek musi przeczekać jeszcze manewry z poszukiwaniem cukierniczki, wydobywaniem kartonu mleka z lodówki i kosztowaniem pierwszego łyka z czerwonego kubka w białe groszki, po czym nareszcie możemy wyjść do ogrodu.

Kiedy w końcu wychodzimy na świeże powietrze, siadam wraz z kubkiem na niewysokim murku, a pies truchta przez starannie przystrzyżony trawnik.

– Nie spiesz się, piesku. Nie zamierzam przerywać pierwszej kawy zbieraniem twojej kupy – mówię.

Posłusznie nurkuje w pobliskie krzaki i dokładnie je obwąchuje. Nie spieszy się. To pewnie nie lada gratka, kiedy pies może dokonać podwórkowych obrządków w swoim własnym tempie, bez ciągłego napominania i pospieszania. Zwiedza wszystkie zakamarki, ale od czasu do czasu szuka mnie spojrzeniem czekoladowych ślepek. Tak jakby nie chciał tracić

mnie z oczu. Albo jest jasnowidzem i wie, że zamierzam go domeldować do naszego przytulnego mieszkanka, albo ma mnie za niezaradną życiowo i woli pilnować, bym znów nie wpadła w tarapaty.

Najwyraźniej jestem jedną z tych osób, które nie muszą szukać kłopotów, bo kłopoty same je znajdują. Przekonuję się o tym, kiedy dostrzegam duży samochód sunący z zawrotną prędkością parkową alejką. Przeczuję problemy, więc pospiesznie odstawiam kubek w groszki i prostuję się na murku. Samochód z głośnym chrzęstem kamieni gwałtownie parkuje przed dworkiem, a z przedniego siedzenia wystrzeliwuje postać w czerwonej sukience. Biegnie przez trawnik z groźnie wycelowanym we mnie palcem zakończonym długim, krwistym pazurem.

– O, zmieniłaś lakier na paznokciach – zauważam, nie wiedzieć czemu.

– Ty mnie tu lakierami nie zagaduj! Jak mogłaś mi to zrobić?

– Jolka... – zaczynam, ale nie zamierza dopuścić mnie do głosu. Kątem oka widzę, jak przestraszony Młynek wciska się jeszcze głębiej między gałęzie choinki, tak by go nie dostrzegła. Jola wygląda na bardzo poruszoną. Ma nastroszone jasne włosy, czerwoną sukienkę i błyszczące buty na bardzo wysokim obcasie. Miękkie podłoże sprawia, że obcasy cały czas zagłębiają się w ziemię i wygląda trochę jak bocian, bo co chwila podnosi to jedną to drugą nogę, aż w końcu staje w szerokim rozkroku, czego nie wytrzymuje jeden ze szwów sukienki.

– Ach! Jeszcze to! – Jolka łapie w dwa palce kawałek materiału i demonstruje. – Jak mogłaś mi to zrobić? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami!

– No, bo jesteśmy – mówię. – Chyba.

– Nie jesteśmy! Jak mogłabym być przyjaciółką kobiety, która zabrała moje dziecko na miejsce zbrodni?

– Przecież nie wiedziałam, że to miejsce zbrodni, poza tym to ty mówiłaś, że tu będziecie.

– A ty mówiłaś, że zajmiesz się moją córką!

– Ja? – Wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczami. – Ja tak mówiłam? Jesteś pewna?

– Mówiłaś, że ją kochasz, że jest dla ciebie ważna. Czy wiesz, jak podobne przeżycia oddziałują na psychikę takich małych dzieci?

– Po pierwsze przypominam ci, że to ty porzuciłaś ją na mojej klatce schodowej. Sądziś, że to wydarzenie nie wpłynęło na jej psychikę? A po drugie przecież Natałki nie było przy mnie, kiedy przygniotły mnie zwłoki pana Waldemara! Powiem więcej, to przez ciebie musiałam przyjechać tutaj z Natałką i teraz muszę udowodnić, że go nie zamordowałam.

– Zamordowałaś? Ty? O mój Boże, komu ja powierzyłam swoje dziecko.

– Jolka... nie przeciągaj struny.

– Już od jakiegoś czasu podejrzewam, że drzemią w tobie jakieś pierwotne instynkty. Ten błysk w oku, ta niechęć okazywana na każdym kroku. A może to starannie zaplanowana zemsta? Tak naprawdę wcale nie wybaczyłaś mi związku z Patrykiem. Sprowadziłaś tutaj moją córkę i jeszcze nasłałaś na mnie policję. Jak ja teraz wyglądam w oczach Bolusia? Wyrodna matka, której policja poszukuje, bo opiekunka wplątała się w aferę kryminalną.

– Opiekunka – zgrzytam zębami. – Została postawiona przed faktem dokonanym. I nie miała najmniejszego zamiaru w nic się wplątywać.

- Natychmiast zabieram Natalkę. Gdzie ona jest?
- Śpi.
- Zabieram ją. Nie zostanie tutaj ani chwili dłużej. Fotelik?

Jej rzeczy?

– Wszystko jest w dworku. Pierwszy pokój przy schodach. Jolka podnosi prawą nogę i strzepuje z obcasa kawałki darni. Następnie powtarza ten manewr z drugą stopą.

– Nie wiem, czy kiedyś ci to wybaczę – mówi smutno. Pozostaje mi wzruszyć ramionami.

Jola wycofuje się wolno w stronę dworku, ostrożnie stawiając stopy, by nie wbijać szpilek w miękką ziemię. Obserwuję jej ruchy z niepokojem i dociera do mnie, co za chwilę się wydarzy. Już tylko kilka kroków dzieli idącą tyłem kobietę od katastrofy.

Plask! Czerwony bucik rozgniała to, co wczoraj było psim posiłkiem. Jolka zamiera w pół kroku, z jedną nogą dziwacznie uniesioną. Wpatruje się w swoje stopy, więc nie widzę jej twarzy, ale słyszę, jak ciężko oddycha. Jak... rozwścieczony byk. Mam nadzieję, że nie weźmie mnie na rogi... ach, zapomniałam. Jola nie ma rogów, ona przyprawia je innym! O ile właśnie tak mówi się o kobietach, które polują na cudzych narzeczonych!

Moja już-nie-przyjaciółka robi niezdarny krok w bok i wpatruje się w swoje stopy. A dokładniej mówiąc: w jedną, obutą w czerwoną, obecnie mocno przybrudzoną i cóż, nie najpiękniej pachnącą szpilkę.

– CO TO JEST? – cedzi przez zęby.

– Kupa.

– Jaka, cholera jasna, KUPA?

– Psia. – Robię wszystko, by mój ton ociekał słodyczą. –

I żebyś nie miała wątpliwości: pies jest mój. A to oznacza kolejny element sprytnie zaplanowanej przeze mnie zemsty.

Wytrącona z równowagi Jolka odjeżdża z Natalką i swoim ukochanym Bolusiem. Uprzednio ostentacyjnie zdejmuje zabrudzone szpilki i wrzuca je do kontenera na śmieci stojącego pomiędzy parkingiem a pastwiskiem dla kóz. Na bosaka wraca do samochodu, zajmuje miejsce na przednim siedzeniu i zapina pas. W tym samym czasie nieco przestraszony Boluś mocuje się z dziecięcym fotelikiem. Moja była przyjaciółka nie poświęca mi ani jednego spojrzenia, a chwilę później odjeżdżają w podobnie zawrotnym tempie, w jakim się zjawili.

Bilans wydaje się niekorzystny dla nas obu. Jolka straciła nową parę lakierków, seksowna czerwona sukienka puściła na szwie, a do tego trzeba będzie zająć się dzieckiem i zakończyć nieco wcześniej upojny weekend. Ja ponownie straciłam przyjaciółkę i to (o ironio!) tę samą! Pytanie brzmi: czy kiedykolwiek ją miałam? Wypowiadam to pytanie na głos, ale nawet Młynek nie potrafi na nie odpowiedzieć. W zamian za to usilnie węszy w pobliskich zaroślach, wydając z siebie głośnie prychnięcia. Zbieram do foliowego woreczka to, co nie zdołało się przykleić do Jolczyego obuwia i wyrzucam w ślad za czerwonymi szpilkami. Później wracam po zostawiony na murku kubek i psa.

Z tym, że o ile kubek na powrót do dworku daje namówić się dosyć łatwo, z Młynkiem sprawa okazuje się bardziej skomplikowana. Najwyraźniej nie ma zamiaru opuścić zarośli. Węszy, prycha, wzdycha, niucha i nie wiadomo co jeszcze. Kiedy moje kilkakrotne nawoływania nie skutkują, podchodzę

i łapię go za obrozę. Ale wyraźnie się opiera, co więcej: popatruje na mnie znacząco, jakby oczekiwał, że także wejść w zarośla.

– Chyba oszalałeś do końca! – mruczę pod nosem, ale najwidoczniej psia perswazja jest silna, gdyż rozchyłam listowie i usiłuję przeniknąć wzrokiem mrok krzaków. – Jeśli wyskoczy na mnie jakaś wściekła wiewiórka albo wdepnę w kolejną twoją niespodziankę, przysięgam, że odstawię cię na miejscową plebanię i do końca życia będziesz sępił o pasztetówkę.

Na Młynku moje słowa nie robią najmniejszego wrażenia. Spogląda wyczekująco, tylko że ja nie wiem, czego chce. I patrzę na niego w oczekiwaniu, że zdradzi coś więcej, da znak, na czym polega zabawa w obwąchiwanie zarośli. I pewnie patrzylibyśmy tak na siebie do obiadu, ale nagle promień słońca odbija się w czymś metalicznym i błyszczącym, a ja schylam się po to i biorę do ręki.

Słoik. Zwyczajny słoiczek po koncentracie pomidorowym, miodzie lub dżemie. Niby nic niezwykłego, a jednak w uporządkowanym, schludnym ogrodzie pani Elizy ten porzucony słoik wydaje się całkowicie nie na miejscu. Podnoszę go do oczu i dostrzegam kilka osamotnionych jagód. Spoglądam karcąco na zadowolonego z siebie psa.

– Wiesz, tobie się naprawdę nudzi! Ktoś był na borówkach, jagody zjadł, słoik wyrzucił w krzaki, a ty mi tu dzień sprzątaniaswiata urządzasz. Ale dobrze, już dobrze. Skoro tak ci ten słoik w zaroślach przeszkadza, wyrzucę go do kontenera. O, gotowe! Możemy iść na śniadanko?

Radosne merdanie ogona mówi mi, że możemy. Udajemy się więc do kuchni, aby wykorzystać przyływ apetytu i skosztować coś smacznego, zanim przybędzie komisarz Poirot, to znaczy Broszko, i przeprowadzi szczegółowe

przesłuchanie.

Jedną jajecznicę ze szczypiorkiem, dwie kromki razowego chleba i kolejną kawę później czuję, jak mój dobry humor powraca. Kiedy zaaferowana Szparka wpada do kuchni z informacją, że komisarz jest już na miejscu i właśnie rozpoczyna przesłuchania, dochodzę do wniosku, że jestem gotowa zmierzyć się z jego irracjonalnymi podejrzeniami. Rozpiera mnie energia. Niestety, okazuje się, że chwilowo muszę ją poskromić, ponieważ Karol Broszko wziął w obroty świeżo upieczoną wdowę. Pozostałych znajduję w jadalni, gdzie niespiesznie kończą śniadanie. Jeśli nawet denerwują się przed mającym nastąpić przesłuchaniem, niczego takiego nie wyczuwam. Mimo to nie chcę spędzać w ich towarzystwie kilkudziesięciu minut i pożegnawszy się lekkim skinieniem głowy, wracam do hallu.

Tutaj natomiast spotykam wyraźnie podenerwowaną Szparkę. Dziewczyna przywdziała śnieżny uniform masażystki, choć z pewnością na ten dzień nie przewiduje się żadnych relaksujących rytuałów. Niespokojnym krokiem przemierza hall od wejścia po schody, a w chwili, gdy mija zamknięte drzwi biblioteki, ciska w ich stronę chmurne spojrzenia.

Przyczyna jej niepokoju wychodzi na jaw, gdy po chwili skrzydło uchyla się i z biblioteki wyłania się najpierw mocno wydekoltowana Diana Malina, a tuż za nią podekscytowany komisarz Broszko. Oblicze policjanta pokrywa buraczkowy rumieniec, oczy błyszczą, włosy wydają się cokolwiek

zmierzwione. Na ten widok Szparka prostuje się gwałtownie, po czym przenosi wściekłe spojrzenie z komisarza na wdowę po biznesmenie i z powrotem, by ostatecznie spocząć wzrokiem na wydatnych piersiach pani Malinowej. Oj, coś mi się wydaje, że nieutulona w żalu wdowa dostanie dziś na obiad kotlet z przypaloną panierką.

– Ehem – odchrząkuje Karol Broszko. – Wobec tego jesteśmy umówieni. Dziękuję. Kto następny? – Jego głos na powrót staje się tubalny, a rozwścieczona Szparka zarzuca czterema literami i odmaszerowuje w kierunku kuchni, mocno postukując drewniakami.

– Może ja? – proponuję.

– Może być. – Wykonuje dłonią zapraszający gest, a następnie wskazuje mi wysokie krzesło z tapicerowanym oparciem. Wykorzystuję moment, gdy obchodzi biurko, aby zająć swoje miejsce i rozglądam się po wnętrzu. Z trudem powstrzymuję parsknięcie śmiechu, gdy na wysłużonej kanapie dostrzegam szary prochowiec. Najwyraźniej komisarz Broszko zapragnął połączyć w jedno Poirot, Colombo i detektywa Monka, tyle że na drodze jego zamierzeniom stoi upalna, sierpniowa aura.

Komisarz przygląda mi się z wyrazem twarzy dobrotliwego wujaszka. Wypieki powoli schodzą z jego oblicza, przyczesał też zmierzwione kosmyki. Wyciąga przed siebie ręce i splata je na wypolerowanym blacie biurka, wprawiając kciuki w powolne obroty. Przez chwilę obserwuję poruszające się palce i stwierdzam, że prawdopodobnie Karol Broszko nałogowo obgryza paznokcie.

– Wpadł pan już na jakiś trop? – pytam. – Mnie się wydaje, że trzeba dokładniej przyjrzeć się tej całej rodzinie. Długo nie mogłam zasnąć i tak sobie troszkę dedukowałam. Ktoś z nich

musiał mieć powód, żeby pana Waldemara ukatrupić.

Mina komisarza wyraża najgłębsze zdumienie.

– Co pani wyprawia, do cholery?

– To znaczy?

– Zaprosiłem panią do tego pokoju na przesłuchanie. Na prze-słu-cha-nie. A nie na towarzyską pogawędkę. A już na pewno nie zjawiała się tu pani w charakterze konsultanta.

– Przecież zapowiedziałam, panie Karolu, że tej sprawy nie zostawię na pastwę losu! Za dużo mam do stracenia. Wiedział pan, że w ostatnim czasie zostałam zwolniona i jestem obecnie na etapie poszukiwania nowej posady? – Komisarz kręci głową.

– No właśnie. A jakie szanse na znalezienie wartościowego zatrudnienia będę miała, jeśli zaciąży na mnie zarzut otrucia bogatego biznesmena za pomocą olejku herbacianego?

– A skąd pani wie, że Waldemar Malina został otruty? Takie szczegóły może znać tylko zabójca!

Spoglądam na policjanta z politowaniem.

– I świadkowie rozmowy telefonicznej, jaką odbył pan z lekarzem.

– No, tak – odchrząkuje Karol Broszko. – Wobec tego muszę panią poprosić o zachowanie dyskrecji, to bardzo ważne dla dobra śledztwa.

– Dla dobra śledztwa zachowam wszystko, nawet dyskrecję – obiecuję solennie. – Więc co z tą rodziną? Dowiedział się pan czegoś ciekawego od wdówki?

– Pani Kalino!!!

– No, co? Nawet Herkules Poirot miał swojego zaufanego kapitana Hastingsa!

– Muszę panią przesłuchać. Takie są procedury.

– Oj, nie zwracajmy sobie głowy procedurami.

A przynajmniej nie za bardzo. I tak panu chętnie opowiem

wszystko, co tylko wiem.

– I to mi się podoba.

– ...problem w tym, że ja nic nie wiem.

Palce Karola Broszko nieruchomieją, po czym zdenerwowany policjant rozplata dłonie i jedną z nich mocno wali w blat biurka. Jest to tak niespodziewane i tak bardzo do niego nie pasuje, że aż podskakuję na siedzeniu krzesła. Przy okazji wychodzi na jaw, że tapicerowanym meblom w dworku przydałby się mocno ssący odkurzacz.

– O kurza stopa – mówię. – Ależ pan nerwowy, panie Karolu.

– Ja?! – ryczy Karol Broszko. – Ja jestem nerwowy? Przy pani to tylko nieboszczyk z siebie by nie wyszedł!

– Dobrze, już dobrze. Powiem, co wiem. Tyle że ja nie wiem, co wiem, więc musi pan zadawać mądre pytania.

Karol Broszko piorunuje mnie spojrzeniem, a następnie sięga po wysłużony notes w czarnej skórzanej okładce i otwiera go zamaszystym ruchem. Przez moment wpatruje się w pustą kartkę, jakby niewidzialnym tuszem zapisano tam pytania, które będą w stanie naprowadzić stróża prawa na ślad zabójcy Waldemara Maliny, w końcu wzdycha żałością i zamyka notes, splatając na nim dłonie.

– Zauważyła pani coś dziwnego?

– A co to znaczy: dziwnego?

– Nie wiem.

– Ja mam wiedzieć?

– Przecież nigdy nie prowadziłem sprawy o zabójstwo! – mówi żałosnym tonem Karol Broszko. – U nas co najwyżej sąsiedzka kłótnia o krzywo postawiony płot albo wybita szyba po dyskotecie. Jediną aferą kryminalną, jaka przytrafiła się w Kamionkach, było włamanie do dworku i aresztowanie

Cieplaka. A i w tym przypadku bardziej zasłużył się pan Marek niż miejscowy posterunek! Gdybym tak – na twarzy policjanta pojawia się wyraz rozmarzenia – rozwiązał zagadkę śmierci Maliny... No, to byłoby coś! Może jakieś odznaczenie by się przytrafiło... pani wie, że ja mam poważne zamiary.

– Względem zabójcy?

– Względem panny Kasi. – Buraczkowy rumieniec powraca na twarz komisarza, tym razem nie ograniczając się do policzków, ale ogarniając także szyję, czoło i uszy stróża prawa.

– Rozumiem! – Uśmiecham się wyrozumiale. – Zrobię wszystko, aby panu pomóc! Proszę mi wierzyć. Ten Malina to jakiś despota był. I niesympatyczny w ogóle. Jestem przekonana, że ktoś musiał mieć powód, aby zgładzić go z tego świata.

– Tak, tylko kto?

– Na pewno nie ja! Kiedy przyszedłam do pokoju masażu, Malina leżał już na kozetce i to bez ruchu. Myślałam, że uciął sobie drzemkę, więc włączyłam muzykę i zajęłam się szukaniem olejku. Nie mogłam zdecydować się na aromat, a szanowny pan Waldemar okazał się mało pomocny.

– I co później?

– Później – przetykam głośno ślinę – zdecydowałam się przystąpić do masowania.

Komisarz ożywia się, ponownie otwiera notesik i przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu długopisu.

– Zauważyła pani coś podejrzanego?

– Poczulałam się trochę nieswojo, bo miał bardzo zimną skórę. Chciałam nawet włączyć ogrzewanie.

– Niewiele mi pani pomogła. Proszę się teraz dobrze zastanowić. Czy w pokoju było coś dziwnego? Czy drzwi do pokoju były zamknięte? Okna?

– Drzwi były zamknięte, wiem to na pewno, bo Młynek

siedział na progu i nie mogłam złapać za klamkę. Musiałam nawet przekupić go zeschniętą szynką... O mój Boże!

– Przypomniała sobie pani coś?

– Tak! Kiedy wracałam z kuchni, w korytarzu spotkałam żonę Maliny.

– Panią Dianę? To ciekawe, nie wspomniała o waszym spotkaniu. Muszę to zweryfikować. – Komisarz Broszko zapisuje pierwsze wnioski w swoim notesiku. Hm, zastawiam się, co ciekawego powiedziała mu blond wdówka? Próbuję nawet zerknąć, co takiego notuje, jednak posyła mi karcące spojrzenie i zasłania kartki łokciem, jak niekoleżeński uczeń na klasówce. Zawsze wkurzały mnie takie kujony! Zachowywały się tak, jakby nie zdawały sobie sprawy z tego, że grunt to dobra współpraca. Komisarz najwyraźniej także o tym zapomina!

– Panie Karolu, w naszym wspólnym interesie leży, żeby ta sprawa została rozwiązana szybko.

– Wiem, wiem, ale procedury przewidują...

– Kicham na procedury, kiedy mogę iść siedzieć tylko dlatego, że ktoś wycisnął sok z malin.

– Ale...

Komisarz najwyraźniej przygotowuje się na dłuższą przemowę, ale przerywa mu krótkie stukanie do drzwi. Na wezwanie Karola Broszko do biblioteki wchodzi młody policjant w szaroniebieskim mundurze. Jest podekscytowany.

– Panie komisarzu, chyba coś mamy!

– Pokaż!

Policjant wyciąga przed siebie foliową torebkę. Karol Broszko pośpiesznie wrywa mu dowód rzeczowy i odwraca się z nim do okna, jednak udaje mi się dostrzec kształt niewielkiego słoika. Czuję, jak pierwsze ciarki niepokoju wędrują po moim karku.

– Gdzie to było? – pyta Karol Broszko.

– W kontenerze na odpadki. Całkiem na wierzchu, sprawca nawet nie próbował tego ukryć.

– Owoce... to chyba pokrzyk wilcza jagoda... Chyba już wiemy, co zaserwowano drogiemu panu Malinie!

– To naprawdę jest trujące? – powątpiewająco pyta młody policjant.

– Tak mówią. Podobno wystarczy dwadzieścia, by zwalić z nóg dorodnego chłopca. – Komisarz odwraca się od okna i pokazuje mi słoik. – Musimy zawiadomić prokuratora. I trzeba szybko sprawdzić to naczynie. Coś mi mówi, że nasz zbrodniarz nie jest zbyt inteligentny i że znajdziemy na nim odciski palców!

– Muszę się do czegoś przyznać – wtrącam szybko. – Chyba wiem, czyje odciski na nim znajdziemy.

Rozdział 7

Komisarz Broszko oświadczył, że nie ma do mnie sił. I że nie wierzy, że moje odciski palców znalazły się na słoiku z trującą jagodą z winy Młynka. I Jolki, która tak wytrąciła biedne zwierzę z równowagi, że zaszyło się w krzakach i natrafiło na porzucony słoik.

Mam wrażenie, że dalsza współpraca przy śledztwie dotyczącym tajemniczego zgonu Waldemara Maliny stoi pod wielkim znakiem zapytania. Tym bardziej, że niesympatyczny prokurator z Nowego Sącza w ostrych słowach zakazał Karolowi Broszko pajacować, a najlepiej zmyć się z miejsca zbrodni i nie

wchodzić w paradę profesjonalistom. Biedny komisarz zaczerwienił się po czubki uszu, po czym zmył się do kuchni, gdzie również nie doczekał się łask. Obrażona Szparka oświadczyła, że jest awaria i jeśli chce się napić, niech chodzi z termosem. A najlepiej butelką soku. Malinowego.

Spotykam się z komisarzem w korytarzu. Karol Broszko z nieszczęśliwą miną chowa szary prochowiec do szafy. To najwyraźniej koniec kariery rodzimego detektywa Poirot. I koniec nadziei na rozwiązanie zagadki i odznaczenie. Zamiary względem panny Kasi też chwilowo stają pod znakiem zapytania. Poklepuję mężczyznę po ramieniu w geście pocieszenia, po czym wydobywam komórkę i spieszę na zewnątrz, by poszukać pięciu kresk zasięgu i wezwać na pomoc pogotowie w postaci mojego osobistego ukochanego detektywa. W sytuacji własnoręcznie naniesionych odcisków palców pora przyznać, że mam nieliczne kłopoty!

Kiedy próbuję wybrać numer Marka, okazuje się, że telefon jest wyłączony. Pospiesznie uruchamiam urządzenie. Marek odbiera po trzecim sygnale i natychmiast przechodzi do czułych powitań:

- Do cholery jasnej, gdzie ty się podziewasz?
- Jak to: gdzie? Przecież mówiłam, że jadę do Kamionek!
- Ale kiedy to było? Twoja matka wydzwania do mnie od rana! Najpierw stwierdziła, że zostałam uprowadzona przez Jolkę i jej konkubenta. Później, że z pewnością wypuścili Cieplaka i to on uprowadził cię i przetrzymuje w piwnicy, mszcząc się za odsiadkę. A na sam koniec oświadczyła, że z pewnością to ja ciebie zamordowałam. W związku z tym za pół godziny zjawi się w naszym mieszkaniu i mam otworzyć przed nią wszystkie wersalki, żeby mogła znaleźć twoje ciało. I zamrażarkę!
- Znaleźć zamrażarkę?

– Znaleźć ciebie. W zamrażarce. Co prawda nasza zamrażarka jest dosyć mała, hrabianko, ale mamusi chyba się wydaje, że cię poszatkowałem.

– O Boże, nie dopuszczaj jej do zamrażarki. W żadnym razie, słyszysz? Mam tam ciasto francuskie z Biedronki. Jeśli je zobaczy, już nigdy się do mnie nie odezwie!

– Naprawdę uważasz, że to w tej chwili największy problem? – Marek zgrzyta zębami. Mogę założyć się o ostatni kłak Młynka, że w jego błękitnych oczach właśnie zmroziły się kostki lodu. – Przypominam ci, że ona jest przekonana, że zamordowałem cię tłuczkiem do mięsa!

– To rzeczywiście nie jest największy problem, kochanie. Bo widzisz... policja jest przekonana, że ja zamordowałam pana Malinę bez tłuczka, własnymi rękoma, na dodatek zimnymi. I jeszcze zostawiłam odciski palców. Na słoiku. Po borówkach.

– Jakich borówkach? – Marek wciąga ze świstem powietrze. – Jakie maliny, jakie borówki?

– Nie mam czasu tłumaczyć. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam, jak to dobrze, że nie muszę słać Patrykowi paczek do kryminału? No, to jeśli ty też nie chcesz ich posyłać, lepiej szybko wsiądź na białego konia i ruszaj na ratunek!

– Kochanie, ty chyba bredzisz. Stop. Nie. Zdażyłem cię poznać i wiem, że na pewno nie bredzisz. Wpakowałaś się w jakąś kabałę, mam rację? Co tym razem?

– Przecież ci tłumaczę, że jestem podejrzana w sprawie o morderstwo pana Maliny. Który zginął prawdopodobnie po zjedzeniu jagód.

– Jakich jagód?

– Nie mam pojęcia, jakich. Przecież jestem z miasta i jagody widziałam tylko na obrazku w książeczce Marii Konopnickiej. Ewentualnie jeszcze w pierogach, ale to

ugotowane, więc trudno poznać.

– Nie umiera się po zjedzeniu jagód! – Teatralne westchnienie Marka uświadamia mi, że pan detektyw najwyraźniej traci do mnie cierpliwość i powinnam się pospieszyć.

– Nie wiem, może to były jakieś specjalne jagody, borówki czy maliny, nie znam się. Podśluchałam rozmowę komisarza z lekarzem i wiem, że pan Malina na pewno został otruty. A ja widziałam się z nim ostatnia!

Marek przez chwilę mruczy pod nosem jakieś przekleństwa, po czym obiecuje, że wykorzysta zawodowe kontakty, obdzwoni gdzie trzeba i dowie się, co i jak. Czy rzeczywiście jestem podejrzana, czy musimy spieniężyć mieszkanie, by zapłacić kaucję lub chociaż uciec i zaszyć się na Karaibach.

– Zawsze marzyłam, by mieszkać gdzieś, gdzie zima nie zaskakuje drogowców – wtrącam, choć podejrzewam, że ostatnie zdanie było mocno ironiczne, a Marek chce mi pokazać, co sądzi o moim dziwacznym talencie do pakowania się w kłopoty.

Rozłączam się i wolno ruszam naokoło dworku. Kątem oka dostrzegam na tylnym trawniku żonę i sekretarkę Maliny. Panie mocno się o coś sprzeczą! Muszę, po prostu muszę wiedzieć, o co chodzi. Chyłkiem przemykam za starannie przystrzyżony żywopłot i padam na kolana. Ostatnie metry przemierzam na czworaka, starając się nie myśleć o plamach zieleni pojawiających się na moich kolanach i wszystkich żyjątkach, które właśnie zdecydowały się wyjść mi na spotkanie. Przykucam za zasłoną z liści i nadstawiam uszu. Choć to ostatnie jest raczej zbędne, ponieważ panie najwyraźniej za nic mają dyskrecję.

– Oboje uważaliście mnie za głupią, ale ja swój rozum mam! – Przez szczelinę między gałązkami żywopłotu widzę, jak Diana podpira się pod boki i dumnie unosi głowę. – Być może nie skończyłam tych waszych szpanerskich szkół, ale o życiu wiem całkiem sporo. I nic co ludzkie obce mi nie jest!

– Och, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości! – prycha w odpowiedzi sekretarka. – Ale wybaczone, nadal nie wiem, o czym mówisz.

– A ja myślę, że dobrze wiesz! Nie raz widziałam, jak facet patrzy na kobietę, której pożąda. Ślini się, jak pięciolatek na widok hamburgera w McDonalddie. Dla mężczyzny kobieta jest jak kawałek mięsa.

– Widać, że nie masz dzieci. Pięciolatek zdecydowanie mocniej ślini się na widok frytek.

– Być może. – Diana wzrusza ramionami. – Ja w każdym razie z powodu waszych gier nie zamierzam być stratna.

– Nawet nie kochałaś Waldemara!

– To nie twoja sprawa, czy go kochałam, czy nie. Za wszystko mi zapłacisz.

– Chyba śnisz!

– Ja nie, moja droga. Za to na twoim miejscu uważałabym ze snem. Bo możesz się nie obudzić, zupełnie jak Waldi!

Dumnie wyprostowana wdowa odchodzi, a ja opadam na pupę i przez chwilę głęboko oddycham. Usiłuję przetrwać informacje, które właśnie przyswoiłam, a to wcale nie jest proste. Prawdopodobnie stałam się właśnie świadkiem rozmowy, w której Diana Malina, wdowa po tragicznie zmarłym Waldemarze Malinie, przyznała się do zamordowania męża. No, może wyrażenie *przyznała* nie najlepiej oddaje charakter podsłuchanego dialogu, madame w fuksji jednak wyraźnie zasugerowała sekretarce, że ta może się już nie obudzić, jak

niedawna ofiara. A to wyraźnie wskazuje, że sama w niedobudzenie pana Maliny była zaangażowana.

Wstaję z ziemi i otrzepuję pupę ze źdźbeł wysuszonej trawy i łakomych owadów, które skusił cytrusowy zapach mojego dezodorantu. Zamyślona ruszam w głąb parku i roztrząsam uzyskane informacje. Motyw? Klasyczny i stary jak świat. Po pierwsze – pieniądze. Po drugie – pieniądze. Po trzecie – zdrada i zazdrość z powodu kobiety, która wdała się w romans z biznesmenem. Szparka miała rację, twierdząc, że wszystkie sekretarki polują na swoich szefów i nawet podły charakter nie stanowi dla nich przeszkody. Karolina, sekretarka Waldemara Maliny, okazała się taka sama! Co prawda rzekomo Diana Malina nie kochała swojego męża, ale z pewnością nie zamierzała spokojnie patrzeć na to, jak mąż ugania się za inną spódniczką. Nawet jeśli wspomniana spódniczka ma w zwyczaju chadzać w spodniach od damskiego garnituru i wybitnie urodą nie grzeszy.

Zastanawiam się właśnie, czy podzielić się świeżo odkrytymi faktami z komisarzem Broszko, ale zauważam, że ten przechadza się po parkowej alejce w towarzystwie Szparki i najwyraźniej solennie się z czegoś tłumaczy. Decyduję więc, że nie będę im przerywać i czym prędzej odchodzę w przeciwnym kierunku. I natychmiast wpadam na Młynka, który leży w cieniu rosnącej lipy i z premedytacją rozpracowuje jakiś patyk.

– Masz przechłapanie! – mówię mu. – Jak mogłeś zrobić mnie w odciski palców na słoiku z trującymi borówkami? Chcesz, żebym poszła siedzieć? Kto ci wtedy kupi psie chrupki i naleje świeżej wody do miski? Na czyich stopach będziesz w nocy chrapał? W ogóle nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji, tak?

Być może tylko mi się wydaje, a może wcale nie i Młynek

naprawdę przybiera skruszoną minę? A następnie na znak zgody podsuwa mi obdarty z kory i mocno obśliniony patyk. Potem patrzy wyczekująco, trąca mnie nosem, a nawet zabawnie burczy. Ostatecznie uginam się i biorę kawałek lipowego kija. Po czym rzucam przez całą długość trawnika. I rzucam tak dobre piętnaście minut, dopóki beztrudnej zabawy nie przerywa dzwonek komórki. Marek!

– Hrabianko, na litość boską...

– Bez względu na to, co ci powiedzieli, ja go nie zabiłam – wtrącam szybko, zanim zdąży rozwinąć swoją myśl.

– Oczywiście, że nie! I w ogóle nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy tak absurdalny pomysł. Gdybyś była podejrzana w tej sprawie, policja by cię przecież aresztowała i nie siedziałabyś sobie spokojnie w Kamionkach, plotkując z Nadzieją i Szparką!

– O, wypraszam sobie, ja nie mam zwyczaju plotkować. Nawet z Nadzieją i Szparką.

Marek nie słyszy mojego urażonego tonu lub po prostu go lekceważy i kontynuuje swój wywód.

– Pomimo to zadzwoniłem, gdzie mogłem i dowiedziałem się, na czym sprawa stoi. To prawda, że śmierć pana Maliny nie nastąpiła naturalnie i policja z prokuraturą rozpoczęła dochodzenie, jednak na tym etapie zostaniesz przesłuchana i możesz wracać do domu.

– Już zostałam przesłuchana.

– Tak? Wobec tego raz-dwa zbieraj się do Krakowa. A co z małą?

– Jolka zabrała ją dziś rano. Jest na mnie wściekła. Uważa, że specjalnie przywiozłam jej dziecko na miejsce zbrodni. To rzekomo moja zemsta za tę sprawę z Cieplakiem – mówię ponuro. Pułapkę, jaką Młynek zdecydował się zastawić na nowe pantofelki obrażonej Joli, wolę przemilczeć.

– Cóż, najwyraźniej solarium wypaliło jej resztki szarych komórek.

– Szarych? Komórki Jolki mają kolor lakieru do paznokci! Kochanie – mówię żałośnie. – Kiedy przyjedziesz?

– Przyjadę? To znaczy gdzie?

– No, przecież że nie do Gdańska na ulicę Targową... Do Kamionek!

– Ale po co ja miałbym tam przyjeżdżać? Mówiłem ci, że w każdej chwili możesz wrócić do domu!

– Nie mogę – wzdycham.

– Dlaczego? – Marek jest szczerze zdumiony.

– Detektyw kazał mi zostać na miejscu. Nam wszystkim, potencjalnym podejrzanym...

– Potencjalnym pod... co? Jaki detektyw?

– Poirot.

– Proszę?!

– Nie wnikaj, nie ma na to czasu! Ja tutaj po prostu muszę zostać i doprowadzić tę sprawę do końca. Tak jak wtedy, pamiętasz? Też kazałeś mi zmywać się z dworku, a ja oczywiście ciebie nie posłuchałam.

– Oczywiście. – Dobiega mnie zgrzytanie zębów.

– I zostałam. I teraz również nie mogę posłuchać i również zamierzam zostać. Ale czułabym się pewniej, gdybyś tu był. Zawsze to raźniej mieć pod ręką kogoś, kto posługuje się lepszą bronią niż stara encyklopedia.

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

– Absolutnie nie. Zamierzam zdemaskować mordercę pana Maliny i oczyścić swoje dobre imię. I dobrą sławę dworku. Jestem to winna pani Elizie, bo to przez mojego ps... przez moje psychodeliczne poczucie humoru pan Malina obraził się na spa. I potem wziął i umarł.

– Nie wziął i umarł, tylko został zamordowany. Morderca może tam ciągle być, wiesz o tym?

– Oczywiście, że tak! Właściwie to już wiem, kto nim jest i zamierzam poczynić odpowiednie kroki.

– Kalina! – Cierpliwość Marka najwyraźniej wyczerpała się. – Zabraniam ci się mieszać w cokolwiek niebezpiecznego. Zabraniam! Słyszysz? Jeśli nie posłuchasz mnie i nie wrócisz grzecznie do Krakowa, zadzwonię gdzie trzeba i każę cię aresztować. Rozumiesz? Przywiozą cię do domu radiowozem, do tego z włączonym kogutem. I każę im przejechać przez cały Ruczaj, a potem zatrzymać się pod kuchennym oknem twojej matki. Nie żartuję!

– Mówisz serio? – pytam ponuro.

– Zupełnie poważnie. Jesteś najbardziej nieznośną kobietą pod słońcem. Pierzesz moje białe skarpetki z niebieskim biustonoszem, przez co robią się błękitne. Gotujesz pomidorówkę na kostce rosółowej i przykładasz moje książki Kinga tandetnymi romansami. A do tego zajęłaś trzy szafki w łazience, całą komodę w sypialni i wszystkie półki na buty w przedpokoju, ale kocham cię i nie pozwolę ci wpakować się w kolejne kłopoty! Bo masz do tego talent! Jedni rodzą się z talentem do malowania, inni do pieczenia, ty posiadasz wybitne zdolności do pakowania się w tarapaty. I stanowisz zagrożenie dla siebie i całego otoczenia. Do domu, ale już! – ryczy. Uśmiecham się leciutko.

– To było najbardziej romantyczne „kocham cię”, na jakie

do tej pory się zdobyłeś – mówię drwiąco. – Naprawdę wieźliby mnie radiowozem z włączonym kogutem? – dopytuję na wszelki wypadek.

– Tak. – Marek powoli wraca do równowagi.

– Wobec tego nie zaryzykuję. Wrócę do domu wieczorem. Będziesz na mnie czekał? – pytam słodziutko.

– Nie, ale na pewno wrócę do domu z samego rana.

– Jeszcze jedna samotna noc? Jesteś okropny, ale rozumiem. Do zobaczenia!

Kończę rozmowę i wciskam guzik wyłączający telefon. Odczuwam delikatne wyrzuty sumienia, więc pospiesznie zakrywam je innymi myślami. Nie cierpię kłamać. I z całą pewnością nie miałam w planach oszukiwać mojego ukochanego detektywa. Nie zamierzam jednak pozwolić, by Marek traktował mnie jak dziecko, które nie potrafi o siebie zadbać i podczas każdej zabawy robi sobie kuku. Jeśli chce ingerować w moje plany, będzie musiał tutaj przyjechać. Do tego czasu mam nadzieję rozprawić się z mordercą Waldemara Maliny i znaleźć odpowiedź na pytanie, co wydarzyło się w pokoju do masażu.

I jeszcze jedno: nie mam niebieskiego biustonosza! Jest turkusowy. Tur-ku-so-wy!

Wkraczam do hallu w samą porę, by usłyszeć, jak rozsierdzony Karol Broszko zapowiada, że za nic ma ostrzeżenia tego durnego gryzipiórka z prokuratury, to jest jego dochodzenie i już on znajdzie tego zwyrodnialca, który dopuścił się w dworcowych murach potwornej zbrodni. A na dowód swoich

słów zapowiada, że z samego rana rozpocznie przeszukania w pokojach wszystkich gości. Bardzo szczegółowego przeszukania.

Policjant miota się po wnętrzu, co rusz przyklepując odstającego wąsa. Zachwycona Szparka wodzi za nim spojrzeniem i splata dłonie jak karykaturalna postać z kreskówki. Jeszcze chwila, a z jej ciała zaczną unosić się słodkie serduszka. Ewentualnie z kieszeni na prawym biodrze wyfrunie stadko ćwierkających gołąbków.

– A pani – Karol Broszko nachyla się z głośnym rykiem w kierunku przestraszonej Diany – pokój przeszukam w pierwszej kolejności!

Kobieta odskakuje do tyłu, niebezpiecznie chwiejąc się na wysokich obcasach i tylko szybka interwencja pasierba chroni ją przed klapnięciem na pupę. Zastanawiam się, czy w jej oczach nasz komisarz jest wystarczająco prymitywny i dziki, bo pomimo lekkiej paniki widocznej na zarumienionej z emocji twarzą, świeżo upieczona wdówka oblizuje się, jak kot nad miską śmietany! Na policjancie spojrzenia madame Maliny nie czynią jednak większego wrażenia, czemu z wyrazem triumfu przygląda się rozpromieniona Szparka. Dzisiejszego popołudnia komisarz dostanie wszystkie kawy tego świata i z pewnością nie tylko.

Wykorzystuję moment, gdy Karol Broszko robi przerwę, by zaczerpnąć tchu i kiwam na niego palcem. Odchodzimy nieco na bok, a za nami jak dwa duchy podążają Szparka i wpatrzony w jej kieszeń Młynek.

– Myśli pan, że to dobry pomysł mówić im o przeszukaniach? Przecież teraz wszystko pochowają!

– Co pochowają? – dziwi się komisarz.

– Gadżety erotyczne, zachomikowane pod poduszką

słodczy, książki o Greyu i narzędzia zbrodni – tłumaczę cierpliwie jak małemu dziecku.

Komisarz przez chwilę trawi moje słowa, zabawnie poruszając górną wargą i znajdującym się nad nią wąsem, po czym wzdycha żałośnie.

– Zupełnie nie wziąłem tego pod uwagę. Ten patałach z prokuratury ma rację. Nie nadają się do tak poważnego śledztwa.

Komisarz wyraźnie smutnieje, a Szparka popatruje na mnie groźnie, więc pospiesznie zabieram się do pocieszania. Nawet Młynek popiskuje i próbuje pacnąć policjanta łapą. Gdyby miał gdzieś w zanadrzu tego obślinionego patyka, z pewnością teraz złożyłby go w ofierze u stóp komisarza.

– E, tam, niech się pan nie przejmuję, panie Karolu! Co taki prokurator może wiedzieć? Czy on się chociaż na morderstwach zna? – Spojrzenie, jakie rzucają Karol Broszko, Szparka i Młynek mówią mi, że najprawdopodobniej prokurator na morderstwach znać się musi. – No, może troszkę się orientuje – przyznaję – ale na dworkach się na pewno nie zna i Agathy Christie z pewnością nie czytał!

– Ale co mam teraz zrobić? – pyta nieszczęśliwy komisarz.

– A nie może pan teraz przeszukać tych pokoi? Kiedy oni wszyscy tutaj stoją i wybałuszają gały?

– Nie mogę. Mam wezwanie – tłumaczy ponuro Karol Broszko. – W Lipowicach krowa zatarasowała całą jezdnię.

– O, mój Boże, chyba jej nie potrafiło?

– Nie, ale samochody stanęły w korku, a właściciel krowy pobił się z kierowcami. Powiedział, że krowa to świętość i nie mają prawa na nią trąbić. Program jakiś w telewizji oglądał i wie, że za to grozi kara śmierci nawet. Jak jej się znudzi, to pójdzie. Niestety, przez dwie godziny się jej nie znudziło

i musieli wezwać służby weterynaryjne.

– Rozumiem. A nie może pojechać do krowy ktoś inny?

Karol Broszko posyła mi tak nieszczęśliwe spojrzenie, że czym prędzej zapewniam, że właściwie to nic się nie stało. Niech jedzie do krowiego przypadku i się nie denerwuje, bo tutejszy zbrodniarz nie jest wybitnie inteligentny i na pewno nic chować nie będzie. Czyż nie udowodnił tego, ukrywając słoik po borówkach w parkowych zaroślach? Tak bardzo na widoku, że nawet pies dał radę wygrzebać? Rozweselony Karol Broszko zakłada czapkę, podkręca wąsa, przeszywa namiętym spojrzeniem Szparkę, następnie lodowatym tonem żegna zgromadzone towarzystwo i w końcu wychodzi.

A ja w myślach modłę się o to, by moje słowa okazały się prorocze. Więcej: mam zamiar tego osobiście dopilnować! Tej nocy będę czatować i to bynajmniej nie w internecie. Dopilnuję, żeby wszystkie dowody rzeczowe pozostały w swoich pokojach!

Budzę się z uczuciem, że moje nogi zostały oblane betonem i uformowane w jakąś niezgrabną bryłę. Przez chwilę czuję narastającą panikę. Buty z betonu, jedno z podstawowych narzędzi stosowanych przez członków mafii, gdy chcą pozbyć się niewygodnych świadków! Widziałam to w serialu *Crime Story*. Najpierw takiemu delikwentowi wkłada się stopy do wiadra, a potem naczynie zalewa się szybkoschnącym betonem. Następnie zawozi się go nad jakąś głębszą wodę, kula w łeb i kąpiel. Dzięki obciążeniu ciało nie wypływa. Podobno ci naprawdę zwyrodniali przestępcy żałują biedakom nawet tej

litościwej kulki.

Najwyraźniej w końcu dopadła mnie zemsta Ciepłarni i jego szemranych koleżków.

Próbuję poruszyć stopami, by zorientować się, na jakim etapie zasklepienia znajduje się moje osobiste betonowe obuwanie. Jest źle, stwierdzam, nie mogę poruszyć nawet jednym palcem. Pospiesznie dokonuję w głowie przeglądu pobliskich zbiorników wodnych, których głębokość pozwoli na urządzenie mafijnego pogrzebu. Zakrzówek, może Wisła w niektórych miejscach, Bagry chyba za płytkie na taki pochówek. Pozostaje jeszcze Zalew Nowohucki, ale tam jest nieładnie, nie chcę.

Niespodziewanie dobiega mnie zgrzytliwy pomruk, od którego unoszą się włoski na moim ramieniu. Dźwięk dochodzi z okolicy lewej kostki, co może być oznaką powiększającego swoją objętość betonu i efektu rozrywania naczynia, które wypełnia. Nie chcę na to patrzeć, ale ciekawość jest silniejsza. Unoszę się na łokciu i wyteżam wzrok. W tej samej chwili z moich nóg podnosi się rudy stwór i szeroko rozdziawia pysk. Woń, która mnie dolatuje, daleka jest od konwalii.

– Zgniotłeś mi nogi, potworze! – mruczę z wyrzutem, padając na poduszkę. Jedyłą odpowiedzią, jaką otrzymuję, jest mocne pacnięcie ogonem. Po chwili rozczochrana psia łepetyna materializuje się tuż obok mojej własnej głowy, a niecierpliwe dreptanie wskazuje na konieczność odbycia porannego spacerku.

– Dobra, tylko bez niespodzianek pod butami. Kulturalnie idź między drzewa – mówię, wciągając na siebie ubranie. Chwilkę później przechadzamy się po trawniku.

Jestem wściekła. Obiecałam sobie nocne czuwanie, które zapobiegnie wynoszeniu z pokoi dowodów rzeczowych i nawaliłam. Zasnęłam, a ta psia kreatura nawet nie próbowała mnie obudzić. Jeśli teraz Karol Broszko nie znajdzie w pokojach

gości niczego ważnego, będzie to moja wina. I jego samego oczywiście także, bo nie potrafił trzymać języka za zębami, a na domiar złego pojechał na wezwanie do świętej krowy.

Odczekuję, aż Młynek załatwi swoje sprawy i obwącha to, co obwąchać musi, po czym zabieram go do kuchni. Sierściuch dostaje miskę mokrej karmy, a ja przygotowuję sobie kubek kawy i wysłuchuję utyskiwań Nadziei. Kucharka zdobi właśnie miski z owsianką świeżymi malinami. Z mrożonki.

– Pańciom się w tyłkach przewraca! – obwieszcza mi złowieszczym tonem. – Malinami im przystrajać, migdałami prażonymi na patelni. Grysiku byh im ugotowała, to pani Eliza nie pozwala. Nie pasuje, mówi.

– No, faktycznie – zaglądam jej przez ramię i aż się oblizuję z wrażenia. – Grysik za skromny na takie luksusy, jak spa. Za to taka owsianeczka... mniem, mniem. – Masuję się po brzuchu. – Sama bym taką zjadła...

– No to niech wyskrobie z rondelka i malin weźmie. Śniadanie trza jeść.

– Święte słowa, już biorę! – Po chwili oboje z Młynkiem pałaszujemy ze swoich misek. Nadzieja kończy dekorowanie i ustawia miseczki na tacy. Pewnie za chwilę przybiegnie po nie uśmiechnięta Szparka i zanieśnie do jadalni, gdzie ponurzy krewniacy i przyjaciele Waldemara Maliny skonsumują pierwszy posiłek dnia.

Na myśl o zamordowanym biznesmenie nagle tracę apetyt i odsuwam miskę. Maliny nagle wydają mi się zupełnie nie na miejscu. Nadzieja przygląda mi się spod krzaczastych brwi, aż nagle łapie za łyżkę i zaczyna łowić nią pływające owoce. Pomagam jej, podsuwając własną na wpół opróżnioną miskę i po chwili Bogu ducha winne maliny lądują w koszu pod zlewozmywakiem. Nadzieja mierzy potrawę nieprzychylnym

spojrzeniem i poszturchuje burą papkę łyżeczką od herbaty. Jakby to była wina owsianki, że ma taki niewyjściowy wygląd, a malin, że kojarzą się z zamordowanym mężczyzną.

– Żeby choć nie byłyh takie czerwone – wzdycha kucharka. Najwyraźniej straciła dobry humor i teraz przetrząsa kuchnię w poszukiwaniu substytutu. Ostatecznie ostygła owsianka zostaje udekorowana kawałkami jabłek przesmażonych na patelni z sokiem z cytryny, ociupinką cukru, cynamonu i garścią rodzynek sułtanek.

Szparka zabiera tacę, a zasapana Nadzieja opada na krzesło naprzeciwko mnie i wachluje się szeroką dłonią.

– Chciałabym, żeby już pojechali – mówi.

– Oni pewnie też by chcieli.

– To czego nie jado?

– To nie takie proste. Komisarz kazał im zostać na miejscu, musi znaleźć mordercę.

– Śmieszna taka rodzina. – Nadzieja patrzy na mnie wyczekująco, więc nie daję się prosić.

– A czemu Nadzieja tak sądzi? Że śmieszna?

– Zaroz jak tu zjechali. – Kucharka nachyla się w moją stronę konspiracyjnie. – Tydzień już będzie, ten Malina zaczął wydziwiać. Gonił jak kura z jójkiem w du... to znaczy pod łogonem i szukał sieci. Powiedziałał mu, że tu z sieci nic, bo w rzyce już dwajścia lat ryb ni ma. A on tyko tak spojrzol na mnie z byka i powiedział: babo, o telefon chodzi. Gonił z tym telefonem po calutkiem parku, na drzewo chcioł się wspinać, ale du... znaczy sylwetkę mioł za ciężką. W końcu mu pani Eliza drabinę podstawiła i znalazł tem sieć. Powiem Kalince, że im nowsiesze te telefony, tym trudni dzwonić!

– Bo to jest, droga Nadziejo, wyższa technologia.

– Wyższa to była afiera, jak się w końcu dodzwonił. Bo się

okazało, że zawezwał syna z miasta, że jakieś zapisy bendzie robił. Pani Diana nie było zachwycona. – Nadzieja posyła mi kolejne zachęcające spojrzenie.

– I co zrobiła pani Diana?

– Wpierwi się darła tak, że ją na dole we wsi słyszeli, a późni du... to znaczy pośladkami zarzuciła i fochem. Obraziła się okropni i powiedziała, że ona nic na ten temat nie chce słyszeć i że pan Waldemar wszyściutkie piniondze na stratę daje. I że wcale nie myśli o tych wszytykach dzieckach, co ona mu może urodzić i o tych wszytykach płytach, co ona chce nagrać. Pan Waldemar tyż się straszni wnerwił i powiedział, że ona nie o dzieckach myśli, ino o cyckach i błotoksach jakiechś.

– I co było dalej?

– Późni to ona zalała się łzami, zaległa na kanapie przy schodach i musioł tu przychodzić po krople na uspokojenie. I powiedział, że żona jest rozstrojona, bo nie możeh własnii w ciążę zajść. Jak ino ona to usłyszała, zerwała się z wyrka i zaczęła wrzeszczeć, że to jego wina, bo ten... no ten. – Nadzieja pokrywa się krwistym rumieńcem.

– Co ten? Co ten? – dopytuję.

– No, jak co ten? Co to Kalinka pierwszo naiwno?

Obowiązkom małżeńskim nie doł rady.

– Hm, przy takiej żonie? – dziwię się.

– Ano. Późni mi powiedział na stronie, że jak widzi te jej usta, to mu na myśl przychodzi ryba. Karp, dokładni.

– Długo się gniewali?

– A gdzie! Już po połedniu se z dzióbków spijali. Siedzieli na leżaku za domem, a ona go winogronami karmiła nawet.

– A nie borówkami?

– Nie. Na pewno winogronami, bo do biskopta miałał, a on mi zeżarł. – Mina Nadziei wyraźnie mówi, co sądzi o tym,

że podstarzały lowelas pochłonał winogrona do biszkoptu. I to jeszcze z rąk swojej karpowatej żonki.

– I co było dalej?

– Późni to już tak nie wim. Tyle że on do wsi pojechał, działki jakieś oglądać. Bo że chałpę niby budować będzie. Wrócił całkiem odmieniony, nawet nikomu nie dogryzoł.

– A normalnie dogryzał – domyślam się.

– No, pewni, że dogryzoł. Każdemu z osobna. Pani Elizie i Kaśce dość krwi napsuł, wiecznie mu cosik nie pasowało. Do mni też tu raz przyłożył i marudził o certyfikat, co nasze kury są ekologiczne. Ale żeh własni ciasto wałkowałał i jak szybko wszedł, tak wyszedł... legenda o wałku, Kalinka wie – dodaje dumnie.

– A innym?

– Wszystkim, przecie mówię. Z tym panem Krauze i jego żoną pokłócił się dzień przed śmiercią. Spotkanie z synem tyż nie przebiegło całkiem spokojnie.

– Czyli właściwie każdy miał motyw, by go zamordować.

– A pewni, że tak. Takich paniczuków to lepiej tu nie wpuszczać.

– Ale pieniądze przywożą – zauważam.

– Tyż fakt – zgadza się Nadzieja.

Kucharka unosi się z za stołu z głośnym okrzykiem. Dobrze sobie uciąć pogawędkę, ale zaraz trzeba jadalnię posprzątać, naczynia pomyć po śniadaniu i o obiedzie pomyśleć, mówi. A dzisiaj ma być pieczone z ziemniaczkami z wody i z zieloną sałatą. I oczywiście nikt jej nie pomoże, bo każdy zajęty swoimi sprawami. Już dawno mogli wyjechać, to się komisarz uparł i trzyma ich tu, jak głupi. Naprawdę myśli, że na mordercę trafi? Jeszcze jego kto ukatrupi, jak za głęboko będzie szukał!

Na te słowa do kuchni zagląda Karol Broszko. Stuka we

framugę palcem obleczonym w błękitną, lateksową rękawiczkę.

– Czy można kawkę? Bez mleczka? – Głos komisarza ocieka słodyczą. Najwyraźniej i on obawia się bliskiego spotkania z wałkiem kucharki. A może zdaje sobie sprawę, w jak srogą niełaskę popadł, zatrzymując w dworku kłopotliwych gości?

– Można! – odwarkuje Nadzieja i szybkim ruchem grubego palca wciska guzik czajnika.

– Rozpoczyna pan przeszukania, panie Karolu? – zagajam serdecznie.

– Tak jest! – Komisarz podkręca wąża i posyła mi dosyć pobłażliwe spojrzenie. – Niestety, nie mogę sobie pozwolić na zwłokę i na ten przykład posiedzieć w kuchni przy kawie i ploteczkach z szanowną panią kucharką.

Co za pracuś z naszego komisarza, tak od rana szpileczki wbijać? Uśmiecham się do niego szeroko.

– Niech pan żałuje, panie Karolu, niech pan żałuje!

Karol Broszko nie ma najmniejszego zamiaru popadać w żal, tylko energicznie zabiera się za przetrząsanie pokoi. Ledwie moczy wąża w szklance z kawą, a już biegnie na piętro dworku, gdzie na jego wyraźny rozkaz wszystkie drzwi mają stać otworem. Cud, że nie każe ich lokatorom stanąć na baczność przy framudze i oczekiwać na wynik poszukiwań!

Naturalnie nie odmawia sobie również przyjemności myszgowania w moim pokoju. Zagląda do pustej szafy, z głośnym stęknieniem schyla się pod łóżko i przetrząsa torebkę,

w której trzymam ostatni słoiczek z musem dla niemowląt i skradzioną z supermarketu łyżeczkę. Rozbawiona obserwuję, jak wyraz determinacji na jego twarzy ustępuje miejsca rozżaleniu.

– Tutaj nic nie ma! – skarży się zawiedziony.

– A myślał pan, że co znajdzie? Wyschnięte krzaczki borówek pod materacem?

– Ale żeby aż tak nic nie mieć przy sobie? Jakie ja efekty przeszukania mam przedstawić, he? Nie dość, że laptop starego Maliny gdzieś wyfrunął, to jeszcze u pani takie pustki. – Wzruszam ramionami, bo nie chce mi się tłumaczyć, że przecież wyszłam z mieszkania tylko na chwilę i nie pomyślałam, żeby spakować kilkudniową zmianę garderoby. Zamierzałam raz-dwa odstawić dziewczynkę pod opiekę lekkomyślnej matki i powrócić do swoich maseczek, ciasteczek i seriali. Nie jestem nawet pewna, czy przed wyjściem z domu wyłączyłam telewizor! Nagle dociera do mnie sens słów wypowiedzianych przez markotnego komisarza.

– Zaraz, a co to znaczy, że laptop starego Maliny wyfrunął? Skrzydeł dostał czy ki diabeł?

– A skąd ja mam niby wiedzieć? Wszyscy mówią, że laptop był, a teraz go nie ma.

– To ciekawe.

– Żeby pani wiedziała. A jeszcze ciekawiej będzie, jak się nie znajdzie.

W końcu zawiedziony policjant daje znak, że możemy

wyść na korytarz. Sam kieruje się do położonego za ścianą pokoju młodych Malinów, kiedy jednak usiłuję mu towarzyszyć, bezceremonialnie zamyka mi drzwi przed nosem.

– Taki zasadniczy – mruczę, schodząc na parter – a sam prokuratora nie słucha.

Dochodzę do wniosku, że przechadzka dobrze mi robi, więc gwizdę na Młynka i schylam się po jakiegoś patyka. Powoli przedzieramy się przez zarośla, odnajdując wąską ścieżynkę biegnącą w kierunku skarpy. Od ubiegłego roku znacznie zarosła i cienkie gałązki chłoszczą mnie po twarzy. Koniecznie muszę jednak zobaczyć rzekę. I uciec choć na chwilę od przesiąkniętych zbrodnicznymi tajemnicami wnętrz dworku i podejrzliwych spojrzeń gości.

Pora podsumować w myślach to, czego udało mi się dowiedzieć w sprawie zgonu świętej pamięci Waldemara. Ponieważ jednak kiepsko wychodzi mi podsumowywanie w odniesieniu do samej siebie połączone z pojedynkowaniem się z napierającymi chaszczami, odczekuję, aż opuszczę zarośla i padam na zieloną trawkę, przywołując do siebie psa. Następnie zmuszam go, by patrzył prosto na mnie i przedstawiam mu ustalenia.

– Przekonajmy się, co wiemy, piesku. Słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj. Później przyjdzie pora na twoje wnioski. – Młynek posyła mi niecierpliwe spojrzenie. – Pan Malina nie żyje. Zgodzisz się ze mną? Oczywiście, że się zgodzisz. Pierwszy poczułeś, że nie żyje. Został otruty i to prawdopodobnie borówkami. Tak, z tego słoika, który znalazłeś w krzakach. Nie znam się na borówkach, piesku, ale to nie były takie zwykłe borówki. Postrzyk jakiś czy coś w ten deseń. Od nich chyba strzyka w plecach, ale pana Malinę to raczej nie strzyknęło, tylko sieknęło. Skutek poczułeś. Ja też – na sobie!

Z opowieści Nadziei i naszych osobistych obserwacji wynika, że pan Malina nie był miłym człowiekiem, jednak jego kiepskie nastroje możemy zrzucić na brak satysfakcji seksualnej. Mieć taką żonę i nie mieć ochoty? Nie żebym ja miała, piesku, ale sam widzisz, on się z nią ożenił... więc chyba ochotę mieć musiał. Może wcześniej lubił ryby?

Na wzmiankę o rybach, Młynek oblizuje się łakomie, więc nakazuję mu się skupić.

– Zagadkowa sprawa z tym laptopem, piesku. Był, a teraz go nie ma. Niezły pech. Może morderca wiedział, że na dysku znajdują się obciążające go dowody? Pogróżki, zdjęcia, filmiki z fiku-miku w pościeli, niekoniecznie własnej? Coś musiało być na rzeczy, skoro laptopik dostał skrzydeł jak Adaś Małysz na skoczni i wyfrunął, co nie? Gorzej, jak zaliczył nefartowne lądowanie i się, powiedzmy, roztrzaskał. – Spoglądam z namysłem na Młynka. – Wiesz co, kolego? Tak dobrze ci poszło ze słoikiem po jagodach, może byś tak niuchnął kilka razy wokół dworku? Może trafisz na jakiś porzucony enter i po klawiszach do klawiatury doprowadzisz mnie do miejsca, w którym został ukryty komputer naszego Waldemara?

Przypominam sobie coś bardzo ważnego:

– A opowiadałam ci, jak podsłuchałam żonę Maliny, która groziła sekretarce? Nie? Nie będę się wdawać w szczegóły, ale coś mi mówi, że ona maczała palce w tym całym słoiku z borówkami. Szparka twierdzi, że sekretarki polują na swoich szefów i w tym przypadku może to być motywem. Staremu Malinie znudziły się rybki i przerzucił się na świeże mięsko. A rybci, znaczy żonce, z pewnością się to nie spodobało! Nic to jednak, na chwilę obecną zbyt wiele nie domówień, nie możemy jej oskarżyć. Ale będziemy ją mieć na oku, dobra? A i jeszcze jedno. Pamiętaj, że nie mamy zbyt wiele czasu. Marek zjawi się

tu lada chwila, a wtedy marny nasz los!

Młynek wydaje z siebie przeciągłe warknięcie, więc otwieram usta, by przetłumaczyć niewdzięcznikowi, że przed kim jak przed kim, ale przed Mareczkiem swojej nowej opiekunki bronić nie musi. W samą porę zauważam jednak, że spojrzenie psa wędruje gdzieś nad moim ramieniem, a to oznacza, że mamy towarzystwo! Odwracam się przestraszona.

– Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć. Zobaczyłem z daleka, że pani tu siedzi i podszedłem sprawdzić, czy nic się nie stało.

Nie odpowiadam, myśląc, że sobie pójdzie, ale płonne moje nadzieje! Młody Malina stoi nad nami z zagadkowym wyrazem twarzy, dłońie niedbale wsunął w kieszenie materiałowych spodni. Ma na sobie śnieżnobiałą i na pierwszy rzut oka bardzo kosztowną koszulę. Jej podwinięte do łokci rękawy silnie kontrastują z opalonymi przedramionami. Solarium czy wakacje nad Adriatykiem? – Przemyka przez moją głowę.

– Wszystko w porządku? – pyta, podchodząc i siadając obok mnie. Młynek obnaża zęby z głośnym warczeniem i muszę odciągnąć go nieco na bok. Patrzą niechętnie na przybysza, ale ten nic sobie z tego nie robi. Zrywa długie źdźbło trawy i przygryza je, wpatrując się w położoną niżej rzekę. Mam okazję, by dobrze mu się przyjrzeć. Jest przystojny i to w ten niebezpieczny, nieco drapieżny sposób. Mocno zarysowany podbródek, szare oczy w ciemnej oprawie rzęs, duży nos. Tylko ta opalenizna... wstrząsa mną dreszcz. Towarzyszy mi uczucie *déjà vu*.

– Wszystko w porządku – mówię, licząc na to, że kiedy doczeka się odpowiedzi, po prostu sobie pójdzie. Z drugiej strony, chciałabym pociągnąć go troszkę za język, druga taka szansa może się już nie trafić!

- Zawsze rozmawia pani z psem? – uśmiecha się.
- Jeśli mam ochotę. A jest to jakiś problem?
- Nie. Sam czasami dyskutuję z naszym domowym kotem.

Zwierzęta są bardzo mądre.

Robi wrażenie sympatycznego. Czuję, jak się rozluźniam, także Młynek przestaje warczeć i przechodzi do bardziej pokojowych czynności: mianowicie do dość intymnej toalety. Chcąc nie chcąc, muszę odwrócić wzrok i spojrzeć na mężczyznę. A ten uśmiecha się zawadiacko.

– Pana ojciec chyba nie lubił zwierząt – zauważam. Ledwie wypowiadam te słowa, a dociera do mnie, że mogą być nie na miejscu. Mam wycucie! Kalina – słoń w składzie porcelany – Radecka – zawsze do usług! Nietakty na zamówienie, stosownie do okoliczności i w atrakcyjnych warunkach cenowych!

Zerkam niespokojnie na towarzyszącego mi mężczyznę i z ulgą stwierdzam, że najwyraźniej nie poruszyłam żadnej bolesnej struny, bo nadal się uśmiecha. Nie ma zamiaru wybuchnąć niepohamowanym szlochem i wesprzeć czoła na moim ramieniu, zacisnąć dłoni na szyi czy potargać włosów, wrzeszcząc, że zamordowałam, a następnie sponiewierałam po podłodze jego ojca.

– Mam na imię Marcin, mówmy sobie po imieniu – proponuje. Jestem zaskoczona, ale kiwam głową. – Masz zupełną rację. Mój ojciec nie lubił zwierząt, ale tak po prawdzie to on nie lubił nikogo i niczego. Przepraszam, lubił swoje pieniądze!

Nie wiem, co powiedzieć, więc po prostu mamroczę, że bardzo mi przykro. Marcin Malina wzrusza niedbale ramionami i pakuje w usta kolejną trawkę. Czyżby Nadzieja poskapiała zieleniny do śniadania?

- Czy ojciec miał jakieś problemy ze zdrowiem? – pytam.

– Był zdrowy jak przysłowiowy koń! Wiedziałbym, gdyby coś mu dolegało. Jestem lekarzem. – Prostuje się dumnie, więc czuję się zobowiązana jakoś to skomentować.

– Ojej! Ojciec na pewno był z ciebie bardzo dumny!

– Wprost przeciwnie. – Po dumnie wyprostowanej sylwetce nie pozostało ani śladu, Marcin Malina kurczy się jak przebity balonik. Najwyraźniej brak akceptacji ze strony ojca poważnie rzutuje na jego dorosłe życie. Nie wiem, czy to światło, czy prawdziwe łzy, niemniej coś w tych szarych oczach migocze. – Ojciec akceptował tylko podobnych sobie. Marzył, że jego jedyny syn skończy studia związane z biznesem, a potem przejmie rodzinną firmę. Oczywiście za jakieś sto lat – zastrzega szybko.

– A ty nie chciałeś?

– No, jakoś niespecjalnie mnie do tego ciągnęło. Wciąż się kłóciliśmy.

– A jednak przyjechałeś do ojca? – zarzucam przynętę.

– Ojcu coś odbiło. Wcześniej traktował mnie jak powietrze. Ale odkąd przyjechał do tego dworku, zaczął przebąkiwać coś o emeryturze.

– Czyli minęło już sto lat? – żartuję. Malina wzrusza ramionami.

– Wymyślił sobie, że zbuduje we wsi dom, posadzi drzewo i jeszcze... No, wiesz.

– No, ale syna już przecież ma... to znaczy miał.

– Nie takiego, jakiego chciał. – W głosie mężczyzny pojawia się lodowata nuta, więc decyduję się jeszcze trochę drać. Może powie coś ważnego? Bądź co bądź, nawet jeśli ma coś na sumieniu i jest niebezpieczny, przy moim prawym łokciu siedzi zajęty zabiegami toaletowymi Młynek, który stanie w mojej obronie. Mam nadzieję.

– A z tą twoją macochą to jakaś świeża sprawa? Że dopiero teraz dzieci i w ogóle?

– A czy ona według ciebie wygląda na matkę Polkę?

– Pamela Anderson też nie wygląda, a patrz, jakie ładne dzieci rodzi!

– Nie wiem, jak to było między nimi, ale zawsze mi się wydawało, że to ona nie chce dziecka. Kariera, te sprawy. Poza tym, kiedy niby miała to dziecko urodzić? Wcisnąć termin porodu między wizytę w salonie kosmetycznym a zastrzyk z botoksu? To nie taka prosta sprawa. Najwyraźniej zmieniła zdanie.

– I naprawdę ojciec chciał tu zamieszkać?

– Tak mówił.

– I ona też chciała?

– Tego nie wiem, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby się wściekła. Powiem ci więcej: jestem przekonany, że to ona go zamordowała!

– Oj, nie powinieneś tak mówić. – Przybieram zboląłą minę, po czym rzucam mu zachęcające spojrzenie. Będzie kontynuował sam z siebie czy zostanę zmuszona, by coś zasugerować? Mężczyzna sprawia wrażenie zamyślnego, więc delikatnie trącam go łokciem. – Ale z drugiej strony: czy w kryminałach nie bywa na ogół tak, że to właśnie żona zabija męża? Może coś w tym jest! Szczególnie, jeśli dziedziczy się duży majątek! Chcemy znaleźć odpowiedź na pytanie: kto zabił – sprawdzmy, kto najwięcej zyskał! – mówię z przekonaniem.

Marcin Malina posyła mi zagadkowe spojrzenie.

– Diana nie odziedziczy po moim ojcu nawet złotówki! Spisali przed ślubem intercyzę.

– Wobec tego: kto dziedziczy? Kto miał największy motyw, by zamordować twojego ojca?

Młody Malina szerzy zęby w szerokim uśmiechu. Przy ich olśniewającej bieli skóra wydaje się niemal pomarańczowa. Na pewno nie Adriatyk, myślę. Mocne lampy, może nawet turbo- i superpakiet, żeby wyszło oszczędniej. Choć może on nie musi szukać oszczędności i nie kupuje ofert na Grouponie? Słowa mężczyzny zdają się całkowicie potwierdzać moje podejrzenia.

– Wychodzi na to, że ja miałem największy motyw, droga Kalino.

– Uhm. Cieszę się. – Przesuwam się nieznacznie w stronę Młynka. – Wobec tego w rankingu podejrzanych komisarza Broszko wysuniesz się na prowadzenie i uwolnisz mnie od tego wątpliwego zaszczytu. A teraz... wybaczone, ale muszę... – stwierdzam, że mam dość tej dziwnej dyskusji i najlepiej zrobię, wracając do dworku. Powoli podnoszę się z trawy, jednak zanim zdążę wstać, Marcin Malina łapie mnie za nadgarstek i usadza z powrotem obok siebie.

– O, nie, nie idź jeszcze! – Zgląda mi prosząco w twarz i tym razem nie mam już żadnych wątpliwości, że w jego oczach lśnią najprawdziwsze łzy. – Tak dawno nie miałem okazji porozmawiać o moich uczuciach...

– Tak, tylko że ja... naprawdę muszę już iść. Bo... trzeba nakarmić psa! Jego posiłki powinny być regularne. Weterynarz powiedział, że jeśli zaniedbam tę kwestię, to może odbić się na jego psychice. A on ma bardzo delikatną psychikę, bardzo. Nie masz pojęcia, jak delikatną. Ostatnio... zasmucił się, kiedy nie dostał na kolację swoich ulubionych serdelków. Po prostu wpadł w melancholię i przez dwa dni w ogóle nie chciał wstać z legowiska.

Jakby na potwierdzenie moich słów, Młynek zrywa się na łapy, niucha parę razy w powietrzu, kręci charakterystyczne

kóleczo, po czym czmycha w kierunku dworku. Bynajmniej nie ścieżką, co nie nastraja mnie optymistycznie. Podejrzewam, że właśnie wyczuł jakąś padlinę. Mam tylko nadzieję, że tym razem nie będzie to żaden z gości spa W Kamiennym Kręgu!

– O, widzisz, jaki głodny! – wołam wesoło. – Nawet na mnie nie zaczekał!

– Nie odchodź jeszcze, ktoś na pewno da mu chrupki.

– O, nie! On po chrupkach cierpi na niestrawność!

– Proszę cię, jest mi tak smutno. Czy mógłbym cię objąć?

Co proszę? Powiedźcie, że źle usłyszałam. Że ta cała sytuacja jest jedynie wytworem mojej wybujałej wyobraźni. I że człowiek, który przed paroma minutami podzielił się ze mną bardzo przekonującym motywem zbrodni, nie zamierza właśnie wypłakiwać się w kołnierzyk mojej bluzki. Abstrahując od tego, że kołnierzyka akurat moja bluzka nie posiada. Co jemu wydaje się najwyraźniej nie przeszkadzać, gdyż wyciąga do mnie ramiona i robi proszącą minę. Taka mina u faceta jest czymś najgorszym na świecie. Jest gorsza od białych skarpet, siatkowych podkoszulków i włosów wystających z nosa. No, dobra. Od włosów niekoniecznie.

– Ale tak szybko, bo pies... – mówię więc niepewnie i pozwalam niezdarnie otoczyć się ramionami. Syn Waldemara Maliny pachnie słodką wodą kolońską, co w połączeniu z odgłosami pociągania nosem tworzy w mojej głowie obraz naburmuszonego pięciolatka ciamkającego gumę balonową. Czuję, że robi mi się gorąco i mdło. Próbuję nawet delikatnie się oswobodzić, ale oplatające mnie ramiona skutecznie to uniemożliwiają. Marcin Malina pociąga nosem coraz głośniej, a im głośniej pociąga, tym mocniej mnie do siebie przyciska. Młynek, ratunku! Znowu w coś wdepnęłam i jest to gorsze niż twoje trawnikowe niespodzianki! O, Boże, czemu on mnie tak

dociska? Może mnie też chce zamordować? A taki się normalny wydawał!

I kiedy tracę już nadzieję na boską lub ewentualnie psią interwencję, dobiega mnie lekkie chrząknięcie. Zaskoczony Malina wypuszcza mnie z objęć, a ja odwracam się z zamiarem złożenia gorących podziękowań swojemu wybawicielowi. I napotykam spojrzenie błękitnych oczu, w których złowieszczo połyskują bryłki lodu.

Rozdział 8

Kiedy tylko Marek zaczyna się złościć, w jego oczach pojawiają się bryłki lodu. Zdążyłam się już do tego przyzwyczać, powiem więcej: mam na te bryłki swoje sposoby. Trochę chucham, trochę dmucham (ale nie wnikajcie, gdzie, bo i tak nie powiem) i zawsze się topią. Tym razem mam powody przypuszczać, że zmroziły się na amen i nic nie pomoże. Termostat się zaciął czy ki diabeł?

– Powiedziałaś, że wrócisz do domu wieczorem – cedzi przez zęby.

– Tak powiedziałam? No, ale nie mówiłam KTÓREGO

wieczoru!

– Masz mnie za kretyna.

– To pytanie? Jeśli tak, to nie.

– Kalina...

– Mam cię za rycerza. Takiego, co to spieszy na ratunek.

Na białym rumaku. – Robię słodką minkę, która zawsze skutkuje. Pomogła mi, kiedy podczas wycierania laptopa skasowałam jakieś bardzo ważne pliki. Pomogła mi, kiedy przekazałam najnowszą i nieprzeczytaną powieść Stephena Kinga na aukcję charytatywną. Ale tym razem nie pomaga. Marek znacząco unosi jedną brew i krzyżuje ramiona na piersi:

– Ale jak widzę, cierpliwość nie jest twoją mocną stroną.

Przyjeżdżam i co widzę?

– Co widzisz? – pytam zaniepokojona.

– Miejsce białego rumaka zajął gniady. Mocno opalony, bym powiedział.

– To nie moja wina – wzruszam ramionami. – Sam przykłusował za mną na łąkę.

– A mogę wiedzieć, po co?

– Pewnie na popas. Chyba z pół kilo trawy zeżarł.

– I niech zgadnę: ty tę trawę dla niego zbierałaś?

I podtykałaś mu pod nos?

– Nie... ja zbierałam wyłącznie informacje. I pocieszałam konia pogrążonego w smutku.

– Jakiego znowu konia?

– Gniadego.

Spojrzenie Marka mrozi mi krew w żyłach. Nagle dociera do mnie, że on wcale nie żartuje i nie przerzuca się ze mną żartobliwymi tekścikami. Naprawdę jest wściekły i nie ma zamiaru puścić w niepamięć wydarzenia na łące. Co prawda, pod wpływem jego dyskretnego chrząknięcia Marcin Malina

wypuścił mnie z zakleszczonych ramion i czym prędzej się ulotnił, wycierając zasmarkany nos, niemniej Markowego ciśnienia to nie obniżyło. On naprawdę sądzi, że obściskiwałam się z tym pomarańczowym ludzikiem?

– Ty chyba nie mówisz poważnie. – Wpatruję się w niego oniemiała.

– Chciałem zauważyć, że ja w ogóle nic nie mówię. W przeciwieństwie do pewnej awanturnicy, która co prawda mówi, ale zdecydowanie zbyt często mija się z prawdą. Zaskakujące jest to, że najwięcej kłamstw pojawia się w twoich ustach, kiedy jesteś właśnie w Kamionkach!

– A wiesz, że komisarz też sugerował coś w tym stylu? Tyle, że jemu nie chodziło o kłamstwa... – Nagle dociera do mnie, co powiedział. – Hej, co masz na myśli? Wcale nie kłamałam!

– Uhm, czyli kiedy dzisiaj rano wszedłem do mieszkania i ciebie w nim nie zastałem, to tylko mi się wydawało?

– Tego nie powiedziałam. Ale zrozum: nie mogłam stąd tak po prostu wyjechać. Tutaj chodzi o moją własną, osobistą reputację! Przecież zasugerowano, że zamordowałam człowieka i nawet jeśli tego nie zrobiłam, to jak mam żyć z myślą, że tak pomyślano? – Posyłam Markowi chmurne spojrzenie. – Muszę odkryć, kto tak naprawdę rozkwaślił pana Malinę i chciałam, żebyś mi w tym pomógł!

– I oczywiście musiałaś postawić na swoim, tak? A nie przyszło ci do głowy, że mogę mieć coś ważniejszego na głowie? Hrabiowska maniera cię dopadła?

Jego słowa brzmią cokolwiek nieprzyjemnie! Na tak postawioną sprawę nie mogę zareagować inaczej, jak tylko świętą obrazą. Żadnym tam babskim fochem, to dobre dla stworzeń jolkopodobnych. Milknę więc, wystukuję stopą na

zarośniętej ścieżynce powolny – wręcz żałobny – rytm, a na koniec wznoszę oczy do nieba. Ja tu sobie poobserwuję, jakie piękne obłoczki się po kamionkowskim niebie przesuwiają, a pan detektyw niech się zastanowi, co właśnie powiedział. I niech to sobie zinterpretuje po swojemu, inteligentny jest, wnioski potrafi wyciągać.

No i proszę! Szybko mu poszło!

– No i foch – obwieszcza z zagadkowym uśmiechem.

– Żaden tam foch, tylko po prostu główkuję, co może być ważniejsze od mojego bezpieczeństwa i mojej czystej kartoteki kryminalnej. I ode mnie, oczywiście.

Lodowate bryłki w oczach pana detektywa połyskują groźnie.

– Jesteś najbardziej nieznośną kobietą pod słońcem. Ciesz się, że moje zlecenie przewidywało pracę w tej okolicy, inaczej w tej chwili zapakowałbym cię do samochodu i odstawił do Krakowa. Pod skrzydła mamusi, skoro sama nie potrafisz zadbać o siebie!

Po tej pełnej pasji przemowie wymija mnie i odchodzi w kierunku dworku. Patrzę za nim osłupiała i zastanawiam się, co poszło nie tak. Dlaczego mnie nie rozumie? Czy tak trudno pojąć, że kiedy los ponownie skierował mnie do Kamionek i rzucił w sam środek afery kryminalnej, nie miałam nic do gadania? Że nie mogę wyjechać, kiedy tutaj toczy się tak interesujące przedstawienie, szczególnie, że obsadzono mnie w jednej z najważniejszych ról? Przecież to nie moja wina, że kłopoty mnie kochają!

Poza tym już niemal rozwiązałam zagadkę śmierci Waldemara Maliny i teraz pozostaje mi tylko udowodnić, że niesympatycznego biznesmena zamordowała żona. Albo lubujący się w przytulankach syn. Jeszcze ostatecznie nie

zdecydowałam.

A Marek? Nie dość, że nie okazuje zrozumienia, to jeszcze trzyma sztamę z moją matką. *Z mamusią!*

I co w ogóle ma znaczyć, że niby jestem najbardziej niezdolną kobietą pod słońcem? Jolki nie zna?

Do dworku wracam samotnie. Obrażalski pan detektyw nie zadał sobie trudu, aby na mnie poczekać. Najwyraźniej funkcja rycerza na białym koniu nie przewiduje ochrony przed bujną roślinnością parku i zamieszkującymi ją żyjątkami. Staram się o nich nie myśleć i intensywnie rozglądam się za Młynkiem. Gdzie to niezdolne psisko pokłusowało?

Przez myśl przemyka mi, że chyba powinnam przygotować psa na spotkanie z Markiem. I oczywiście Marka na spotkanie z czworonogiem również, ale to z racji jego złości będzie musiało poczekać. Może lepiej zrobię, jeśli przez jakiś czas zachowam istnienie Młynka w tajemnicy? Wobec tego muszę prędko namierzyć psisko i wytłumaczyć mu, że chwilowo nie powinien rzucać się w oczy. I co za tym idzie, zwolnić te trzy czwarte posłania, które zaadaptował na swoje potrzeby. Bądź co bądź mój bohater przybył, a zbroja swoje zajmuje!

Przez dłuższą chwilę kręcę się po parku, cmokając i gwizdząc, ale nie przynosi to żadnych efektów. W końcu wracam do dworku i decyduję się zawęzić obszar poszukiwań do najbliższego otoczenia psiej miski. Jeśli przy niej nie znajdę sierściucha, to już nie wiem.

Rozglądam się po kuchni, ale na pierwszy rzut oka Młynka

tutaj nie ma. Schylam się pod stół, uchylam drzwi do spizarni i szafki pod zlewem, gdzie w kubie zalegają resztki malin i inne niekoniecznie pięknie pachnące resztki, które mojemu nowemu przyjacielowi mogłyby przypaść do gustu. Przemierzam kuchnię na czworaka, zaglądam za zasłony, szafki, a nawet za lodówkę, za którą niegdyś znalazłam schronienie przed rabusiami.

Nadzieja, która właśnie zjawia się w pomieszczeniu, taszcząc koszyk z ziemniakami, przygląda mi się zdumiona.

– Młynka szukam – tłumaczę jej, wstając i otrzepując dłonie z kurzu.

Kucharka odstawia koszyk do zlewu, po czym wydobywa z szafki przybornik z przyprawami.

– Do soli czy do pieprza? – pyta poważnie, na co odpowiadam śmiechem.

– Nie takiego.

– Mam jeszcze do kawy i ten stary, co to nim Kasia pszenicę mieli. – Kręcę głową, więc pochmurnieje. – To jakiego Kalinka szuko?

– Takiego, co własny ogon goni. Psa szukam. Gdzieś się zakręcił znowu...

– Aaaa, ja myślałam, że Kalinka przypraw jakich szuko. Pies nie zajac, nie ucieknie. Głód do zadka zajrzy, to i przyleci.

– Tak, tylko że chciałam mu coś wytłumaczyć.

Nadzieja popatruje na mnie podejrzliwie, najwyraźniej nie przemawia do niej pomysł, że miałabym Młynkowi coś tłumaczyć. Patrzy to na mnie to na trzymane w dłoni przyrządy do mielenia ziaren soli i pieprzu, w końcu wzdycha i mówi, że ona za tym nowym nie nadaża. Że za dawnych czasów z psami to się rozmawiało tylko w Wigilię i to po podaniu specjalnego opłatka. Różowego. A ostatnio moda jakaś na te psy się robi. Nawet ksiądz napominał na mszy, żeby szczepić na choroby i na

łańcuchu nie trzymać, bo z ambony wyczyta.

– A jak wyczyto, to straszny wstyd. Na trzy wsie – tłumaczy zaaferowana Nadzieja, przetrząsając szuflady w poszukiwaniu obieraczki do jarzyn.

Pospiesznie przyznaję, że na taki wstyd lepiej się nie narażać i wychodzę z kuchni, by szukać dalej. Decyduję, że jeszcze raz przejdę przez park, tym razem aleją w kierunku bramy. Z daleka dostrzegam, jak Marek wydobywa z bagażnika wypchaną sportową torbę. Ciekawe, czy dając upust swojej złości, weźmie osobną sypialnię, myślę.

Przechadzam się alejką i nawołuję cicho, podnoszę też odrapany patyk i rozgarniam nim bujne zarośla. Psa nie znajduję, za to przy bramie natykam się na panią Elizę, która ogałaca z liści wysoki żywopłot. Tuż obok przykucnęła Szparka. Na kolanach trzyma wielką główkę słonecznika i zawzięcie skubie ziarenka, plując na ścieżkę łupinkami. Przedstawiam im problem zaginionego psa, ale niestety żadna z nich nie spotkała Młynka od rana. Nie wydają się również przejmować jego nieobecnością, najwyraźniej na wsi psy mają w zwyczaju chadzać własnymi drogami i to zupełnie bez uprzedzenia. Obydwie panie wyraźnie zainteresowały się osobą Marka, który zjawił się dość nieoczekiwanie i to w dość ponurym nastroju. Pani Eliza jest zachwycona przyjazdem detektywa.

– Teraz jestem już spokojna, że wszystko skończy się dobrze! – W geście radości wznosi ku niebu sekator, a my ze Szparką przezornie odsuwamy się o kilka kroków. – Mareczek ma duże doświadczenie, obcował z prawdziwymi przestępcami i zna się na nich. Na pewno raz-dwa odkryje, kto zamordował pana Waldemara i oczyści ze złej sławy ciebie i nasz dworek.

– Nie liczyłabym za bardzo na niego – zgrzytam zębami. – Jest na mnie wściekły.

– Ale zjawił się na miejscu, czyż nie?
– Teoretycznie tak, ale twierdzi, że tylko dlatego, bo ma tutaj jakieś zlecenie.
– Czy to jakaś tajna misja? – konfidentycznie pyta pani Eliza.

– Nie mam zielonego pojęcia. W ogóle nie opowiada mi o swojej pracy. W każdym razie nie zamierzam czekać, aż złość mu minie i zdecyduje się zadbać o moją kryminalną kartotekę. Sama zdemaskuję mordercę Waldemara Maliny. Mam już nawet pewne podejrzenia, muszę tylko zebrać dowody. Komisarz na pewno mi w tym pomoże, wprost pali się do tej roboty. Ale teraz... muszę znaleźć psa. I ukryć psa. Przed Markiem. Lepiej żeby na razie o nim nie wiedział.

Kobiety patrzą na mnie z niemym podziwem. Zamieniam z nimi jeszcze kilka słów, w czasie których ustalamy, że trzeba jakoś zorganizować czas gości przebywających w dworku i tym samym zagwarantować lepsze warunki dla śledztwa. Bo jeszcze się morderca zirytuje panującą w dworku nudą, spakuje walizy i odjedzie w siną dal? I już nigdy nie udowodnię, że to nie moje działania pomogły Waldemarowi Malinie zejść z tego świata!

Dokonawszy ustaleń dotyczących dalszego śledztwa, stwierdzam, że zajdę do wsi i rozejrzę się za Młynkiem. Być może siedzi przy ławeczce pod supermarketem i czeka, aż jakaś litościwa dusza rzuci kawałek czegoś dobrego? Poza tym spacer dobrze mi robi. Przewietrzę umysł, uporządkuję myśli, nacieszę oczy kamionkowskimi krajobrazami. Poprzednim razem na przeszkodzie moim dumaniom stanął Marcin Malina, tym razem postaram się unikać wszelkiego towarzystwa!

Wyruszam dobrze sobie znaną drogą wśród pól. Tym razem przybyłam do Kamionek w czasie zniw, więc gdzieś tam miejsce falujących zbóż zajęły ostre ścierniska. Na niektórych

widzę małe ludzkie postacie poruszające się przy pracy, na wielkim polu pod lasem leniwie przesuwa się czerwony kombajn, moich uszu dobiega jego wysoki, buczący głos. Z łąk dolatuje do mnie soczysty zapach koszonej trawy, kwiatów i ziół.

Kamionki są piękne i wcale nie dziwię się Waldemarowi Malinie, że zapragnął zbudować tutaj swój dom. Przyjechał chłopina do spa, zakochał się w tutejszych krajobrazach i postanowił zostać. Zupełnie jak ja, swego czasu. Tyle że mnie nikt nie ukatrupił i mogłam się tutejszym pięknem nacieszyć. Nieomal dopada mnie współczucie względem zamordowanego biznesmena, ale w porę przypominam sobie, że do sympatycznych nie należał, a do tego prawdopodobnie wdał się w romans z sekretarką. Takie osobniki nie zasługują na współczucie, o nie!

Poza tym nie mam teraz czasu na okazywanie współczucia. Powoli zbliżam się do krzyżówek i już z daleka dostrzegam znajomy kształt. Przyspieszam kroku, czuję, jak narasta we mnie radosne podniecenie. Zdyszana wpadam na wydeptany placyk przy drodze i zatrzymuję się tuż obok drabiniastego wozu.

Romeo odwraca głowę w moim kierunku i radośnie zarzuca grzywą. Na myśl o tym nagłym spotkaniu odczuwam wzruszenie. Mam nawet ochotę podejść i pogłodzić gładką, błyszczącą sierść, ale oczywiście tego nie zrobię. Jakby na to nie spojrzeć: jestem miastową paniusią i mam prawo bać się tej imponującej końskiej sylwetki. Nawet jeśli wiem, że jest poczciwa, sympatyczna i lubi romantyczne filmy.

Czuję jednak, że jakoś powinnam uczcić nasze spotkanie, bądź co bądź nie codziennie spotyka się końskiego przyjaciela! Rozglądam się naokoło, zadając sobie w duchu pytanie, gdzie mógł się podziać Stary Jan, skoro wóz z koniem stoi

zaparkowany na krzyżówkach. Nigdzie go nie widać. Czyżby na wsi nie tylko psy chadzały własnymi drogami?

Nie dostrzegam Starego Jana, ale zauważam bujne, lipowe gałęzie. Jeśli dobrze pamiętam, Romeo gustuje w podobnej roślinności! Czym prędzej przeskakuję płytki rów i ułamuję witkę z obfitym listowiem, po czym podsuwam ją pod koński pysk. Przybieram dumną minę, zupełnie jakbym wręczała bukiet z najdroższej kwiaciarni w Krakowie!

– Witaj, Romeo! Co słyszeć? Oglądałeś ostatnio coś ładnego w telewizji?

Najwyraźniej jednak Romeo ma mój prezent za nic. Co prawda rzy dość wesoło, ale nie wiem dlaczego kiełkuje we mnie podejrzenie, że właśnie zostałam obśmiana. Skonfundowana obserwuję, jak koń wstrząsa grzywą, po czym postępuje kilka kroków w kierunku pobliskiej kapliczki, opuszcza głowę za niewysoki płotek, którym odgrodzono słupek z maryjną figurką i jednym kłapnięciem zębów pochłania rosnące wokół kolorowe kwiaty. Barwne wstążki powiewają nad jego łbem i najwyraźniej trochę go łaskoczą, bo strzyże uszami.

– Hej! – Robię zmartwioną minę. Niespokojnie zaglądam za płotek i szacuję straty. – Romeo, znam twoje zamiłowanie do kwiatów, ale nie jedz ich. Jeszcze ci zaszkodzą... poza tym, ktoś je sadził, wkurzy się na ciebie, wiesz? No i bufet też niefortunnie wybrałeś, to tak jakby święte miejsce, tu się nie konsumuje.

Romeo podnosi głowę i spogląda na mnie kpiąco. Co ty nie powiesz, mówią jego wilgotne oczy. Przyglądamy się sobie przez chwilę, przy okazji stwierdzam, że Romeo jest bardzo szykownym konikiem. Nie znam się na końskiej garderobie, ale na łbie ma jakieś specjalne skórzane pasy nabijane ćwiekami w srebrnym kolorze, a po obydwóch stronach głowy zabawnie dyndają czerwone pomponiki z włóczki.

– Jakie ty masz piękne kolczyki! – zachwycam się. – Ale tych kwiatków już nie jedz. Nawet nie wiem, jak się nazywają, więc jak cię dopadną boleści, nie będę umiała powiedzieć weterynarzowi, co wszamałeś!

Romeo prycha i pochłania kolejną roślinkę, a ja wzdycham żałościwie – zero autorytetu u czworonożnych przedstawicieli tego świata. Pies chodzi, gdzie chce, koń zjada, na co ma ochotę.

– Lwia paszcza – słyszę nagle.

– Raczej końska – wyrywa mi się. W tym samym momencie dociera do mnie, że przecież to nie Romeo podzielił się ze mną znajomością asortymentu sklepu ogrodniczego. Rozglądam się niespokojnie na boki i po chwili spostrzegam starszą kobietę. Siedzi na trawie, przyciśnięta plecami do pnia drzewa i przygląda mi się z życzliwym uśmiechem.

Kobieta obserwuje mnie badawczo, na jej ustach błąka się lekki, przyjazny uśmiech. U stóp położyła pleciony koszyk, a w nim spoczywają kłosa jakichś zbóż, kwiaty, gałązki i nieduża konewka. O płotek otaczający kapliczkę opiera się kopaczka. Ogarnia mnie niedobre przeczucie, że siedząca pod drzewem kobieta przed momentem podlewała, a może nawet posadziła kwiaty, którymi właśnie poczęstował się Romeo. Sam zainteresowany zdaje się nic sobie z tego nie robić, kolejny raz nurkuje za płotek ku soczystym kwiatom. Tym razem zapominam o strachu i odruchowo łapię go za uzdę.

– Tak nazywa się ta roślina: lwia paszcza – mówi kobieta z zagadkowym uśmiechem.

– Nie zaszkodzi mu? – dopytuję niespokojnie. Kobieta wzrusza ramionami.

– Zwierzęta są mądrzejsze od ludzi. Nie tykają tego, co im szkodzi.

Przypominam sobie te wszystkie hamburgery, frytki i zupki chińskie pochłonięte w chwilach słabości. Później przywołuję wspomnienie mdłości, bólu głowy i pozostałych symptomów następujących u mnie po spożyciu alkoholu. Na koniec z zakamarków pamięci wydobywam wspomnienie chwili, gdy wypaliłam pierwszego papierosa. Był to klubowy podkradziony z torebki ciotki mojej koleżanki z podwórka. Za jego sprawą zwróciłam posiłki z ostatniego miesiąca wraz z żołądkiem, wątrobą i jednym płucem. Moje wspomnienia są tak sugestywne, że aż skręcam się z zażenowania, po czym mierzę Romea spojrzeniem pełnym podziwu. Koń strząsa grzywą i przechodzi do skubania rosnącej nieopodal zielonej kępy trawy. Cały czas ciągnie za sobą wóz.

– Kogo tym razem szukasz, dziecko? – pyta kobieta.

– Psa.

– Jakiegokolwiek?

– Niezupełnie, to mój pies. To znaczy on może jeszcze nie wie, że jest mój, ale jest. Taki rudy, kudłaty... widziała go pani?

– Może i widziałam, ale ja nie o psa pytam, dziecko.

– A o kogo?

– No, pomyśl, pomyśl. – Kobieta zanosi się suchym śmiechem. – Ostatnio szukałaś złodzieja, a tym razem?

Otwieram szeroko oczy i wpatruję się w nią oniemiała.

– Skąd pani wie?

– Koń mi powiedział.

Przyglądam się jej podejrzliwie, potem zerkam dyskretnie do koszyka. Może coś chlapnęła przy tych pracach ogrodowych?

Gorąco jest, to pewnie pić się chciało. Tymczasem kobieta ociera dłonią zażawione policzki i uśmiecha się życzliwie. Zauważam, że ręce ma spracowane i zabrudzone od trawy i ziemi. Wiekiem zbliżona jest do pani Elizy, ale ma bielutkie włosy. Widzę kilka pojedynczych kosmyków wysuwających się spod wielobarwnej chustki. Drugą chustkę zarzuciła na ramiona.

– Nie patrz tak dziecko, przecie żartuję. To mała wieś i wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. A nie boisz ty się? – Poklepuje zachęcająco miejsce obok siebie, więc podchodzę i kucam pod drzewem. Kręcę głową.

– Nie, a czego?

– Mordercy przecież.

– Nie, chyba nie – mówię po chwili namysłu. Kobieta kiwa głową. Później wskazuje koszyk.

– Napijesz się kompotu, dziecko?

– A z czego? – pytam nieufnie. Nieznajoma parska śmiechem i pochyla się do koszyka. Wyjmuje plastikową butelkę po oranżadzie napełnioną przyjemnie wyglądającym, ciemnoróżowym napojem.

– No, przecie że nie z czereśni – wzrusza ramionami. Najwyraźniej moje pamiętne pierwsze spotkanie ze Szparką przeszło we wsi do legendy i teraz służy za miejscową anegdotę. Mnie samej też chce się śmiać, kiedy przypomnę sobie recepturę przyjaciółki na kompot z młodych czereśni. Chce mi się również pić, więc pospiesznie odkręcam butelkę i upijam potężny łyk napoju. Kobieta przygląda mi się zadowolona.

– Pyszny! – mówię szczerze. Kiwa głową, odbierając i zakręcając butelkę. Odkłada ją do koszyka i przykrywa uzbieraną zieleniną.

– Z młodych śliwek – tłumaczy. Muszę mieć dość niewyraźną minę, bo klepie mnie uspokajająco po kolanie

i puszcza oko.

Przez chwilę milczymy, obserwując Romea skubiącego trawę. Właśnie dochodzę do wniosku, że powinnam już ruszać dalej i zastanawiam się, czy bardzo niegrzecznie to wypadnie, jeśli teraz się oddalę. Na końcu języka mam już słowa pożegnania, kiedy kobieta kieruje na mnie spojrzenie uśmiechniętych oczu.

– To nie był dobry człowiek.

– Skąd pani wie? – Nie muszę pytać, o kogo jej chodzi. Tylko jeden człowiek w ostatnim czasie zmienił swój czas na przeszły.

– Koń mi powiedział – mówi znów ona. Czuję się trochę nieswojo. Być może serwuje pyszny kompot i ma bardzo ciepły uśmiech, ale trochę pachnie czarownicą. Rozmawia ze zwierzętami i w ogóle. To znaczy, ja też czasami mówię do Młynka, ale jak mi Bóg miły jeszcze nigdy mi nie odpowiedział. A *jej* Romeo co nieco do ucha już szepnął. Ciekawe, dlaczego darzy ją takim zaufaniem? Przyszli tu razem?

– Jak się pani nazywa? – pytam.

– Ciotka Klotka – pada wesola odpowiedź.

Nie no, zdecydowanie przesadza. Być może sprawiam sympatyczne wrażenie, mówię do zwierząt, przyciągam tabuny kłopotów i uganiam się za wszelkimi przestępcami ściągającymi do miejscowego majątku, ale to nie powód, by sobie ze mnie kpić. A kobieta, brzydko to ujmując, robi sobie ze mnie ewidentnie jaja. Lepiej pójdę poszukać Młynka.

– Chyba już pójdę. Muszę poszukać psa – mówię więc, wstając. Kobieta kiwa głową i wskazuje ruchem brody majaczący w oddali kształt kościelnej wieży.

– Zobacz w domu za plebanią, dziecko – mówi.

Dziękuję jej i pospiesznie ruszam w kierunku wsi. Uchodzę

kilkadzieśiat metrów, kiedy dobiega mnie charakterystyczny stukot. Odwracam się i zaskoczona odprowadzam wzrokiem Romea, który ciągnąc za sobą drabiniasty wóz, spieszy w kierunku osady. Wozem nikt nie powozi, a jednak koń jedzie pewnie i prościutko jak od linijki. I zdaje się doskonale wiedzieć, gdzie zmierza. Kiedy przejeżdża obok mnie, dobiega mnie wesołe rżenie i ponownie mam wrażenie, że Romeo sobie ze mnie żartuje w najlepsze!

– Niezły z ciebie kolega, Romeo! Nie mogłeś powiedzieć, że za moment będziesz jechał do wsi?

Zgodnie z przewidywaniami kobiety spotkanej na krzyżówkach, Młynek odnajduje się w domu nieopodal plebanii. A raczej w zarośniętym i mocno zaniedbanym ogrodzie. Kiedy podchodzę do zmurszałego płotu i ciekawie zaglądam do środka, zrywa się z trawnika i radośnie podbiega do bramki.

– Gdzie się podziewałeś, co? – pytam, starając się przybrać surowy ton. Jeśli mamy razem zamieszkać, musi wiedzieć, że w mieście panują trochę inne zasady i nie można sobie ot tak znikać. Pies robi nieco skruszoną minę i spuszcza po sobie uszy, następnie wykonuje charakterystycznego młynka w pogoni za ogonem i zabawnie podrzuca pyskiem, jakby chciał mi coś pokazać. Wysilam wzrok i dostrzegam niewielkiego psiaka leżącego w cieniu starych, owocowych drzew. Z dumnej postawy swojego podopiecznego wnioskuję, że mam do czynienia z żeńską przedstawicielką psiego gatunku. – No, ładnie, ładnie! To ja ciebie szukam po całej wsi, a ty sobie

randkujesz?

Młynek wydaje z siebie ciche szczeknięcie i drapie pazurami o płot, więc uchylam przed nim bramkę i wypuszczam go na ulicę.

– Idziemy? – pytam. Psi Casanova najwyraźniej jest gotów do drogi. Niestety na przeszkodzie naszym planom staje zarośnięty mężczyzna, który właśnie zbliża się do posesji. Na widok Młynka zaciska dłonie w pięści, pies pospiesznie chowa się za moimi nogami.

– Znowu ty? – wrzeszczy mężczyzna. – Co ci mówiłem, kundlu zatracony?

– A czemu pan tak krzyczy? – Decyduję się stanąć w obronie kudłatego towarzysza.

– A to paniusi pies?

– A mój.

– To niech paniusia da namiary.

– Jakie namiary? – Staję jak wryta.

– Telefoniczne. Kontaktować się z paniusią będę.

– Ale po co?

– Jak to po co? W sprawie alimentów!

– Ale ja nie chcę żadnych alimentów! Ja się psem zajmę za darmo. – Dochodzę do wniosku, że to najwyraźniej dawny opiekun Młynka. Wredny, okropny człowiek, który porzucił go i przegonił, wygrażając pięścią. Ale nie wiadomo czemu, chce płacić mi za utrzymanie przygarniętego psa. Honorowy jakiś taki.

– To niech się paniusia zajmuje za darmo, paniusi sprawa. Paniusia wygląda na taką, co ją stać. Ale ja nie jestem instytucją dobroczynną. Jak paniusi piesek szczeniaczki zmajstrował, to trzeba płacić alimenta. Tak czy nie?

Spoglądam na Młynka z wyrzutem, bo nagle dociera do

mnie, czym to pachnie. Amory amatorami, ale odpowiedzialnym trzeba być. Jak to tak, żeby w dwudziestym pierwszym wieku o antykoncepcji nie pomyśleć? Mężczyzna patrzy na mnie wyczekująco, muszę szybko podjąć decyzję. Na szczęście nie jestem pierwszą naiwną. Jestem kobietą rasowego detektywa, który ugania się za zdradzającymi mężami, demaskuje niewierne żony i znajduje dowody na niezgodne DNA.

Dlatego wydobywam telefon i proszę pana o namiary.
Telefoniczne.

– A po co?

– Będę się kontaktować – tłumaczę ze słodkim uśmiechem.

– W jakiej sprawie?

– No, jak to w jakiej? W sprawie ekspertyzy. Przedstawi pan badania DNA potwierdzające, że Młynek jest tatusiem pańskich szczeniąt i wtedy porozmawiamy o alimentach.

Mężczyzna patrzy na mnie osłupiały.

– Jakie dna znowu? Ja o żadnych dnach nic nie wiem!

– Aha, a o alimentach pan wie?

– To akurat wiem – przyznaje pan z ociąganiem i drapie się po mocno obitym czole. – W telewizji słyszałem.

– Ale o sterylizacji pan nie słyszał? – mówię kpiąco.

Mężczyzna z ponurą miną znika za płotem i odchodzi w stronę domu. Nieduża psinka przypada do jego nóg z radosnym piskiem. Pocieszające jest to, że najwyraźniej traktuje ją dobrze, bo widać, że go uwielbia. Mimo to nie mogę się powstrzymać przed wypowiedzeniem ostatniego słowa. Zawsze przecież musi należeć do mnie.

– Proszę dać znać, jak przyjdą wyniki badań! – wołam wesoło, ale właściciel suczki nie odwraca się w moim kierunku. Cmokam na Młynka i wskazuję drogę. – Uratowałam ci skórę, mój drogi. To mogło zakończyć się małżeństwem

z konieczności, o kwestiach finansowych już nawet nie mówię. Ale nie ciesz tak mordki, kochany. Przygotuj się. Kastracja, mówi ci coś to słowo?

W drodze do dworku tłumaczę Młynkowi, że zaszły pewne zmiany. Że przyjechał taki jeden mężczyzna, który bardzo wiele dla mnie znaczy i że w naszym wspólnym interesie – psa i moim – leży, aby on się do pewnego czworonoga nie zraził. A przynajmniej nie za szybko. W związku z tym Młynek musi chwilowo zwolnić łóżko i przenieść się do Szparki, powinien schodzić mężczyźnie z drogi, nie rzucać się zanadto w oczy i absolutnie nie kręcić *młynków*, które mogłyby skutkować różnymi, niekoniecznie cichymi wypadkami.

Mam wrażenie, że pies przyjmuje moje słowa z ponurym spokojem, więc dopadają mnie wyrzuty sumienia. Pocieszam go szybko, że Szparka ma zawsze pod ręką coś do jedzenia, no i jest szczuplejsza ode mnie, toteż zostawi mu na łóżku więcej miejsca. Nie wydaje się przekonany, ale i tak nie mam czasu go przekonywać do swoich racji, ponieważ moją uwagę przykuwa zupełnie inna sprawa.

Jesteśmy już na terenie parku i przedzieramy się wąską ścieżynką wśród krzaków, aby niepostrzeżenie podejść do budynku, kiedy zauważam na tylnym trawniku znajomą sylwetkę. A nawet dwie. Na jednym z leżaków siedzi rozparty mój osobisty pan detektyw. A nad nim nachyla się świeżo upieczona i najwyraźniej zupełnie już pocieszona wdówka! Czuję, jak trafia mnie szlag, a wzrok zasnuwa mgła – dopiero po

chwili dociera do mnie, że posuwając się w kierunku dworku wlałam w jakąś pajęczynę i doszczętnie się nią oblepiłam. Walcząc z uczuciem obrzydzenia, odklejam z twarzy szare szczątki i nurkuję w zarośla, by mieć lepszy widok na scenę rozgrywającą się na trawniku.

Diana Malina ma na sobie ołówkową spódnicę do kolan z długim rozcięciem, z którego widać opalone udo. Z pistacjowego topu wychylają się krągłe piłeczki i to bynajmniej nie do tenisa. Już raczej do koszykówki! Wizerunku dopełniają niebotyczne platformy w kolorze bluzki i szopa nastroszonych włosów. Jedną dłoń zmysłowo opiera na biodrze, drugą położyła na ramieniu Marka. Trzymajcie mnie, bo czuję, jak dostaję białej gorączki! Zaraz wyzionę ducha w tych chaszczach, a są one na tyle gęste, że pewnie nigdy nie znajdą mojego ciała. A przynajmniej do chwili, gdy zacznę wydzielać przykry zapaszek i Młynek zdecyduje się z tego skorzystać!

Mam ochotę wybiec na trawnik, podnieść składany leżak i wycelować nim w czubek blond główki. Ale tego nie czynię, ponieważ zżera mnie ciekawość. Czego madame Malina chce od mojego Mareczka?

O mój Boże!

Nie wierzę w to, co widzę!

A jednak muszę uwierzyć, ponieważ wybrałam bardzo dogodny punkt obserwacyjny i widzę wszystko jak na dłoni!

Diana Malina, żona wcale niezałowanego Waldemara Maliny, biznesmena-dyktatora, amatora ryb i świeżego mięska, właśnie wsuwa wypielegnowaną dłoń w głąb swojego stanika, po czym wydobywa na światło dzienne maleńką karteczkę. Przez chwilę trzyma ją w ręce, jakby demonstrując jej wagę, a następnie wsuwa ją w palce Marka, prostuje się i odchodzi. Porusza się jak modelka na wybiegu i wcale nie grzęźnie

obcasami w miękkiej darni. Przywołuję w myślach wszystkie kupy wyprodukowane przez Młynka w ostatnich dniach, ale jak na złość żadna nie materializuje się przed właścicielką pistacjowych szpilek.

Kobieta znika za węglem budynku, a ja przenoszę wściekłe spojrzenie na Marka. Jestem bardzo ciekawa reakcji pana detektywa, a na myśl, że miałabym zobaczyć na jego twarzy wyraz tego głupkowatego rozanielenia, jakie onegdaj mogłam podziwiać na obliczu komisarza, czuję palącą wściekłość. W tej chwili identyfikuję się ze Szparką całym sercem i robię w duchu przegląd *przyjemności*, jakimi mogłybyśmy umilić czas blond gwiazdzie z wielkimi ustami.

Tymczasem mogę zaobserwować, jak zamyślony Marek rozwija karteczkę podaną przez Dianę, czyta ją, a następnie przez chwilę obraca w palcach. Później wydobywa z kieszeni portfel i wsuwa karteczkę do środka. Ponownie rozsiada się na leżaku i sięga po gazetę.

Łapię Młynka za obrożę i pospiesznie wycofuję się w kierunku podjazdu.

Już wiem, jak wygląda moje zadanie na najbliższe godziny.

Dorwać portfel pana detektywa.

Spenetrować jego zawartość i znaleźć karteczkę.

Dowiedzieć się, czego świeżo upieczona wdówka chce od mojego detektywa!

Namówić Młynka do wyprodukowania *niespodzianki* na progu pokoju madame Maliny!

Rozdział 9

Zadanie spenetrowania Markowego portfela nie zalicza się do najłatwiejszych, ponieważ pan detektyw najwyraźniej nie ma zamiaru spuścić go z oka. Chociaż nieopisana ciekawość zżera mnie od środka, muszę odłożyć swoją misję w czasie. Wiem, że przed kolacją pójdzie wziąć prysznic i zostawi dokumenty w pokoju. Do tego czasu muszę wytrzymać, więc decyduję się pójść do kuchni i napić się mocnej kawy. Po drodze próbuję zgarnąć Młynka, który... również podjął penetrację. Wielkiej dziury, jaką właśnie wyprodukował na grządce pani Elizy.

– Oż cholera! – Klnę pod nosem, odciągając amatora

kwiatowych cebulek od wydrążonej jamy i zasypując gołymi rękami jej ziejące czeluści. – Tak nie wolno – tłumaczę z anielską cierpliwością, zgrzytając zębami i obserwując, jak moje wypielęgnowane paznokcie przybierają fason à la żałoba. Akurat uklepuję kopczyk nad jedną z wydobytych na światło dzienne cebulek, kiedy dobiega mnie radosne pogwizdywanie. Marek!

Pospiesznie wpycham psa w gęste krzaki bukszpanu i przybieram niewinną minę. Pan detektyw wychodzi zza rogu budynku i zatrzymuje się o kilka kroków ode mnie. Gwizdanie zamiera, pan detektyw również, w końcu niepewnym krokiem zbliża się do grządki i obrzuca ją zaintrygowanym spojrzeniem.

– Odkryłaś nowe powołanie?

– Nie, szukam cebulek do twojej porannej jajecznicy – rzucam cokolwiek zgryźliwie. Muszę grać nieprzystępną i obrażoną, wtedy na pewno sobie pójdzie. A ja będę mogła wydobyć psa z żywopłotu i ukryć go w lepszym miejscu. – Przecież widzisz, że właśnie... pomagam pani Elizie w pielęgnacji ogrodu. Posadziłam kwiaty, zaraz je podleję, mam tu gdzieś kopaczkę też... – taaa, taką z pazurami, przemyka mi przez myśl i z trudem tłumię parsknięcie śmiechem.

– Znowu coś kombinujesz, hrabianko?

– Ja? Skąd ten pomysł?

– Przecież sama mówiłaś, że jesteś z miasta i nie potrafisz odróżnić borówki od maliny. A tu nagle na kwiatkach się znasz?

– Nie borówki od maliny tylko borówki od borówki. A to różnica. Na kwiatkach znam się fenomenalnie!

– Tak? – Na obliczu Marka pojawia się wyraz satysfakcji. – To jak się ten nazywa? – Wskazuje na ładną roślinkę z różowym kwieciem.

– Lwia paszcza – odpowiadam pewnym tonem.

Marek przygląda mi się z zagadkowym uśmiechem, potem kręci głową i odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem i dopiero kiedy znika w drzwiach budynku, oddycham z ulgą i wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze. Następnie wsuwam dłoń między gałęzie żywopłotu i macam w poszukiwaniu miękkiego futra. Ale futra naturalnie już tam nie ma!

Zgodnie z przewidywaniami znajduję je pochylone nad miską w kuchni i pałaszujące coś mięsnego oraz apetycznie pachnącego.

– O, mamy gulasz na kolację? – Uśmiecham się do siedzących przy stole kobiet. Nie miałam pojęcia, że jestem aż tak głodna. Najwyraźniej wycieczka do wsi porządnie zaostrzyła mój apetyt. Szparka kręci głową.

– Tylko Młynek. Ona niech weźmie kanapki z pasztetem. Domowym – dodaje szybko, widząc moją rozczarowaną minę.

– Ten to się potrafi urządzać – mruczę pod nosem, sięgając do szafki po swój ulubiony kubek w groszki i wsypując do niego dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej. Przypominam sobie nieoczekiwane spotkanie pod kapliczką i tajemniczą kobietę z koszykiem. – Byłam we wsi po Młynka, ma narzeczoną w domu za plebanią. – Szparka kiwa głową, przełykając chleb z pasztetem i popijając herbatą. Następnie mówi, że o amorach Młynka cała wieś już huczy, a komisarz musiał nawet postraszyć właściciela suczki mandatem, bo ten odgrażał się, że reproduktora pogoni widłami. Jej słowa kwituję skinieniem głowy, po czym przechodzę do nurtującego mnie tematu. – Pod kapliczką spotkałam dziwną kobietę. Poczęstowała mnie kompotem. Śliwkowym.

– Koszyk miała?

– Ja czy ona?

- Ona.
- Ale która ona? – Wolę się upewnić.
- Tamta.
- Miała – przyznaję.

Szparka i Nadzieja wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, po czym jak na komendę kiwają głowami i jednym głosem obwieszczają:

- Młynarczykowa.
- Aha... – mówię powoli. – A to jakaś wyjątkowa postać?

Bo tak mi dziwnie zapachniało obcymi mocami.

Nadzieja wrusza ramionami i rozsmarowuje na grubej pajdzie chleba kolejną porcję pasztetu.

– Nalewką z czarnego bzu najwyży Kalince mogło zapachnieć – sarka, wgrzyzając się w solidną kromkę.

– Ja tam nie wiem. – Szparka przesuwa się wraz z krzesłem pod ścianę, robiąc mi miejsce przy stole, więc przyciągam taboret i siadam obok. Kubek z kawą stawiam przed sobą i odrywam kawałek po kawałeczku przypieczoną skórkę od chleba. Mocno przypieczoną i chrupiącą. – Może i nalewkę ona poczuła, ale z Młynarczykową przelewek nie ma. Jak coś powie, to aż człowiekowi ciarki po plecach chodzą.

– A tobie co powiedziała? – Spoglądam na nią zaintrygowana, ale Szparka ucieka wzrokiem za okno i tylko delikatny uśmiech błąka się po jej ustach.

– Niech się nie interesuje – śmieje się.

– Hej, ja nie z ciekawości, tylko z sympatii. – Trącam ją łokciem.

– Głupoty! – Zirytowana Nadzieja wytrząsa okruszki chleba z obfitego biustu i sięga po wielki, metalowy kubek z herbatą.

– Dobrze już, dobrze. Jak tak chcecie wiedzieć, to

powiedziała mi, cobym się nie martwiła, bo przed zimą pójdę za
mąż.

– Och, wspaniale!

– A powiedziała, przed którą? – pyta z przekąsem Nadzieja.

– Nie powiedziała. – Mina Szparki natychmiast rzędnie,
więc pospiesznie ją pocieszam, że nieważne, która zima, ważne
że w ogóle. I żeby z tym właściwym, oczywiście. Na to
zarumieniona Szparka potwierdza, że pytała o jednego
konkretnego, więc tu akurat jest spokojna. Przez chwilę
siedzimy w milczeniu, rozpromieniona Szparka maluje
długopisem serduszka na kawałku gazety, Nadzieja popija
herbatę wielkimi i głośnymi łykami, a ja żuję skórę od chleba.
Nagle przypominam sobie, co mnie nurtuje od chwili spotkania
pod kapliczką.

– Czy ona знаła Malinę?

– Znała, nie znała – odpowiada Nadzieja, ale Szparka
podnosi głowę znad gazety i gryzie końcówkę długopisu.

– Mówią, że ziemię miał od niej kupić.

Zatapiam się we własnych myślach. Kobieta pod kapliczką
powiedziała, że Malina nie był dobrym człowiekiem. Ciekawe,
co miała na myśli? Wszyscy wiemy, że sympatyczny i miły to
on nie był, ale jakie powiązania mogła mieć z bogatym
biznesmenem amatorka naturalnych nalewek, ogrodowych
kwiatków i końskich dyskusji? Może ją oszukał? Rozmyślił się
i tylko narobił apetytu na dobry interes? Nie zapłacił i umarł?

Zza okna dobiega mnie wesołe pogwizdywanie Marka.
Pospiesznie wykładam przed Szparką prośbę o czasowe
przygarnięcie Młynka i utrzymanie jego istnienia w największej
tajemnicy. Dziewczyna wygląda na nieco rozbawioną, ale
zgadza się ochoczo. Poczciwa z niej dusza, mam nadzieję, że ta
konkretna zima przynosząca ślub z konkretnym kandydatem nie

każe na siebie zbyt długo czekać.

Zostawiam kończące kolację towarzystwo w kuchni i wychodzę przed dworek. Z daleka dostrzegam Marka i już chcę do niego pospieszyć, przytulić się i przeprosić za chłodne zachowanie, ale ostatecznie chowam się w cieniu i tylko obserwuję. A mój ukochany detektyw właśnie zbliża się w towarzystwie pani Elizy do rabaty, na której przed momentem maskowałam morderstwo dokonane przez Młynka na biednych kwiatuszkach!

A to podły zdrajca!

I skarżypyta na dodatek!

– Bardzo ładne kwiaty – rozwodzi się tymczasem pan detektyw z niewinną miną, wskazując nieco omdlałe roślinki. – Jak się nazywają?

Pani Eliza nachyla się nad grządką, odsuwając rondo nieodłącznego kapelusza. Z miejsca, w którym stoję, nie jestem w stanie dostrzec jej miny, ale mogę założyć się o ostatnią kroplę kawy w moim ulubionym kubku, że jest cokolwiek zdumiona kondycją swoich rabat.

– Wyżlin większy.

– Wyżlin większy? – Cieszy się, nie wiedzieć czemu Marek.

– Tak. To oczywiście nazwa, że tak to ujmę, fachowa. Jednak w naszych stronach ten kwiatuszek znany jest pod określeniem lwia paszcza. Ładnie, prawda? Takie paszczki tu ma, zobacz. – Nieomal skręcam się ze śmiechu, obserwując, jak na polecenie pani Elizy Marek nachyla się nad grządką i podziwia paszczki. Tymczasem ogrodniczka znalazła się w swoim żywiole i ująwszy detektywa pod ramię, podejmuje wywód. – A to tutaj... – wskazuje na zwiędnięte roślinki i na pół odkopane cebulki. – ... a to był paciorecznik. Czyżbyś

interesował się kwiatami, Marczyku? To dość niespotykane hobby u mężczyzn. I powszechnie uznawane za niemęskie... Ale ja nic nikomu nie powiem, obiecuję. – Kładzie palec obciążony lateksową rękawiczką na wargach i z pewnością puszcza do świeżo mianowanego amatora roślin ogrodowych oko. – Wobec tego pozwól, pokażę ci piękną odmianę mieczyków. A może chcesz obejrzeć moje pnącza?

Odprowadzam ginące w mroku parku sylwetki i kręcę głową z niedowierzaniem. I na co ci to było, panie detektywie? Trzeba było mnie nie sprawdzać, tylko wziąć się za poszukiwanie dowodów mojej niewinności! Masz za swoje, a ja zyskuję trochę czasu. Minie dobre półtorej godziny, nim pani Eliza oprowadzi cię po wszystkich rabatkach i krzaczkach, a tymczasem ja sprawdzę, gdzie też podziewa się twój portfel. I karteczka od madame Maliny, naturalnie!

Już z progu pokoju widzę, że moje przypuszczenia okazały się trafne i czarny skórzany portfel spoczywa na nocnym stoliku. Obrzucam ostatnim spojrzeniem pusty korytarz, po czym szybko nurkuję do środka i zamykam drzwi na klucz. Co prawda pokój jest wspólny i nikomu nic do tego, że penetruję znalezione w nim portfele, ale coś mi mówi, że jednej konkretnej osobie nie przypadłoby to do gustu. A być może nawet dwóm? Na myśl o żonie zmarłego biznesmena i jej ponętnych kształtach czuję, że skacze mi ciśnienie. W porę przypominam sobie, że ma karpie usta, co trochę studzi moje mordercze instynkty. Takie usta zasługują na największe współczucie, sami przyznacie.

Bez dalszej zwłoki zabieram się za przetrząsanie przegródek Markowego portfela i poszukiwanie niewielkiej karteczki. Szybko okazuje się, że nie jest to tak łatwe zadanie, jak mogło wydawać się w pierwszej chwili. Pan detektyw ma bowiem dziwny zwyczaj kolekcjonowania małych karteczek, karteluszków, kwitków, paragonów i nie wiadomo czego jeszcze. Teoretycznie karteczka od Diany powinna być na wierzchu, ale nie wiedzieć czemu, nie jest. W końcu dostrzegam żółty skrawek papieru wystający z kieszonki na drobne pieniądze. To ta kartka! Drżącymi pod wpływem emocji palcami wydobywam ją na światło dzienne, zadając sobie w duchu pytanie, co powinnam zrobić, jeśli znajdę na niej propozycję niezobowiązującego seksu lub co gorsza wyznanie miłosne. Maltretować, czy tylko zabić?

Na moje szczęście okazuje się, że chwilowo zostałam zwolniona z obowiązku dokonania tak niechlubnego wyboru, ponieważ na karteczce nie zawarto żadnych namiętnych obietnic. Napisano na niej za to trzy imiona: Karolina, Marcin i Kalina. Co to oznacza?

Przez chwilę główkuję, uderzając karteluszkami o brzeg portfela. Nagle dociera do mnie, co Diana Malina chciała przekazać Markowi: ona wypisała na kartce imiona osób, które podejrzewa o zamordowanie swojego męża. Szczuje na mnie mojego własnego osobistego detektywa, szuja jedna i chce, by ten zamiast udowodniać moją niewinność, znalazł dowody na to, że rzeczywiście zamordowałam Waldemara! A ten detektyw z bożej łaski, zamiast wepchnąć jej żółtą karteczkę w rybie usta, robi zamyśloną minę i chowa te bazgroły do portfela! I jeszcze próbuje przyłapać mnie na nieznajomości kwiatów polskich!

A może...

Nie, to niemożliwe.

Z pewnością nie potrzebował wiedzy na temat odkopywanych przeze mnie cebulek kwiatowych, aby zweryfikować, czy za ich pomocą mogłam wyprawić świętej pamięci Waldemara na drugi świat.

Dla pewności przetrząsam pozostałe przegródki portfela i kiedy dochodzę do wniosku, że to koniec intrygujących znalezisk, zauważam, że pod moim własnym zdjęciem znajduje się inna fotografia. Początkowo mam problem, aby wyłuskać ją z ciasnawej przegródki, ale w końcu mi się udaje i teraz trzymam w dłoni miniaturkę psa o lśniącem, brązowym futrze.

O kurczę!

Czy raczej: psia kość!

Marek nigdy nie wspominał o żadnym zwierzaku, więc z góry założyłam, że nie miał psa. A tymczasem okazuje się, że miał i to naprawdę pięknego! Psiak ze zdjęcia troszeczkę przypomina Młynka, ale ma krótsze futro i jest pulchniejszy. Najwyraźniej zwierzę musiało być dla Marka bardzo ważne, skoro ukrył jego podobiznę pod moim zdjęciem. Na pewno za nim tęskni, ale wstydzi się do tego przyznać i dlatego nie pokazał mi fotografii. Teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że przygarnięcie Młynka jest znakomitym posunięciem, a pan detektyw na pewno będzie zadowolony z nowego towarzysza!

Jednak póki co... o niczym się nie dowie.

Spiskuje za moimi plecami, zbiera żółte karteczki i uśmiechy żon pogrążonych w żałobie.

Po prostu nie zasłużył na tak wspianiałą niespodziankę.

Rozdział 10

Kiedy budzę się następnego ranka, słońce jest na niebie dość wysoko, a przez uchylone okno do pokoju wpada dźwięk ptasich śpiewów. Jestem w łóżku sama i nie słyszę szumu wody dobiegającego z łazienki, więc najwyraźniej Marek już gdzieś pognał. Przez chwilę przeciągam się błogo. Ze zdziwieniem stwierdzam też, że bardzo brakuje mi psiego ciężaru na stopie! Proszę, jak to się człowiek szybko przyzwyczaja do kudłatego towarzystwa! Mam wspaniały humor, ale gdzieś od środka coś mnie uwiera, drażni jak łaskoczący włos pod bluzką lub poczucie winy za dzień wagarowicza w czwartej klasie.

Karteczka od Diany. To ona mnie drażni. I Diana też mnie drażni. Jak śmie szcuć na mnie mojego własnego, osobistego detektywa?

Na myśl o tym, że być może namiętna wdówka i Marek właśnie gdzieś tam dyskutują, by obrać taktykę udowodnienia, że zamordowałam Waldemara, dostaję białej gorączki i prędko wyskakuję z pościeli. Trzyminutowy prysznic załatwia sprawę higieny, następnie niezdecydowana staję przed łóżkiem, na którym rozłożyłam ciuchy pożyczone od Szparki. Spędzam nad nimi piętnaście minut, nerwowo drepcząc w miejscu i przy okazji zmieniam skórkę przy paznokciu kciuka w bliżej nieokreśloną formę. W końcu wciągam na siebie czerwone szorty w duże białe groszki i cienką bluzeczkę. Jeśli nawet bluzka ma nieco większy dekolt niż na ogół, to ani wazcie się łączyć tego z zawartością biustonosza madame Maliny!

Kiedy wchodzę do jadalni, przekonuję się, że przy stole panuje nieprzyjemna cisza. Goście pochłaniają śniadanie w milczeniu lub wymieniając zdawkowe uwagi. U końca stołu dostrzegam Marka, który z zapamiętaniem atakuje kawałek parówki. Przez moją myśl przemyka, że być może są to doskonałej jakości parówki zakupione dla Młynka i uśmiecham się pod nosem. Siadam naprzeciwko Marka i posyłam mu ciepły uśmiech. Muszę być miła i dowiedzieć się, czego chce Diana Malina. Detektyw mruży oczy podejrzliwie, ale nic nie mówi, za to nalewa mi filiżankę kawy. Obserwuję to trochę smętnym wzrokiem, w takiej filiżance niewiele się mieści. Lepiej przyniosę sobie z kuchni ten kubek w groszki. Nawet do ubrania mi dzisiaj pasuje.

Gdy wracam z ulubionym naczyniem i przelewam kawę z filiżanki, Nina Krauze odchrząkuje, rozglądając się po zgromadzonych i oświadcza, że razem z mężem dość już mają

tę całego śledztwa, nie są winni śmierci kochanego Waldemara, więc zaraz po śniadaniu zamierzają wyjechać. Właśnie zastanawiam się, jak przyjmie to nasz komisarz, gdy zza stołu unosi się wdowa.

– Nie – oświadcza stanowczo. – Nikt nie ruszy się stąd ani na krok, póki nie dowiem się, kto zamordował mojego męża.

– To proste! – Marcin Malina podnosi spojrzenie z nad miski rozciapanych płatków kukurydzianych i uśmiecha się do macochy. – Mogę ci powiedzieć, kto to zrobił! To ty kochana mamusiu! – Ostatnie słowo podkreśla miarowym uderzeniem łyżki. Mleko pryska na stół, koszyk z bułkami i świeżą koszulę Maliny juniora.

– Też pomysł! Nie miałam ani skrawka motywu, by zabić twojego ojca. Jak dobrze wiesz – krzywi się boleśnie, jakby musiała połknąć soczysty plaster cytryny – przed ślubem podpisałam intercyzę i obecnie zostałam z niczym. Ale orientuję się, kto zyskał najwięcej na śmierci Waldemara i nie dopuszczę, aby uszło mu to na sucho. Podjęłam pewne kroki – dodaje, spoglądając znacząco na Marka.

– A jakie kroki, przepraszam? – wyrywa mi się.

– Śledcze. Obecny tutaj pan Mareczek dowie się, co zaszło w pokoju do masażu i kto nastawał na życie mojego kochanego Waldiego! Pani także jest na mojej liście, niech sobie pani nie myśli! – mówi mściwie.

– Akurat ja miałam motyw znikomy, żeby nie powiedzieć żaden! Dla ścisłości!

– O, to się dopiero okaże, prawda, panie Marku? Bądź co bądź pokłóciła się pani z moim mężem w jadalni tuż po tym całym incydencie z gołąbkami. A nawet przed, dla ścisłości!

Na myśl, że Diana o mało co właśnie nie zdradziła przed Markiem przebiegu sobotniego obiadu i obecności Młynka,

czuję, jak robi mi się słabo. Muszę być blada i wyglądać rzeczywiście niewyjściowo, bo dotąd milczący Marek nachyla się ku mnie z troską i dotyka mojej dłoni.

– Słabo ci? Może wyjdiesz do ogrodu?

Ze złością strząsam jego rękę.

– Słabo mi na myśl, co tu się wyprawia i jeszcze insynuuje!

Naprawdę cię zatrudniła? Zgodziłeś się na to?

Marek wzrusza ramionami.

– Zlecenie jak każde inne!

Tym razem czuję, że ze złości pokrywam się krwistym rumieńcem. Marek ponownie wskazuje ruchem głowy widok za oknem.

– Naprawdę kiepsko wyglądasz, hrabianko. Może jednak się przewietrzyć?

– Oczywiście! – Ze złością odsuwam kubek z kawą i wstaję od stołu. – A ty będziesz mi towarzyszył, dobrze? Bo czuję, że z tej słabości zaraz zemdleję albo wykituję i dojdzie ci jeszcze jedna zagadkowa śmierć do wyjaśnienia. Ciekawe, kogo będziesz podejrzewał, kiedy mnie zabraknie? – pytam żalnym tonem.

Marek z niewyraźną miną unosi się zza stołu, najwyraźniej przeczuwa, że na świeżym powietrzu, którego tak się dla mnie dopominał, czeka go solidna przeprawa. Niemal widzę, jak obracają się trybiki w jego głowie, a on sam kombinuje, którą strategię tłumaczenia obrać. A może jedynie chcę to sobie wyobrazić, gdy tymczasem mój ukochany detektyw z niczego tłumaczyć się nie zamierza? Cóż, zaraz mu udowodnię, że nie ma wyjścia.

Wychodząc z jadalni, słyszę, jak Diana Malina wyjaśnia zaaferowanemu towarzystwu, że detektyw wszystkim się zajmie, a oni mają bezstresowo korzystać z oferty spa.

– W końcu po to tutaj przyjechaliśmy – szemrze słodkim, estradowym głosikiem.

– Jak ty w ogóle możesz? – zarzucam Markowi, gdy tylko wychodzimy z dworku na otwartą przestrzeń. Nie oglądając się na detektywa, przemierzam parking i zmierzam w kierunku swojej ulubionej ścieżki. Może widok na rzekę podziała na mnie uspokajająco, ochłonę i nie zamorduję człowieka, z którym od pewnego czasu dzielę łóżko, łazienkę i półkę z butami!

Wychodzimy na łąkę, ale tym razem nie siadamy na trawie. Bez słowa przyglądamy się sobie, w końcu Marek wzdycha głęboko i mówi:

– Już ci mówiłem, że to zlecenie jak każde inne! Skoro zdecydowałaś się wpakować w kolejną kabałę i musiałem tutaj za tobą przyjechać, to przynajmniej popracuję. Ty nie musisz się niczym przejmować, odpoczywaj, ucinaj sobie pogawędki z Nadzieją i Szparką, spaceruj i korzystaj ze świeżego powietrza, bo faktycznie bladziutka się zrobiłaś!

– Jak mogę się nie przejmować, kiedy ona podała ci moje imię?

– Co mi podała? – Marek przekrzywia głowę i spogląda na mnie podejrzliwie. Ratuje się sytuacją z jadalni.

– Przecież sam słyszałeś podczas śniadania, jak zasugerowała, że mam z tym całym morderstwem coś wspólnego. Jakby to była moja wina, że ktoś poczęstował Waldemara Malinę jagodami! Ona tak mnie szykanuje, a ty dla niej chcesz pracować?

– Hmm, ale moim zadaniem nie jest udowodnić, że ty to zrobiłaś, kochanie. Przecież ja doskonale wiem, że jesteś niewinna. Sama słyszałaś, mam dowiedzieć się, co zaszło w pokoju do masażu.

– Ale dlaczego się zgodziłaś?

– Cóż, powiedzmy, że moja zleceniodawczyni przedstawiła bardzo przekonujące argumenty.

– Wiesz, co? Już ja widziałam te jej argumenty! Są dwa i mało co nie wyskakują jej z bluzki!

– Kalina! – Marek spogląda na mnie zaskoczony. – Ty jesteś zazdrosna?

– Chyba śnisz! – pryham z wściekłości, ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru przyznać, że rzeczywiście jestem troszeczkę zazdrosna. No, dobra, troszeczkę więcej niż troszeczkę. Ale poza tym kieruje mną słuszny gniew, ponieważ ja wiem, że to ONA zamordowała Waldemara, a teraz udaje lady Dianę z aureolą nad głową, szuka mordercy i jeszcze napuszcza na mnie własnego detektywa. I udowodnię, że to ona. Jeszcze nie wiem kiedy, jeszcze nie wiem jak... ale zrobię to! A wtedy pan detektyw będzie mnie musiał bardzo długo przeproszać. I drapać po plecach oczywiście!

– Jesteś, jesteś... – Mareczek śmieje się, nie wiedząc czemu, bardzo z siebie zadowolony. – A przecież już ci kiedyś tłumaczyłem, że wolę zołzy niż lalunie.

– To teraz posłuchaj największej zołzy, jaką udało ci się w życiu spotkać. Wiem, że to ona zamordowała Waldemara i zamierzam to udowodnić.

– Nie wygłupiaj się, Kalina.

– Wcale się nie wygłupiam. Od początku powtarzałam, że muszę doprowadzić tę sprawę do końca i znaleźć mordercę. I znalazłam. Ty masz zamiar udowodnić, że zrobił to ktoś

z naszej trójki. – Jego zacięta mina mówi mi, że już wie, że grzebałam w jego portfelu, ale w tym momencie guzik mnie to obchodzi. – A ja zamierzam udowodnić, że to ona podała swojemu kochanemu Waldiemu słodkie jagódki. – Spoglądam na niego wyzywająco. – Cóż, wygląda na to, że stoimy po dwóch różnych stronach barykady, panie detektywie.

Do dworku wracamy osobno. Marek stwierdził, że musi się przejść i pomyśleć, a ponieważ nie zaproponował, abym mu towarzyszyła i samotnie oddalił się w kierunku rzeki, nie pozostało mi nic innego, jak zawrócić w stronę parku. Przynajmniej mam go z głowy na kilkanaście minut i w tym czasie mogę sprawdzić, co u mojego kudłatego kolegi. Młynek na pewno się za mną stęsknił, choć nie wątpię, że ze Szparką jest mu znakomicie, a i z pewnością niejedną kanapkę od rana wycygał z kieszeni fartucha.

Okazuje się, że Młynka wcale nie trzeba jakoś specjalnie szukać, ponieważ leży rozciągnięty w korytarzu i w najlepsze obgryza gigantyczną kość. Z kości unosi się mało sympatyczny zapaszek i oczami wyobraźni widzę, jak na spotkanie z Młynkiem i jego przekąską zareagowałiby nasi goście. Oni są jacyś tacy *ąę*, więc na pewno nie zrozumieliby fascynacji psa nieświeżymi aromatami i narobiliby rabanu. Pospiesznie szukam reklamówki jednorazowej i z lekkim niepokojem nachylam się nad czworonożnym przyjacielem. Na szczęście bez sprzeciwu pozwala odebrać sobie kość, ale odprowadza mnie tak smętnym wzrokiem, że natychmiast obiecuję mu kilo parówek. Tych

najlepszych.

Pozbywam się Młynkowej przekąski i wracam do korytarza, by wykorzystać ostatnie chwile samotności i potarrosić kosmate futerko. Pies dowody sympatii przyjmuje z tak wielkim entuzjazmem, że co rusz kręci kolejnego młynka! Tak mi się to podoba, że nie zauważam, że kręcąc się i piszcząc, zawędrowaliśmy do wylotu korytarza, gdzie właśnie... pojawił się Marek! Na szczęście pan detektyw stoi do nas tyłem i najwyraźniej coś notuje w swoim notesiku, bo nic do niego nie dociera. W panice rozglądam się na boki, a Młynek szykuje się do kolejnego obrotu. W ostatniej chwili zauważam jakieś drzwi i z nikłą nadzieją naciskam klamkę: otwierają się! Bezceremonialnie wpycham zaskoczzonego psa do środka i łowią przerażająco brzmiące dźwięki, jakie są następstwem ostatniego młynka.

Ten hałas najwyraźniej wzbudził w końcu zainteresowanie pana detektywa, gdyż właśnie obraca się ku mnie i podchodzi. W dłoni trzyma telefon komórkowy, od którego odchodzi cieniutki kabelek wsuniętych w uszy słuchawek. Pięknie, więc ja tu zamartwiam się Młynkowym rumorem, a Mareczek w najlepsze sobie muzyki słucha? Okazuje się jednak, że już nie słucha, wyjmuje słuchawki i spogląda zdziwiony na moją zmachaną postać, niedbale opartą o drzwi.

– Co się dzieje? – pyta podejrzliwie.

– Nic, a co niby miałyby się dzieć?

– Co robisz? Szukasz mordercy Waldemara Maliny w szafie? – śmieje się.

– Nie – odpowiadam mu twardym spojrzeniem. – Pomagam pani Elizie w porządkach.

W tej samej chwili za drzwiami coś hałaśliwie upada na podłogę. Marek sięga do klamki, ale pospiesznie zasłaniam ją

sobą.

– Co to za hałas?

– Och, jesteś przecież detektywem, podedukuj trochę. Może coś spadło?

Marek rzuca mi kąśliwe spojrzenie, wsuwa słuchawki i odchodzi. Pod nosem mruży coś o babskich fochach, humorkach, fanaberiach i trudnych dniach. Kwituję to wzruszeniem ramion i czekam, aż zniknie z pola widzenia. A kiedy w końcu znika, trzeba ocenić szkody, jakie poczyniły Młynkowe młynki.

Otwieram drzwi i szybko opieram się o ich framugę, aby nie upaść z wrażenia.

Pomieszczenie, do którego wepchnęłam Młynka, okazuje się czymś pomiędzy szafą wnękową a podręcznym składzikiem. Jest większe niż przypuszczałam, do środka można swobodnie wejść i penetrować zawartość wysokich regałów. O ile rzeczona zawartość znajduje się na półkach, a nie leży rozrzucona po całej podłodze, wokół zadowolonego z siebie psa. Najwyraźniej regały nie są zbyt stabilne i mocne, w przeciwieństwie do obrotów Młynka, któremu udało się wprawić je w ruch i postrzącać wszystko na ziemię. Cud że one same nie przygniotły niecnoty! Kręcę głową z niedowierzaniem, po czym zabieram się do sprzątnięcia. A to sobie wykrakałam! Pan detektyw pokładałby się ze śmiechu!

Pospiesznie ustawiam strącone artykuły na półkach. Nie poświęcam im specjalnej uwagi, sprawdzam jedynie, czy nic się nie potłukło. Na szczęście odnotowuję brak ofiar w psach, ludziach, krasnoludkach i wyposażeniu starego dworku. Zadowolona z siebie wystawiam głowę na korytarz i sprawdzam, czy jest bezpiecznie, a kiedy okazuje się, że w zasięgu wzroku i słuchu nie znajduje się żaden detektyw,

szybko łapię Młynka za obrozę i ewakuujemy się ze składzika. Pies zostaje odtransportowany do kuchni, a ja ruszam na rekonesans. Pora sprawdzić, czym zajmują się przebywający w dworku goście!

– Też sobie wymyśliła! – W progu wita mnie oburzony okrzyk Szparki.

Właśnie weszłam do biblioteki, by znaleźć sobie jakąś lekturę. Książka to bardzo przydatny rekwizyt dla takiej detektyw amatorki, jak ja. Z książką można rozsiąść się w jadalni, na leżaku za dworkiem, a nawet pod drzewem w parku i udawać pochłoniętą lekturą, a równocześnie pilnie nadstawiać ucha i łowić wszelkie potrzebne informacje. To znacznie przyjemniejsze niż pokonywanie na czworaka okolicznych zarośli i zawieranie krótkotrwałych znajomości z owadami. Jest tylko jeden warunek: książka nie może być zbyt ciekawa, bo jak się zatracę w lekturze, to wiadomo.

Teraz wpatruję się niepewnie w Szparkę, która mocuje się z długimi, śnieżnobiałymi firankami. Czekam, aż skończy wieszać, wyrówna i zeskoczy ze stolika, a następnie z dalszej odległości oceni swoje działania. Dopiero wtedy decyduję się doinformować.

– Ale że ja?

– Nie! Ona!

– A która ona tym razem?

– Stara Malina.

Tak bardzo śmieszy mnie użyte przez Szparkę określenie,

że parskam śmiechem. Choć z drugiej strony, kto ją tam wie, tę Dianę, ile ma lat, skoro najwyraźniej od osiemnastych urodzin nałogowo nakłuwa botoksem i kwasem hialuronowym różne części ciała, łącznie z małżowiną uszną. Szkoda, że nikt nie wpadł na pomysł, by nakłuć jej mózg. Może zwiększyłby swoją objętość?

– A co tym razem wymyśliła nasza gwiazdeczka?

– Nic nie słyszała? – dziwi się Szparka. – Zapowiedziała pani Elizie, że goście mają korzystać z wszystkich wygod dworku, jak było ustalone. Relaksować się. Jakby to był normalny pobyt. – Dziewczyna wzdycha.

– I do kiedy tak planują?

– Podobno do jutra wieczora. Bo potem jest pogrzeb tego biznesmena.

Powoli przetrawiam te rewelacje. To oznacza, że mam mniej czasu, niż przypuszczałam, muszę się porządnie zakrzętnąć, aby znaleźć dowody winy madame Maliny, zanim ta zapakuje się w walizeczkę z różowego welurku i odjedzie opłakiwać męża nad marmurowym nagrobkiem. Pocieszające jest to, że równie mało czasu ma Marek.

A może wcale niepocieszające? Wszak, kiedy z pola jego widzenia znikną inne osoby zapisane na liście Diany, pozostaną mu tylko ja.

Póki co otrząsam się z zamyślenia i pytam Szparkę, jakie zabiegi zaplanowano dla gości. Może się na coś przydam? Moja towarzyszka zaczyna wyliczać na palcach:

– Pani Diana kąpie się w mleku. Pani Nina, jej mąż i pani Jagoda zapisali się na masaż. Pani Karolina zażyczyła sobie maseczkę z glinki, pan Marcin...

– Maseczkę z glinki? – przerywam jej, bo w mojej głowie kielkuje plan. – Jak to się robi?

– Bardzo łatwo. – Szparka zanosi się perlistym śmiechem. – Rozrabiamy specjalną maseczkę i nakładamy na twarz, szyję, dekolt. Potem zmywa się to wszystko ciepłą wodą. I już. Skórka miękka jak na pomidorze!

– To może ja obsłużę panią Karolinę? – pytam szybko. – Będzie ci lżej.

– No, skoro tak koniecznie chce, to nie ma sprawy. – Szparka spogląda na mnie nieco podejrzliwie. – A nie woli z Markiem czasu spędzić? Może na jakiś spacer do lasu pójść? Tylko niech ogniska nie palą, bo teraz sezon na pożary.

– Marek nie ma dla mnie czasu, bo pracuje dla starej Maliny! – mówię z goryczą.

– Znaczą się mordercy szuka?

– Znaczą się ma udowodnić, że zrobiła to jedna z trzech osób, które ona wyznaczyła.

– Jak na mój rozum, to Mareczek nic nie udowodni. Skoro nawet komisarzowi się nie udało – mówi Szparka, która najwyraźniej ma bardzo wysokie mniemanie na temat zdolności detektywistycznych Karola Broszko.

– Jak na mój rozum, muszę się tym zająć sama – mamroczę do siebie, a Szparka dyplomatycznie milczy, ponieważ prawdopodobnie sądzi, że właśnie bronię zdolności detektywistycznych Mareczka. – A więc, ustalone? Wykonam maseczkę błotną dla pani Karoliny, a w tym czasie ty pomasujesz tamtych. Potem spotkamy się w kuchni, wypijemy kawę i ustalimy dalszy plan działania.

– I jeszcze zjemy kawałek sernika z kruszonką.

– Spotkamy się w kuchni, wypijemy kawę, zjemy po dwa kawałki sernika z kruszonką i ustalimy dalszy plan działania.

Szparka kręci głową.

– Po dwa nie wyjdzie... blaszka mała, dla gości nie starczy.

– I bardzo dobrze. Jeśli to ma być pobyt jak każdy inny, to musimy zadbać o dietetyczny jadłospis. A sernik nie jest dietetyczny.

– To co im damy? – Widzę, że oczy Szparki błyszczą z emocji.

– Kompocik. Bez cukru.

Pokrzepiamy się wodą z kostkami lodu i listkiem mięty rosnącej na parapecie kuchennego okna, bo upał panuje niemiłosierny. A potem niespiesznie udajemy się po akcesoria niezbędne do wykonania zabiegów pielęgnacyjnych. Kiedy mijamy drzwi biblioteki, dostrzegam Marka siedzącego za biurkiem, zapisującego coś w notesie. Dobrze wiedzieć, gdzie mój detektyw przebywa i co robi! Tymczasem Szparka prowadzi mnie prosto ku drzwiom schowka, w którym wcześniej zatrzasnąłam Młynka. Bez wahania otwiera je i znika, by po chwili wrócić z naręczem ręczników i metalową puszką. Podaje mi dwa śnieżnobiałe zwoje materiału frotté i puszkę, sama upycha ręczniki pod pachą i mocuje się z zamkniętą na kłódkę niewielką szafeczką. Tłumaczy mi, że to podręczny zapas olejków do masażu. Z preparatów zgromadzonych na miejscu zbrodni policja zakazała korzystać, co nie znaczy, że ona miała taki zamiar.

Dziewczyna zagląda do szafki i obwąchuje kolejne buteleczki, równocześnie objaśniając mi, jak mam przygotować maseczkę dla Karoliny.

– Weźmie od Nadziei dziurawca i zaparzy. Tylko woda ze

studni musi być, a nie z kranu, bo marudzą, że im śmierdzi. Potem przestudzi i weźmie cztery łyżki stołowe tego proszku i wymiesza. Musi być trochę gęste, a trochę rzadkie. I to nakładać na twarz, tylko z dala od oczu i ust. I żeby pozostało wilgotne, to trzeba mokrą gazę przykładać. O, tu jest zwitek gazy. Po dwudziestu minutach spłukać i gotowe. A przed zabiegiem niech twarz zmyje tonikiem czy czymś takim.

– Ona czy ja? – Wolę się upewnić. Być może chodzi o kwestie higieniczne.

– Ona niech jej zmyje. Tamtej jej. Tu ma tonik – uściśla, widząc moją nieszczęśliwą minę, a potem dodaje z uśmiechem. – Powodzenia!

Oddycham głęboko i zaciskam dłonie na puszcze z glinką. Powodzenie zdecydowanie mi się przyda, jeśli w czasie zabiegu mam zamiar podpytać sekretarkę Waldemara Maliny i wyciągnąć z niej, jakie stosunki łączyły ją z szefem oraz czy mogły one stać się motywem morderstwa dokonanego przez zazdrosną żonę!

Śmierć Waldemara Maliny porządnie zatrzęsła posadami dworku W Kamiennym Kręgu, a co najgorsze: wyłączyła z eksploatacji jedno z najważniejszych pomieszczeń. Jak dużą komplikacją staje się to w obliczu planowanych zabiegów pielęgnacyjnych, zauważam, gdy wspinam się po schodach do pokoju Karoliny. Sekretarka biznesmena wita mnie w kolorowym szlafroku i przyjaźnie kiwa głową.

– To pani zrobi mi maseczkę? W porządku. Myślałam, że

pani Kasia, ale może być. Zapraszam.

Wchodzę do przyjemnie chłodnego pomieszczenia i ciekawie rozglądam się na boki. Wszystkie pokoje w dworku są podobnie urządzone. Ten, w którym mieszka Karolina, został wyposażony w wąskie łóżko i zabytkowy sekretarzyk. Na sekretarzyku stoi otwarty laptop, ale zanim zdążę rzucić okiem na pulpit w poszukiwaniu folderów oznaczonych hasłami w stylu *Ja i Waldi Majorka 2014* lub *Sekretne noce z szefem*, Karolina podchodzi i zamyka komputer. Następnie zdejmuje szlafrok, okulary kładzie na nocnym stoliku, a sama wyciąga się na łóżku z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi na brzuchu. Wygląda jak eksponat na wystawie zakładu pogrzebowego, mam tylko nadzieję, że nie wywinie mi takiego numeru jak pan Waldemar i będzie łaskawa po zabiegu otworzyć oczy!

Póki co wykorzystuję okazję i mogę się jej bezkarnie przyglądać. Muszę przyznać, że z bliska jednak jest o wiele ładniejsza od Diany, oczywiście o ile ktoś nie gustuje w agresywnej urodzie naszej gwiazdy estrady. Karolina ma delikatne rysy twarzy, skórę lekko muśniętą słońcem i zadarty nosek. Ciemne włosy wydają się wilgotne, pewnie przed moim przyjściem wyszła spod prysznic. Na sobie ma kraciastą piżamę z krótkimi spodenkami. Przez chwilę wpatruję się w nią, w końcu odstawiam na nocny stolik miseczkę z wodą, puszkę i butelkę toniku. Pora brać się do roboty.

– Ehem – odchrząkuję, bo przecież muszę od czegoś zacząć przemowę, a „ehem” nadaje się do tego znakomicie. – Teraz przemyję pani skórę. Bardzo delikatnym tonikiem. Dobrze? – upewniam się.

– Dobrze, dobrze. – Karolina uchyla jedno oko i uśmiecha się lekko. – Proszę robić wszystko, jak trzeba. Nie boję się, że mnie pani zamorduje – dodaje żartem, a mnie pod wpływem jej

słów upada butelka z kosmetykiem. Kwituję to cichym przekleństwem, sekretarka Maliny parska śmiechem i ponownie układa się na wznak, a ja nurkuję pod łóżko.

Chwilę później przemywam nieskazitelną skórę Karoliny tonikiem i sięgam po miskę z naparem z dziurawca. Trzonkiem łyżki podważam wieczko puszeki i wsypuję do chłodnej wody cztery solidne porcje. Po chwili namysłu dokładam jeszcze piątą, bo wydaje mi się trochę rzadkie, ale mało gęste. Mieszam dokładnie i zgodnie ze wskazówkami Szparki nakładam maseczkę na twarz sekretarki, zaczynając od czoła. Pachnie trochę dziwnie, ale też i pomysł smarowania twarzy gliną jest dość dziwaczny, więc wzruszam ramionami i wygładzam fałdki na czole, po czym przechodzę do policzków. Karolina wygląda na zrelaksowaną i zadowoloną, no może raz czy dwa porusza nosem śmiesznie, jak królik. Albo ją łaskocze, albo jej ten zapach też wydaje się osobliwy. Nie będę pytać o takie drobiazgi. W zamian za to decyduję się przejść do zaplanowanego przesłuchania.

– Pani Diana miała wspaniałą pomysł z tymi zabiegami. Odpochniecie państwo troszeczkę, przecież po to tutaj przyjechaliście – ćwierkam radośnie, rozsmarowując papkę na policzkach i grzbiecie nosa. Zgodnie z moimi przypuszczeniami sekretarka natychmiast łapie przynętę.

– Taaak, pani Diana ma zawsze rewelacyjne pomysły – mówi sarkastycznie.

– Och, nie lubicie się panie! – zauważam z bolesnym wyrazem twarzy i atakuję maseczką brodę Karoliny. Nie jest to takie łatwe zadanie, ponieważ kobieta decyduje się włączyć w dyskusję i jej szczeka to podnosi się, to opada.

– No, niespecjalnie. Ale pani chyba też nie ma powodu, żeby ją lubić? Zasugerowała, że to pani zamordowała

Waldemara, okropność!

– Rzeczywiście, to nie było przyjemne! – przyznaję, packając maseczką na jej prawe ucho i szybko ścierając glinkę ręcznikiem. – Muszę jej jednak wybaczyć, jest pogrążona w ciężkiej żałobie!

– W żałobie? – Karolina prychnęła tak głośno i gwałtownie, że mało co nie upuszczam miski. – Proszę mi uwierzyć, że z pewnością nie jest pogrążona aż w *takiej* żałobie. Owszem, szef ją uwielbiał, ale ona... – Sekretarka kręci głową, muszę się bardzo starać, by nie trafić maseczką w którąś z jej powiek lub uchylone usta.

– Cóż, to zrozumiałe. On starszy, ona bardzo atrakcyjna... z pewnością nie wzbudzał w niej aż tak głębokich uczuć. Jednak pan Waldemar również był bardzo przystojnym mężczyzną, dystyngowanym i... ehem, miłym, kulturalnym, obytym. Z pewnością nie miałby problemów z podbiciem kobiecych serc, prawda?

– Prawda – przyznaje Karolina z entuzjazmem. – Wie pani, ja... – Wstrzymuję oddech w nadziei, że usłyszę coś, co potwierdzi hipotezę Szparki, że każda sekretarka ma romans ze swoim szefem, a mnie posłuży za słuszny motyw, jakim to miałyby się pokierować Diana Malina, by zabić swojego męża. – ...ja miałam nadzieję, że on kiedyś zmądrzeje i znajdzie sobie wartościową kobietę. W swoim wieku. Taką, która mogłaby stać się matką dla jego syna. – Patrzę na nią oniemiała. Co ona plecie, na miłość boską? Chyba nie ma na myśli siebie? Nie wygląda na taką, która zbliża się do pięćdziesiątki! Tymczasem Karolina uchyla oczy i patrzy na mnie smutno. – Marcin stracił mamę, gdy był bardzo młody i strasznie to przeżył – dodaje.

Kolejny kawałek układanki wskakuje na swoje miejsce, problem w tym, że mnie chodziło o zupełnie inny jej fragment...

To właśnie tamten jest najważniejszy! Muszę udowodnić, że Diana zamordowała męża, bo jeśli nie ona to... kto? Spoglądam na sekretarkę podejrzliwie.

– Marcin... hm. Bardzo się przyjaźnicie?

– Od dzieciństwa. A Waldemar był dla mnie jak drugi ojciec. – No, to hipoteza romansu z szefem właśnie poszła się... przejść.

– Uhm. Jak pani myśli, kto go zabił?

– Oczywiście, że ona!

– Ale sama pani słyszała, że zupełnie jej się to nie opłacało.

– Niech pani w to nie wierzy. Przez te lata zdążyła odprowadzić na osobne konto któryś milion. A może sobie kogoś znalazła? Waldemar nigdy nie pozwoliłby jej odejść, oszalał na jej punkcie. Jeśli Diana chciała ułożyć sobie z kimś innym życie, najpierw musiałaby zabić męża.

Przez chwilę trawię jej słowa i dochodzę do wniosku, że coś w tym może być. Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– Przepraszam, ale mam wrażenie, że ona obwinia o śmierć Waldemara jego syna i panią. Poza mną, oczywiście – zastrzegam szybko.

– Tak. – Karolina wzdycha głęboko. – Diana nie cierpi Marcina i zawsze starała się nastawiać ojca przeciwko niemu. Ale ostatnio coś się zmieniło. Waldemar zamierzał przenieść się na wieś i odsunąć od spraw firmy. Pragnął przygotować Marcina do przejęcia działalności. Dianie nie przypadło to do gustu, ona wcale nie chciała tutaj zamieszkać. Waldemar przywiózł nas wszystkich do dworku, aby zobaczyła, jak tutaj jest pięknie. Diana jest wściekła, ponieważ po śmierci Waldemara wszystko dostanie syn. Ona podpisała intercyzę, nie udało się jej zająć w ciążę i nie dorwie się do majątku męża. A mnie... mnie nienawidzi, ponieważ wie, że Waldemar mnie cenił i radził się

w wielu sprawach. Poza tym Marcin wkrótce się rozwodzi i...

– I pani zajmie miejsce Jagody – mówię domyślnie, ale bez cienia wyrzutu. Moje ostatnie podejrzenia okazały się słuszne. To nie Waldemar był kochankiem Karoliny, ale Marcin!

– No, tak wyszło. Znamy się od dziecka i...

Klepię ją po ręce na znak, że nie powinna się tłumaczyć. Co prawda Marcin Malina jest trochę za mocno opalony i mazgajowaty, ale najważniejsze, że jej się podoba.

Powoli zbliża się moment, kiedy powinnam zmyć z twarzy Karoliny warstwę glinki. Mówię jej o tym, ale nie reaguje. Myślę, że pożałowała przyływu szczerości i swoich słów, dlatego teraz milczy i udaje, że zapadła w drzemkę. Mimo to przynoszę z łazienki miskę z wodą i zabieram się do ścierania maseczki.

Ale glinka nie ma najmniejszego zamiaru zejść z twarzy sekretarki!

Więcej: zasklepiła się w jakąś twardą maskę!

Przez chwilę analizuję w myślach, czy uczyniłam wszystko tak, jak poleciła mi Szparka, ale wychodzi na to, że tak. Może glinka była przeterminowana? A może zepsuła się, kiedy Młynek zrzucił na podłogę te wszystkie przedmioty w schowku? Na niektórych kosmetykach jest napisane, by wstrząsnąć przed użyciem, może istnieją także takie, których wstrząsać nie wolno?

Załamuję dłonie i bezgłośnie przeklinam nad niczego nieświadomą kobietą, po czym próbuję odkleić maseczkę bez ścierania. Widziałam na YouTube, że są takie maski, które zdejmuje się w całości. Jak skorupkę. Jednak zduszony okrzyk Karoliny podpowiada mi, że to nie o tę chodzi.

W końcu sama przed sobą muszę przyznać, że znów narobiłam głupstw, tylko jeszcze nie do końca zdaję sobie sprawę z tego, jakich. I dlaczego. Mam nadzieję, że uświadomi

mi to Szparka, zatem przepraszam na moment swoją podopieczną i lecę na poszukiwanie specjalistki od zabiegów pielęgnacyjnych.

– Matko Boska! – stwierdza Szparka, wpatrując się ze zgrozą w twarz Karoliny.

– Co się stało? – dopytuje lekko zaniepokojona sekretarka.

– Nic, nic, niech leży i korzysta z maseczki.

– Kto leży? Kto tutaj jest? – Przerażona kobieta siada na łóżku i rozgląda się na boki. Opuszki palców dociska do maski na twarzy. – Dlaczego to takie twarde?

– Spokojnie, pani Karolino. To tylko my, proszę leżeć i korzystać z... ehem, maseczki. Karolina ponownie opada na posłanie, a ja nad jej wyciągniętym ciałem posyłam Szparce rozpaczliwe spojrzenie. Tymczasem masażystce mija już pierwsze osłupienie i teraz nieomal skręca się ze śmiechu. Widząc jednak moje przerażenie, podchodzi wpierw do łóżka i nachyla się nad leżącą, delikatnie dotyka skorupy, pociąga kilka razy nosem, po czym przechodzi na drugą stronę posłania i bierze w dłoń pozostawioną po zabiegu puszkę. Uchyła wieczko, zagląda ciekawie do środka, po czym parska śmiechem i kiwa na mnie palcem, bezgłośnie pokazując, że mamy wyjść z pokoju.

Na korytarzu zatacza się na ścianę i śmieje tak serdecznie, że aż łzy ciurkiem płyną po jej policzkach. Ja również jestem bliska łez, ale bynajmniej nie z radości. Tymczasem Szparka podsuwa mi pod nos puszkę i zdrapuje paznokciem burą plamę,

która skutecznie zakrywa nazwę. Gips murarski – napisane jak byk!

– Rany boskie! – szepczę i czuję, jak ziemia osuwa mi się spod stóp. Waldemara Malinę zbiłam z nóg zabiegiem masażu, a jego sekretarkę za życia zamknęłam w sarkofagu! I to żeby jeszcze całą, a ja jej tylko twarz zagipsowałam.

– Ale jak to się mogło stać? – Dziwi się tymczasem Szparka, która zdążyła się już wyśmiać za wszystkie czasy i teraz ociera policzki brzegiem fartucha, bezceremonialnie pokazując szczupłe uda pozbawione grama cellulitu. – Przecież sama jej puszkę dawałam! Puszka z gliną zawsze w tym samym miejscu stoi! Na trzeciej półce, po lewej stronie.

W tym momencie doznaję olśnienia i uderzam się otwartą dłonią w czoło.

– Boże, to moja wina. To jak zwykle moja wina.

– Nie rozumiem jej.

– Zanim poszłyśmy robić zabiegi, bawiłam się z Młynkiem w korytarzu. Nadchodził Marek, więc musiałam prędko ukryć psa. Wepchnęłam więc Młynka do schowka, a on...

– ...zrobił młynka – dopowiada domyślnie Szparka.

– I pozrzucał wszystko z półek. Później pozbierałam te rzeczy i poukładałam, jak umiałam. Puszka z gipsem pewnie trafiła na miejsce puszek z gliną i teraz mamy efekty.

– To nie tylko jej wina – wzdycha Szparka. – Matka zawsze mi powtarza, że nie patrzę, co robię. Wzięłam puszkę na pamięć.

– Nieważne, czyja wina, ale powiedz mi, czy ona przeżyje?

– A czemu ma nie przeżyć? – Dziwi się Szparka. – Nigdy gipsu na ręce albo girze nie miała?

– Nie mam pojęcia, nic mi nie mówiła.

– Ją pytam! – Dźga mnie palcem. – Weźmiemy jakiś pilnik i podważymy.

– Widziałam łom w kuchni...

Szparka patrzy na mnie z politowaniem.

– Jak nas z łomem zobaczy, pomyśli, żeśmy ją mordować przyszły.

– Może nóż do ziemniaków?

– Nie! Musi być coś lekkiego, co nie wzbudzi jej podejrzeń.

Lepiej niech pozostanie w świadomości, że glinę miała nałożoną. Odlewu twarzy na pamiątkę jej nie damy.

Ostatecznie zamach na twarz Karoliny Sianeckiej, sekretarki świętej pamięci Waldemara Maliny, czynimy używając plastikowej gałkownicy do ziemniaków. Odwracamy ją trzonkiem do góry i delikatnie wsuwamy pod gips, wcześniej nakazując nieco zdenerwowanej kuracjuszce leżeć spokojnie, z zamkniętymi oczami, a najlepiej także i bez słowa. Karolina posłusznie spełnia nasze polecenia, ale w końcu nie wytrzymuje i pyta:

– Ale czy to na pewno tak miało być? Bo jakoś mi ciepło pod tą maseczką.

– To znaczy, że działa – tłumaczę, wsuwając gałkownicę pod gips i delikatnie podważając, z lekkim trzeszczeniem odrywam od twarzy kobiety. Później wystarczy już tylko wsunąć pod maskę dłoń i pociągnąć. Po chwili trzymam w rękach dość niestaranny odlew damskiej twarzy. Kiedy Karolina otwiera oczy, pospiesznie chowam ręce za siebie.

– Czy to już wszystko? – pyta nieco zdławionym głosem. – Chyba dziwnie się czuję.

Wymieniamy ze Szparką porozumiewawcze spojrzenia.

– Wszystko. Teraz niech schłodzi buzię wodą i chwilę poleży. To jest specjalna glina, tak działa – komenderuje masażystka, pomagając kobiecie podnieść się z łóżka i prowadząc ją do łazienki. W tej samej chwili ja obracam się do

nich przodem, by skutecznie ukryć gipsowy odlew, na którym zaciskam spocone dłonie. – A my jej herbaty mrożonej przyniesiemy. I kawałek sernika, bo zasłużyła.

– Na kruchym spodzie? – dopytuje sekretarka, sunąc niemrawo w stronę posłania.

– No, oczywiście, że na kruchym. Innego Nadzieja nie piecze!

Wychodzimy na korytarz i dokładnie zamykamy za sobą drzwi od pokoju Karoliny. Szparka wpatruje się w odlew twarzy Sianeckiej, który ciągle trzymam w dłoni i ociera wilgotne czoło.

– Chyba pora na przerwę – mówi powoli.

– I na kawę – zgadzam się z nią.

– I na sernik. My też zasłużyliśmy. Na trzy kawałki nawet.

Rozdział 11

Po obiedzie zauważam, że pan detektyw rozpłynął się w powietrzu. Klnę w duchu, bo przecież miałam mieć go na oku, a potem uniosłam się dumą i odmaszerowałam do kuchni, aby uniknąć posiłku w atmosferze sprzyjającej powstawaniu wrzodów. W królestwie Nadziei z apetytem spałaszowałam talerz polędwiczek drobiowych z dodatkiem ziemniaków i buraczków na ciepło, poprawiłam niewielką repetà i zapiłam kompotem jabłkowym. Następnie wyciągnęłam przed siebie nogi, splotłam ręce na lekko wystającym brzuchu i w tej mało eleganckiej pozie odpoczywałam krótką chwilę. W tym

momencie pan detektyw rozpływał się w powietrzu! Jego samochód również!

Kiedy spostrzegam jego nieobecność, biegnę w panice do naszej sypialni i sprawdzam zawartość szafy. Może przemyślał sobie wszystko i zdecydował, że ma po dziurki w nosie moich humorów? Może doszedł do wniosku, że to niehonorowo podejmować się zlecenia dla kobiety, która insynuuje, że miłość jego życia zamordowała jej męża i wolał się ewakuować? Lub co gorsza: myśli, że naprawdę to zrobiłam i woli przebywać w pewnym oddaleniu ode mnie? Żadna opcja tak naprawdę mi nie odpowiada, bo choć jestem zła na Marka jak diabli, to jednak muszę przyznać, że kiedy jest w dworku, czuję się pewniej. Bezpieczniej. My kobiety tak mamy, z tym że nie lubimy się do tego przyznawać.

Na szczęście równiutko ułożone na półkach koszulki mówią mi, że pan detektyw zamierza do dworku wrócić. Odczuwam tak wielką ulgę, że zastępuje ona strach, a potem ustępuje miejsca ciekawości. Gdzie pojechał? I po co? Czy prowadzi jakieś działania śledcze dla Diany? A może pojechali sobie razem?

Ta myśl daje mi takiego kopa, że pędem pokonuję korytarz, nieomal przefruwam nad schodami i jak huragan mknę przez kolejne pomieszczenia na parterze, by odszukać blond gwiazdę i przekonać się, że nie towarzyszy mojemu detektywowi w jego eskapadzie. Nigdzie jej nie ma, a mnie ogarnia coraz większa wściekłość! Wiedziałam, że ta zołza coś kombinuje, ale nie podejrzewałam, że właśnie to!

Czuję, jak uchodzi ze mnie powietrze, jestem jak mały, przebity balonik. Muszę natychmiast pokrzepić się kawałkiem sernika z dużą ilością kruszonki! Powłócząc nogami, zmierzam do kuchni i zastaję tam Szparkę, która na czworaka penetruje

wszystkie zakamarki. Właśnie zagląda do szafki pod zlewem.

– Szukałam wszędzie, nigdzie nie ma – mówię zrezygnowana, siadając przy stole i przysuwając sobie stojącą pośrodku paterę z resztką sernika.

– A to gadzina – mruczy Szparka, wstając z podłogi i otrzepując z kurzu dłonie i kolana. – Starczy na trzy sekundy z oczu spuścić.

– Takie są najgorsze! – przyznaję, oskubując kruszonkę i zgniatając ją między zębami. – Marek też gdzieś pojechał – dodaję ponuro.

– To może pojechali razem? – Szparka wymawia na głos moje najczarniejsze obawy i czyni to z tak promiennym uśmiechem, że mam ochotę rzucić w nią trzymanym kawałkiem ciasta. Zamiast tego ponuro kiwam głową i urywam kolejny fragment kruszonki. – Bądź co bądź pokazał, że potrafi niepostrzeżenie wleźć na tylne siedzenie!

– Kto, przepraszam? O kim ty mówisz?

– A ona o kim mówi?

– O Dianie! Nie mogę jej nigdzie znaleźć! Myślisz, że naprawdę wlaźła Markowi na tylne siedzenie i pojechała z nim?

– Patrzę na nią z rozpaczą. Szparka zanosi się śmiechem.

– Przecie Diana od godziny siedzi w wannie! W mleku się kąpie.

– Wobec tego, kogo ty szukasz?

– Młynka! Znowu uciekła psia cho... choroba.

– I myślisz, że pojechał z Markiem? – Już sama nie wiem, która wizja bardziej mnie przeraża. Tylne siedzenie Markowego wozu z Dianą odzianą w te seksowne, opięte ciuszki czy psia morda widoczna w lusterku i obracająca się w gruzy utkana przeze mnie psia mistyfikacja! – Cholera...

– Pewnie gdzieś polazł, do wsi choćby. Przyleci, jak

z głódniej.

– A może pójdę po niego? – Zastanawiam się głośno. Przy okazji rozejrzę się za Mareczkiem, dodaję w myśli. Teraz, gdy już wiem, że Diana moczy się w wannie i nie towarzyszy mu w eskapadach, powraca pewność siebie i delikatna złość względem pana detektywa. Szparka wydaje się czytać w moich myślach, bo zanosi się śmiechem.

– Jak dla mnie, to nie o Młynka tutaj chodzi!

– Zrozum, ten facet może mu zrobić krzywdę! – Czuję, jak się czerwienię. Wychodzimy z kuchni i zmierzamy do hallu. Kiedy mijamy drzwi zabytkowej łazienki, rzucam w ich kierunku niechętne spojrzenie.

– Czego naląłaś jej do wanny?

Szparka spogląda na mnie zdumiona.

– Mleka...

– Z mydłem mam nadzieję?

– Nie.

– Błagam, powiedz, że do tego mleka wpadł choć jeden mysi bobek...

Szparka wygląda na lekko skonfundowaną, ale w końcu posłusznie kiwa głową i dodaje:

– I na pewno było sfermentowane.

Uśmiecham się do niej szeroko.

– Właśnie dlatego tak cię lubię! Teraz pójdę do wsi i poszukam tej łąki.

– Ma na myśli Młynka?

– Między innymi...

Kiedy zmierzamy w kierunku wyjścia, w oczy rzucają mi się stojące w kącie pomieszczenia kijki.

– Uprawiacie sporty zimowe? – dziwię się.

– To tego biznesmena. Całkiem się mu w głowie

pomieszało. Kto to widział latem z kijkami biegać i to jeszcze bez nart? A on codziennie rano i codziennie wieczorem z tymi kijkami chodził w pola.

– A wiesz może dokąd?

– Raz go widziałam, jak przez pola w kierunku domu Młynarczykowej szedł, ale gdzie potem to nie wiem.

– Pokażesz mi, w którą to stronę?

Szparka uśmiecha się szeroko.

– A co? Chce o przyszłość zapytać?

– Mniej więcej. W sumie bardziej interesuje mnie przeszłość.

Zakurzona, polna droga wiedzie między ścierniskami, potem skręca w stronę lasu i opada w dół ku uroczej kotlinie. Płyńie tędy szemrzący strumień, nad którym pochylają się gęste zarośla. Przechodzę przez kamienny mostek, wdycham parne powietrze i zapach bujnej roślinności. Ciekawie rozglądam się na boki, bo według Szparki właśnie tą drogą najczęściej spacerował zamordowany Waldemar Malina. To znaczy, żeby była jasność, spacerował, zanim go zamordowano. Zakochał się w tutejszych widokach, skorupa otaczająca jego niesympatyczne serce pękła i odpadła, zapragnął zbudować dom i zamieszkać w nim z żoną, mieć nowe dzieci. Starszemu dziecku przekazać stery firmy, wieść spokojne życie na prowincji, niczym bohaterka książek Grocholi, pić kompot na drewnianej werandzie, jeść pierogi z jabłkami i chodzić na długie wędrówki z kijkiem bądź dwoma. Zamiast tego skończył na leżance

w pokoju do masażu, a na koniec nawet i pod.

Próbuję ogarnąć wzrokiem otoczenie i dostrzec to, co każdego dnia zachwycało zamordowanego mężczyznę, ale to niełatwe. Przecież tutaj wszystko jest piękne! Ruszam więc dalej, bo muszę odnaleźć Młynka. A wcześniej chciałabym zajrzeć na podwórko Młynarczykowej i zapytać ją mimochodem, dlaczego uważa, że Malina nie był dobrym człowiekiem. Mogłaby też wydobyć jakąś czarodziejską różdżkę, zamachać nią i powiedzieć mi, kto go zamordował. Czy raczej, gdzie mam szukać dowodów na to, że zrobiła to jego rybia żonka, a nie ja!

Zanim wyruszyłam, Szparka wyjaśniła mi, że polna droga wiodąca do domku Młynarczykowej otacza łagodnym łukiem całe wzgórze, na którym znajduje się posiadłość i powraca na krzyżówki od drugiej strony. Nie ma najmniejszych szans, żebym zabłądziła, więc spokojnie maszeruję przed siebie i delektuję się piękną pogodą, cieniem drzew i śpiewem ptaków. Oczami wyobraźni widzę niewielką drewnianą chatkę ukrytą między drzewami. Z pewnością jest kryta strzechą i ma malutkie okienka. Idealna siedziba dla staruszki cieszącej się sławą czarownicy. Być może na podwórku znajdę metalowy kociołek z bulgoczącą, zieloną zawartością? Może poczciwa kobiecina użyje mi fiołkę mikstury, od której na nosie madame Maliny wyrośnie wielka brodawka?

Pokrzepiona tą optymistyczną myślą przyspieszam kroku. Po kilku minutach marszu zauważam posesję, której szukam. Staję przy ogrodzeniu z drewnianych palików i przez chwilę przyglądam mu się z niewyraźną miną. Domek rzeczywiście jest niewielki i otoczony napierającymi nań z trzech stron drzewami, ale został zbudowany z czerwonej cegły i jest pokryty błyszczącą blachodachówką. Okna ma całkiem normalnych

wymiarów, w każdym zaś powiewa śnieżnobiała firanka i stoi doniczka z czerwoną pelargonią. Zamiast magicznego kociołka na środku podwórka pyszni się studnia ze szpiczastą budką z pomarańczowych desek. A w kępie soczyście zielonej trawy spoczywa mój własny pies i z zapamiętaniem rozpracowuje ogromną kość.

– Skąd wiedziałaś, że tutaj jest? – słyszę. Niespokojnie rozglądam się na boki. Spomiędzy kępy malin wychodzi kobieta. Tym razem ma na ramionach chustkę przypominającą kolorowe ponczo. Uśmiecha się do mnie, w dłoni trzyma metalowy kubek pełen czerwonych owoców.

– Nie wiedziałam – wzruszam ramionami. – Właśnie szłam do wsi, aby go poszukać. Często nam ucieka.

– Tak się nauczył, bo długo po wsi biegał. Raz pod auto wleciał i wydawało się, że już nic z niego nie będzie. Wzięłam go do domu i wykurowałam. – Podchodzi do furtki i podnosi sfatygowany, drewniany skobel. Patrzy na mnie uważnie, aż robi mi się od tego dziwnie. – Potrafię co nieco...

– Tak właśnie słyszałam – mamroczę pod nosem, wchodząc na podwórko. Zbliżam się do psa, który zaszczycą mnie ledwie jednym spojrzeniem i uderzeniem ogona o miękką darń. Planuję zabrać niecnotę ze sobą, ale kobieta łapie mnie za łokieć i prowadzi w stronę domu.

– Chodź, dziecko. Napijemy się herbaty i porozmawiamy. Przecież po to przysłaś.

Nie zaprzeczam. Czuję się osobliwie, jakbym znalazła się w zupełnie innym wymiarze. Nie wiem, czego się spodziewać. Wróżby z herbacianych fusów zebranych na dzień filizanki? Ciemnej izdebki, pęku zasuszonych ziół pod sufitem i setek świec? Czarnego kota? Tymczasem Młynarczykowa prowadzi mnie za dom i wskazuje niewielki ganek dobudowany do

budynku. Pośrodku znajduje się stary, drewniany stół otoczony plastikowymi krzesłami. Na parapecie okna stoi klatka, a w niej dwie papużki faliste. Nad nimi góruje wielki, okrągły talerz anteny satelitarnej. Ten widok tak bardzo nie pasuje mi do wizerunku czarownicy przedstawionego przez Szparkę, że aż marszczę brwi. Kobieta podąża za moim spojrzeniem, patrzy na antenę i parska śmiechem.

– Lubię od czasu do czasu obejrzeć jakąś telenowelę – mówi, podsuwając mi krzesło – albo obrady sejmu. Jedno lepsze od drugiego. A w niedziele oglądam Anioł Pański.

Już chyba nic nie jest w stanie mnie zadziwić, więc kiedy na ganek wbiega zziajany Młynek i od razu podbiega do ustawionych w rogu misek, by ugasić pragnienie, nic nie mówię. Po prostu rozsiadam się wygodnie, delektuję widokiem skąpanego w słońcu ogrodu i czekam na gospodynię.

– Jak idą poszukiwania mordercy? – pyta ta prosto z mostu. Wraca na ganek, dzierżąc wielką metalową tacę, a na niej dzbanek z herbatą, dwie szklanki w drewnianych koszykach i talerz ciastek.

– Chyba dobrze – mówię niepewnie, bo nadal nie umiem określić, czy ta kobieta czyta w moich myślach, czy po prostu się ze mnie naśmiewa. – Powiedziała pani, że to nie był dobry człowiek. Dlaczego?

– Och, powiedziałam to na wszelki wypadek, gdybyś się zadręczała tym, że nie żyje.

– Czy on panią skrzywdził?

– W sensie, czy mnie oszukał? – Patrzy na mnie przenikliwie, nalewając herbaty do szklanek i wsypując szybkim ruchem po dwie łyżeczki cukru. Uśmiecha się i lekko popycha naczynie z parującym naparem w moją stronę. – Dwie, prawda?

– Proszę?

– Dwie łyżeczki cukru? – Kiwam głową, a ona zadowolona upija łyżeczek ze swojej szklanki i rozpiera się w krześle. – Tak właśnie myślałam. A wracając do twojego pytania, nie. Nie oszukał mnie, ale tylko dlatego, że mu na to nie pozwoliłam.

– Chciał kupić ziemię?

– Chciał kupić wszystko. Tak bardzo spodobało mu się to miejsce, że zapragnął kupić i dom, i działkę, i kawałek lasu.

– Ale pani nie sprzedała? – Moje pytanie jest retoryczne, przecież siedzimy na drewnianym ganku i delektujemy się herbatą o lekko cierpkim smaku, a Waldemar Malina... cóż, Waldemar Malina już nigdy nie zechce kupić żadnego domu.

– Jestem bardzo przywiązana do tego miejsca, dziecko. A jego zachwyty był nieszczerzy, wiedziałam, że zaraz wyburzy dom i postawi tutaj jakąś nowoczesną brzydotę. Wtedy to miejsce nie byłoby już takie samo. Zgodzisz się ze mną?

– Zdecydowanie.

– Odmówiłam, a on nie naciskał. Takich pięknych działek jest w Kamionkach od groma. Ludzie biedni. Nie miałyby problemu z zakupem ziemi... ale wrócił tutaj.

– Naprawdę? Chciał panią zastraszyć! – wołam oburzona, bo właśnie takie postępowanie wydaje mi się pasować do władczego biznesmena, który rozpętał awanturę z powodu kilku odbitych psich łap. Kobieta zanosi się perlistym śmiechem. Młynek podnosi pysk znad miski i wpatruje się w nas, wachlując ogonem.

– Ależ nie! Skąd ty bierzesz te wszystkie pomysły, dziecko?

Zawstydzona spuszczam oczy i zaciskam dłonie na koszyczku otaczającym szklankę. Smakuje mi herbata przygotowana przez Młynarczykową, wyczuwam jakąś leśną nutę... może to ta nalewka, o której wspominała przy kolacji

Nadzieja?

– Wobec tego po co przyszedł?

– No, wiesz... – Kobieta przybiera skromną minę, ale nie wychodzi jej to zbyt dobrze i wygląda jak napuszony paw. – Mówiłam ci już, że co nieco potrafię. A jemu bardzo zależało. Szukał sposobu na dziecko!

– Mógł zagonu z kapustą poszukać. – Przewracam oczami, ale ona kręci głową i uśmiecha się szelmowsko.

– Wy, młodzi, za nic macie naturalne sposoby. Od razu lecicie do lekarza i faszercujecie się hormonami. A matka natura dobrze wie, jak niektórym sprawom pomóc.

– I pomogła mu pani?

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska – mówi z poważną miną. Znów nie wiem, czy żartuje sobie, czy naprawdę wierzy w dobroczynne działanie różnych specyfików. Tymczasem podsuwa mi talerz z ciasteczkami. Posłusznie gryzę jedno, ale po spałaszowaniu sernika Nadziei nie mam już ochoty na słodczyce. Muszę mieć dość niewyraźną minę, bo kręci głową i wzdycha głęboko. – No, dobrze, powiem ci, choć moja opinia może na tym poważnie ucierpieć. Nie mogłam mu pomóc. Był bardzo rozczarowany.

– Zły?

– Raczej rozżalony. Powiedział, że ma młodą żonę i bardzo chciałby mieć z nią dziecko. Szukał naturalnych sposobów, żeby nie powiedzieć nie z tego świata...

– Ponieważ ona nie mogła zajść w ciążę?

– Ponieważ on nie mógł... no, wiesz.

– Ale dlaczego nie szukał pomocy u lekarza?

– To był samiec, stuprocentowy. Za nic nie przyznałby, że ma takie problemy. Opowiadał mi, że szuka informacji w książkach i komputerze. Konsultował się z jakimś specjalistą,

wspominał mi o tym, gdy był tu ostatni raz. Powiedział, że w końcu znalazł rozwiązanie swoich problemów!

– Naprawdę? Jak nazywał się ten lekarz?

– Poczekaj, niech pomyślę, bo to takie dziwne nazwisko było... Już wiem. Doktor Gogiel.

– Nigdy o takim nie słyszałam, ale poszukam w komputerze. Może też trafię na niego?

– No, spróbuj, dziecko, spróbuj. Nie podobał mi się ten Malina, ale szkoda człowieka. Jak myślisz, kto go zamordował?

– Och, ja podejrzewam jego żonę, ona z kolei podejrzewa mnie... więc tak jakby w moim własnym interesie jest, żeby udowodnić, że to jednak ona.

– Wobec tego powodzenia, dziecko! Idziesz już? – pyta, widząc, że unoszę się zza stołu. – Poczekaj, dam ci trochę malin. Smaczne, leśne.

– Malin mam po dziurki w nosie. – Uśmiecham się, biorąc od niej słoik. – Ale te wyglądają na pyszne. I całkiem lekkostrawne.

Młynek odnaleziony, detektyw też z pewnością wrócił już do dworku, nie ma sensu zapuszczać się dzisiaj do wsi. Cmokam na psa i kieruję się w stronę wyjścia. Pod pachą trzymam słoik. Jest zakręcony złotą nakrętką, a pomimo to mam wrażenie, że otacza mnie słodki zapach malin. Kiedy podchodzę do furki, dostrzegam leżącą na trawie białą kopertę. Podnoszę ją, rzucam okiem na nazwę adresata i parskam śmiechem. Klotylda Młynarczyk, jak mi Bóg miły! Ot i cała ciotka Klotka. Wsuwam

kopertę do niewielkiej, metalowej skrzynki zawieszanej na furtce i ruszam w stronę dworku.

Młynek wyprzedza mnie o parę metrów. Posuwa się od jednego krańca drogi do drugiego, znaczy po swojemu niemal każdy krzaczek i koleinę. Podejrzewam, że w tym tempie do dworku trafimy przed północą, ale czy ktoś się tym przejmie? No, może Szparka wyrzy raz czy dwa przez okno, a Nadzieja odłoży dla mnie smakowity kąsek na kolację. Za to pan detektyw będzie w tym czasie zajęty swoim nowym zleceniem w rozmiarze 90G!

Argumenty, niech go szlag.

Kiedy mijamy mostek, Młynek nurkuje w gęste zarośla i chłepcze łapczywie wodę. Wolę na niego poczekać, żeby ponownie nie zniknął mi z oczu, więc kucam na mostku i rozglądam się wokół siebie. Strumień zakręca leniwie między wysokimi kępami paproci i omszałymi kamieniami. Nad nim wznosi się dość stroma skarpa porośnięta drzewami i krzakami. Nagle dostrzegam coś znajomego... czy to naprawdę...?

Schodzę z mostku i przeskakuję nad szemrzącą wodą. Zaskoczony Młynek podnosi głowę, ale widząc, że nie odchodzę daleko, ponownie zajmuje się gaszeniem pragnienia. Tymczasem ja docieram do zarośli, odstawiam słoik z malinami w bezpieczne miejsce i podskakuję kilka razy, aby uchwycić zwisającą gałąź. Następnie w skupieniu wpatruję się w rosnące na niej jagody. Tak, jestem pewna, że to te same owoce, które znajdowały się w słoiku wyszperanym przez Młynka w igłakach obok dworku! No, może prawie pewna, bo jak powszechnie wiadomo, nie odróżniam borówki od jagody! Muszę koniecznie pokazać ten krzak komisarzowi!

Sięgam do kieszonki szortów po komórkę, ale okazuje się, że w lesie nie ma zasięgu. Nie wiem, co robić. Mogłabym

napchać jagódkami kieszenie, ale co jeśli puszcza sok, przenikną przez moją skórę i zamordują mnie jak Waldemara Malinę? Lub co gorsza zrobią potworną, niedającą się wywabić plamę na tych pięknych szortach Szparki?

Mój wzrok pada na słoik z malinami. Właściwie mogłabym... ale co zrobić z owocami? Wyrzucić? Nie może być! Wyglądają obłądnie, nie pamiętam, kiedy ostatnio nie odczuwałam mdłości na widok malin!

Ostatecznie siadam na omszałym gładzie i pochłaniam pół litra malin leśnych. Pod koniec mam już dość, ale wtedy z pomocą przychodzi Młynek. Doprawdy: pierwszy raz widzę na oczy psiego amatora owoców!

Kiedy słoik jest już pusty, płuczę go dokładnie w wodzie i ostrożnie napełniam jagodami zerwanymi z krzaka. Następnie dobry kwadrans szoruję dłonie w strumieniu: trę piaskiem i splukuję lodowatą wodą. Pod koniec już niemal nie czuję końcówek palców, ale mam nadzieję, że dzięki temu zbrodnicze jagódki mnie nie dopadną. Teraz pozostaje mi tylko dotrzeć ze słoikiem do dworku i skontaktować się z Karolem Broszko. A on już z pewnością będzie wiedział, jakim ekspertyzom poddać jego zawartość, aby potwierdzić, czy to te jagody posłały Waldemara Malinę na drugi świat.

A co potem?

Nie mam pojęcia! Być może policja zrewiduje biedny krzaczek, aby dowiedzieć się, kto z niego korzystał? Zdejmie odciski palców z każdego listka? A na gałęzi znajdzie blond kłaczek lub odcisk pistacjowej szpilki w piasku na brzegu strumienia? Na wszelki wypadek zacieram patykiem własne ślady.

Docieram do parku w samą porę, by dostrzec, jak samochód Marka sunie alejką w kierunku dworku. Jestem bardzo ciekawa, gdzie był tyle czasu i co go zajmowało. Czyżby jakieś zadanie od madame Maliny? Nie zapytam go o to, bo po pierwsze i tak mi nic nie powie i zasłoni się tajemnicą służbową, przybierając tę swoją nadętą minę, której nie cierpię, a po drugie nie mam zamiaru dać mu odczuć, że mnie to interesuje. Póki co, nie planuję spotykać się z panem detektywem. Muszę ukryć słoik i Młynka, a następnie skontaktować się z komisarzem. Niech przyjedzie i zabierze ode mnie te jagody!

Nurkuję w zarośla i przedzieram się w stronę budynku. Młynek posyła mi dziwne spojrzenie i ostentacyjnie wraca na alejkę. Klnę pod nosem i wciągam psiego niewdzięcznika w krzaki. W ogóle nie zdaje sobie sprawy, o jak wysoką stawkę gramy!

– Chcesz mieszkać w kamienicy z czystymi schodami, mieć kawałek łóżka i dostęp do lodówki dwadzieścia cztery godziny na dobę? – pytam go po chwili. – Więc dobrze ci radzę, rób, co mówię!

Pies prycha w odpowiedzi. Nie wiem, czy coś mu wpadło do gardła, czy po prostu moje przemówienie ma głęboko gdzieś... Najważniejsze, że posłusznie daje się podprowadzić do bocznego wejścia i pozostawić pod opieką Nadziei.

Ja tymczasem stoję przed nie lada dylematem. Gdzie ukryć zbrodnicze jagódki? Planowałam je zanieść do naszego pokoju, ale obawiam się, że mógłby je znaleźć Marek albo po prostu pod wpływem ciepła zamieniają się w sok... Do lodówki jednak włożyć ich nie mogę, jeszcze Nadzieja zaserwuje je gościom na

śniadanie do naleśników i będę mieć na sumieniu cały turnus! Nie mogę tak ryzykować, po prostu ukryję je w pokoju, nawet jeśli się rozpląną, analiza chyba wykaże, czy są trujące.

Gdy wchodzę na górę, mija mnie Diana. Ostentacyjnie odsuwa się, jakby oddychanie tym samym powietrzem stanowiło dla niej zagrożenie. Wydyma swoje wielkie usta i wygląda jak karp gigant. Wcale się nie dziwię, że Waldemar Malina nie był w stanie konsumować swojego małżeństwa.

Po wejściu do pokoju sprawdzam, czy na pewno jestem sama, a następnie rzucam się na poszukiwanie dobrej kryjówki. Szafa odpada, pod łóżko Marek na pewno zajrzy... Kiedyś na filmie widziałam, jak kobieta schowała kilogram kokainy w spłuczce od toalety. Mocuję się ze staromodną spłuczka, ale nic z tego. Na filmie to wydawało się takie proste, pewnie scenarzyści wcześniej poluzowali jej śruby.

Rozpaczliwie rozglądam się po pokoju i w końcu dostrzegam idealną kryjówkę! Podchodzę do kaflowego pieca stojącego w rogu pokoju i uchylam drzwiczki. Udaje się, miejsca akurat tyle, by wsunąć do środka słoik. Tutaj na pewno Marek nie będzie grzebał, bo i po co? Teraz pozostaje mi tylko sprowadzić Karola Broszko.

Kiedy wychyliłam się z okna i wydobywam z kieszonki komórkę, by zadzwonić do komisarza, dostrzegam osobliwy widok. Tak osobliwy, że zamieram z na wpół uchylonymi ustami i przerażonym spojrzeniem. Muszę wyglądać naprawdę dziwnie, ale nic na to nie poradzę, bo to, co rozgrywa się

przed moimi oczami, jest jeszcze gorsze!

Wpierw z zarośli wysuwa się zasapana Diana. Jej fryzura jest najwyraźniej obklejona strzępkami pajęczyny i liści, ponieważ nerwowo ją otrzepuje. Wygląda na sobie ubranie i szybko odchodzi w stronę dworku. Zaraz za nią z krzaków wyłania się zziębnięty Marek. Czuję, jak zamiera mi serce. Więc jednak wykorzystwała swoje argumenty!

Zapominam o telefonie do komisarza i załamana opadam na łóżko. Właśnie przyłapałam mojego ukochanego detektywa, jak powraca z intymnej schadzki ze swoją klientką. I to gdzie? W parkowych zaroślach, tuż pod moim bokiem, a raczej oknem... Okna w historiach miłosnych odgrywały już różne role, ale w większości pozytywne. Oczywiście, mnie musiało się trafić felerne!

Siedzę i czekam, zastanawiając się, jak pokierować rozmową, by nie wyjść na zazdrosną desperatkę, a równocześnie zachować kobiecą godność. Na pewno się nie rozplaczę, o co to to nie! Postaram się również nie krzyczeć, nie mam zamiaru okazać się histeryczką. Zachowam spokój. Najpierw rozkwaszę mu nos, potem podbiję oko, a na koniec nazwę żalonym sukinsynem. Z żalem muszę przyznać, że chyba nabieram doświadczenia w takich sytuacjach.

Tak się zatapiam w swoich rozmyślaniach, że nie zauważam, jak Marek wchodzi do pokoju. Teraz stoi naprzeciwko mnie i mierzy mnie pytającym spojrzeniem. Powiedziałabym nawet, że zatroskanym. Ja również patrzę na niego i gołym okiem dostrzegam dowody winy. Na jego błękitnej koszulce poło widzę przyczepione suche liście, na dżinsach zaś wyraźne smugi błota. Tarzał się po tych zaroślach, czy co? To wystarczy, aby zburzyć wszystkie wcześniejsze ustalenia!

– Gdzie byłeś? – pytam słodkim głosem.

– We wsi.

– We wsi? – Unoszę wysoko jedną brew. – A po co?

– Miałem coś do załatwienia.

– Dla Diany? – Staram się nie skrzywić przy wypowiedzianiu tego imienia.

– Nie – mówi, ku mojemu zdumieniu, więc unoszę drugą brew. Wzdycha głęboko i siada obok mnie. – Mówiłem ci, że prowadzą inną sprawę. Tak się złożyło, że działania operacyjne sięgają aż tutaj.

– Co to za sprawa?

– Nie mogę ci powiedzieć. Tajemnica zawodowa.

– Banie-kichanie! – sarkam, a potem dodaję słodko. –

A może wolisz mi opowiedzieć o schadzce z Dianą w parkowych zaroślach?

– C-co? Oszalałaś?

– Być może oszalałam, ale wzrok nadal mam dobry.

Widziałam was przez okno.

Marek parska śmiechem.

– To jakaś wariatka! Kiedy przyjechałem... chciałem się jeszcze przejść i coś sprawdzić, a ona polazła za mną.

– I co było dalej?

– Nic, zaczęła pleść jakieś bzdury, że kończy nam się czas i powinienem już dawno wskazać, kto zamordował Waldemara.

– Bardzo jej się spieszy... – mówię zamyślona, po czym mierzę nieprzychylnym spojrzeniem brudną odzież pana detektywa. – I w tych zaroślach rzuciła się na ciebie, tak?

– Nie, wcale do mnie nie podchodziła. – Mina Marka mówi mi coś zgoła innego, ale udaję, że mu wierzę. – A tamta sprawa... Opowiadałem ci przecież o niej. Kobieta zatrudniła mnie, ponieważ jej mąż zaczął zachowywać się dziwnie.

Uznała, że ją zdradza i kazała mi go śledzić. Robiłem to przez kilka dni, ale facet był grzeczny jak pierwszoklasista!

W podstawówce – zastrzega szybko, widząc moją minę. – Pewnego dnia, kiedy miałem go obserwować w parku, zaszedł mnie niespodziewanie i zapytał, co robię. Powiedziałem, że kogoś szukam, że jestem detektywem. Wtedy powiedział, że mogę powiedzieć jego żonie, że nie ma żadnej kochanki, ale jeśli chcę, on też może mnie zatrudnić.

– I co dalej? Zgodziłeś się?

– Początkowo nie miałem takiego zamiaru, to byłby przecież konflikt interesów. Ale wieczorem klientka zadzwoniła z informacją, że rezygnuje z moich usług, ponieważ mąż zażądał rozwodu. A facet opowiedział mi swoją historię i po prostu chciałem mu pomóc.

– O co chodziło, skoro nie o kochankę?

– Żona namówiła go kiedyś, by zrobił coś bardzo złego. Bardzo szybko tego pożałował, ale było już za późno. Nie potrafił sobie z tym poradzić, obwinił ją za to. I ostatecznie zakończyło się złożeniem papierów rozwodowych.

– A ty? Jakie jest twoje zadanie?

– Ja mam pomóc mu naprawić to, co skrewił. A ponieważ ślady prowadzą w te okolice, przeprowadzam poszukiwania. Jak widzisz, nie tracę czasu wyłącznie na urojenia pani Maliny!

– Ha, więc jednak przyznajesz, że to urojenie! – Jestem tym stwierdzeniem tak zachwycona, że na króciutką chwilę zapominam o moich wcześniejszych wątpliwościach i podskakuję radośnie na łóżku.

– Jak zwykle łapiesz mnie za słówka, hrabianko! – Marek grozi mi palcem i podnosi się z łóżka. Kiedy zmierza w kierunku łazienki, odprowadzam go podejrzliwym spojrzeniem.

– Ale dlaczego jesteś taki brudny?

– Poszukiwałem dziś pewnego spryciarza i przedzierałem się przez łąki, lasy i różne krzaki – mówi pan detektyw z bardzo poważną miną i sięga po ręcznik. – Niestety, wszystko wskazuje na to, że mój klient nie naprawi swoich błędów.

Marek znika w łazience, a ja wyciągam się na łóżku i główkuję. Wygląda na to, że pan detektyw mówi prawdę, ale na wszelki wypadek zachowam trzeźwy umysł i będę bacznie obserwować tę lalunię.

Za namową Marka rezygnuję z kolacji w kuchni i decyduję się dołączyć do gości. Kiedy wchodzimy do jadalni, przy stole toczy się właśnie gorąca dyskusja. Siadam na swoim stałym miejscu i pospiesznie nakładam na talerz kopczyk sałatki jarzynowej. Dziwnie czuję się w towarzystwie tych ludzi, szczególnie pod obstrzałem umalowanego spojrzenia madame Maliny, więc chcę posiłek mieć jak najszybciej za sobą i wrócić do swoich spraw. Może wyciągnę Marka na spacer nad rzekę? Nie jest jeszcze tak późno, a odkąd tu przyjechaliśmy, nie mieliśmy ani pół minuty czasu tylko dla siebie.

Atakuję widelcem kawałki zielonego groszku i patrzę w stronę detektywa z rozbawieniem. Jego sąsiadem przy stole jest Marcin Malina, co Markowi wydaje się nie odpowiadać. Na dodatek syn Waldemara wciąż stara się pochwycić moje spojrzenie, a detektywa wyraźnie skręca! Śmieję się pod nosem. Będę musiała wtajemniczyć Mareczka w dziwne koligacje w tej rodzinie, niech nie myśli, że napaliłam się na tę chodzącą opaleniznę. Poza tym Marcinowi niepotrzebna jest kobieta, bo te

najwyraźniej już posiada w nadmiarze. Występuję raczej w charakterze osobistego rękawa do wycierania łez.

Z ulgą odnotowuję ostatni kawałek groszku i ostatni strzępek marchewki na swoim talerzu, pospiesznie przełykam pozostałość kromki chleba i lustruję zawartość Markowego talerza, aby ocenić, czy mogę już wyjść z propozycją przechadzki. W tej samej chwili dyskusja przy drugim końcu stołu nabiera rumieńców, a Nina Krauze wychyla się w moją stronę.

– A pani jak sądzi?

– Przepraszam, a o czym?

– Poszukujemy nazwy dla nowego zespołu Diany. To musi być coś chwytliwego i pasującego do jej osobowości.

– O, to ciekawe! – Zerkam w kierunku wdowy po Waldemarze i przekonuję się, że ta wpatruje się we mnie z kwaśną miną. – Jakie propozycje już padły?

– Diana skłania się ku Greckiej Bogini... ale osobiście nie jestem przekonana.

– Nie, to bez sensu! – mówię z prawdziwą przyjemnością, równocześnie przybierając żalobną minę. – Proszę wybaczyć, ale bogini do pani wcale nie pasuje! Musi być treściwie i... już bardziej Grecka Mozaika. Albo krócej: Mozaika! – Wkładam w to słówko całą duszę, podkreślając jego piękno uniesieniem dłoni. – Musi być krótko, proszę mi uwierzyć, jestem bibliotekarką i nic co związane ze słówkami, nie jest mi obce!

– Mozaika... – Nina Krauze obraca wymówione słówko na języku, smakuje, następnie popija herbatą i kiwa głową. – W sumie, dlaczego nie? Bardzo zgrabny tytuł dla zespołu disco polo. Mozaika.

– Może jednak znajdzie pani coś, co bardziej do mnie pasuje niż łazienkowe płytki? – Diana rzuca mi nieprzychylnie

spojrzenie.

– Pomyślmy... może Akwarium?

Gdzieś naprzeciwko mnie Marek zanosi się suchym kaszlem. Diana otwiera szeroko oczy.

– Akwarium? A co ja mam wspólnego z akwarium?

– No, nie wiem. Tak mi się jakoś skojarzyło...

Przez dłuższą chwilę przy stole panuje cisza przerywana jedynie brzdękiem sztućców i odgłosem mlaskania męża Niny Krauze. Diana siedzi u szczytu stołu, bębni palcami w jego blat i wpatruje się we mnie spojrzeniem ciężkim od mocno wytuszowanych rzęs. Nagle uśmiecha się szeroko i wstaje:

– Dość tego dobrego, najwyższa pora załatwić to do końca.

Nie mówi, co ma na myśli, a najwyraźniej nikogo nie interesuje to na tyle, aby zapytać. W końcu wychodzi z jadalni, mocno postukując obcasami, a atmosfera przy stole wyraźnie się poprawia. I tylko małe uczucie niepokoju psuje mi przyjemność płynącą z kawałka drożdżowego ciasta i filiżanki herbaty. Co ona knuje?

Budzę się w środku nocy i ze zdumieniem konstatuje, że druga połowa łóżka jest pusta. Przez chwilę uspokajam mocno uderzające serce, następnie odrzucam okrycie i na palcach przemierzam pokój. Zbliżam się do drzwi łazienki. Rozświetlona szczelina pod nimi mówi mi, że Marek jest w środku. I już mam wracać do łóżka, gdy dobiega mnie przytłumiony głos. Pan detektyw rozmawia przez komórkę, a to, że w tym celu zamelinował się w łazience, dowodzi, że ma coś do ukrycia! Bez

namysłu nadstawiam ucha, ale słyszę bardzo niewyraźnie.

– Tak, jestem pewien... sprawdziłem bardzo dokładnie... musi pan przyjechać... jutro... dokończyć tę sprawę... ponad moje siły... to bardzo przykre, ale musimy... znalazłem dzisiaj coś... nie, nie mam wątpliwości, niestety. Tak, ja też bardzo żałuję...

Zapada cisza i dociera do mnie, że rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Pospiesznie umykam do łóżka i w ciemności wpatruję się w sylwetkę kaflowego pieca. Przecież nie mógł znaleźć słoika? Ale jest taki smutny... Czego tak bardzo żałuje? Skrzypią drzwi od łazienki, więc pospiesznie zaciskam powieki. Czekam, aż pod wpływem ciężaru ugnie się materac, a do mojego boku przylgnie jego ciepłe ciało. Ale przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje, więc dyskretnie zerkam spod współprzymkniętych powiek: Marek stoi w uchylonym oknie i wpatruje się w park. Widok jego zaciętej miny sprawia, że aż ściska mnie od środka. Co się stało?

Rozdział 12

Od samego rana w dworku panuje nerwowa atmosfera. Najpierw Nadzieja kłóci się w kuchni z panią Elizą, która koniecznie chce zmienić jadłospis.

– Zrozum, Nadziejo, że oni są tutaj ostatni dzień. Wieczorem wyjeżdżają! Musimy zrobić na nich dobre wrażenie. Z pewnością nie zapomną, co tutaj przeżyli i być może nie będą polecać naszego spa najlepszym przyjaciołom, ale może przynajmniej nie będą odradzać... – Właścicielka wzdycha głęboko – ...a flaki cielejące z pewnością nie poprawią ich nastawienia!

– Zawsze mogą polecać wrogom – wtrącam wesoło znad Młynkowych uszu, które właśnie tarmoszę.

– Matko Boska! – Pani Eliza posyła mi rozpaczliwe spojrzenie, po czym podaje Nadziei niewielki karteluszek zapisany drobnym pismem. – Proszę cię, Nadziejo. Skoro nie schab z żurawiną, to może chociaż placki z gulaszem i zestawem surówek? I kruche ze śliwką na pożegnalny deser?

Jedyną odpowiedzią Nadziei jest upadający rondel, który robi tyle hałasu, że przestraszony Młynek czmycha przez kuchenne drzwi do ogrodu. Patrzymy za nim zrezygnowane.

– Powiedziała Mareczkowi o psie? – pyta Szparka.

– Kto?

– Przecie, że nie ja! Ja bym już dawno powiedziała!

– Jeszcze nie – wzdycham głęboko. Rozsiadam się wygodniej na krześle i podciągam kolano prawej nogi pod brodę. – Marek coś nie w sosie od wczoraj, przygaszony, smutny... Nie będę mu zawracać głowy – stwierdzam.

Sama przed sobą muszę przyznać, że nie mówię prawdy. Martwię się jego dziwnym zachowaniem i po prostu nie mam odwagi przedstawić mu przygarniętego futrzaka. Do tego towarzyszy mi dziwne wrażenie, że Marek od rana wyraźnie mnie unika. Mam niedobre przeczucie, że jest to w jakiś sposób powiązane z jego nocną rozmową telefoniczną. Kiedy rano otworzyłam oczy, byłam w pokoju sama. Zagadnięta Szparka wyjaśniła mi, że zaraz z rana wypił kawę i poszedł na spacer po parku.

Chwilę później zza okna dobiega nas zduszony okrzyk Diany.

– Rany boskie! – Madame Malina kwiczy jak zarzynany prosiak, dając popis swoich zdolności w rozciąganiu skali głosu. – Tylko nie to... tylko nie to!!!

Nadzieja robi na piersi zamaszysty znak krzyża i przewraca oczami.

– Pewni nowy nieboszczyk!

Wymieniamy spojrzenia ze Szparką, zrywamy się zza stołu i co sił w nogach biegniemy do parku, gdzie piski Diany tracą powoli na intensywności wraz z zagęszczeniem tłumu zebranego wokół miejsca zdarzenia.

– Ja tego nie wytrzymam, nie wytrzymam – jęczy wdowa po Waldemarze Malinie. Z miejsca, w którym stoimy, widzę, że przybrała dziwną pozycję, jakby... podskakuje? Zebrani powoli się rozstępują, a wtedy dociera do mnie cała powaga sytuacji. Tyle razy życzyłam jej psiej *niespodzianki* pod nogami, że teraz nie mogę zareagować inaczej. Zaczynam głośno się śmiać. Szparka trąca mnie łokciem znacząco, inni goście spoglądają zaskoczeni, a twarz Diany purpurowieje. Ostatecznie zrzuca pantofle i na bosaka zmierza w stronę dworku. Tak bardzo w tym momencie przypomina Jolkę, że mam ochotę zapytać, czy są spokrewnione. Tymczasem kobieta zatrzymuje się przede mną i cedzi przez zęby:

– To wszystko twoja wina, ale już ja cię urządzę...

– Niech uważa, żeby się nie poślizgnęła, bo dupsko potłucze – radzi jej Szparka.

Diana zaciska pięści, mam wrażenie, że chce na nas wrzasnąć, ale ostatecznie odchodzi bez słowa. Nieomal słyszę, jak zgrzyta swoimi równiutkimi, perłowymi ząbkami. Ciekawe, jak planuje mnie urządzić? Spoglądam na moją towarzyszkę z wdzięcznością, prawdziwa z niej przyjaciółka! Ta wzrusza niedbale ramionami i wskazuje porzucone na środku trawnika szpilki, tym razem czarne, zamszowe.

– Trzeba to posprzątać – mówi.

Wracamy do kuchni po reklamówkę jednorazową i ramię

w ramię sprzątamy po Młynku i Dianie. Szparka szybkim ruchem zgarnia obuwie i wskazuje kontener na odpadki.

– Jak myślisz? Chyba już ich nie zechce?

– Pewnie nie – kręcę głową. – Swoją drogą, może jednak zostawię wam Młynka na kilka tygodni? Mogłybyście otworzyć dodatkową działalność w postaci sklepiku z obuwem z drugiej... nogi?

– Raczej z psiej kupy! – Śmieje się Szparka.

Doprowadzamy trawnik do stanu idealnego, sprawdzamy, czy nigdzie nie kryją się inne psie miny, po czym przypominam sobie, co miałam załatwić poprzedniego wieczoru, a od czego odwiódł mnie widok Marka wyłaniającego się z parkowych zarośli w towarzystwie Diany. Chowam się za załomem budynku i pospiesznie wybieram numer komisarza.

– Panie komisarzu, czy pan o nas zapomniał?

– Nie zapomniałem, pani Kalinko. – Głos policjanta brzmi wyjątkowo smętnie. – Po prostu zdałem sobie sprawę, że nie nadaję się do takich poważnych śledztw. To tylko w W-11 wydaje się takie proste. W ciągu czterdziestu pięciu minut programu rozwiązują całą zagadkę. I to z dwoma lub trzema trupami. A u nas trup zaledwie jeden, a i tak nie dałem rady...

– Ale za to jaki potężny trup, panie komisarzu! Chyba że sto kilo ważył, akurat o tym przekonałam się na własnym ciele. Jednak ja nie o tym... chyba coś mam, panie Karolu!

– A co? – W głosie komisarza pojawia się lekkie ożywienie.

– Narzędzie zbrodni.

– Proszę? – Karol Broszko zachłystuje się powietrzem. – Co pani znowu zmalowała, pani Kalino?

– Nic, jak mi Bóg miły, nic nie malowałam od czasów nimfy. Ale znalazłam coś, co musi pan koniecznie zbadać, panie

komisarzu. Jestem przekonana, że właśnie tym zamordowano Waldemara Malinę!

– Dobrze, zjawię się... zaraz po obiedzie.

– Niech się pan pospieszy, panie Karolu. Robi się naprawdę gorąco...

– W dworku?

– Nie, w piecu.

– Pani jak zwykle zagadkami...

– Panie Karolu, niech mi pan zaufa. Czy nie marzy pan o awansie, podwyżce i poważnych zamiarach? No, to niech się pan streszcza z łaski swojej, bo zima niedługo. A robi się coraz cieplej i pewnie wszystko popłynie.

– Pani Kalino...

– Jeszcze jedno. Wiem ze sprawdzonych źródeł, że Malina kontaktował się z jakimś lekarzem. Czy znalazł pan już jego komputer?

– Niestety nie – smętnie wzdycha komisarz.

– Przecież nikt nie opuszczał dworku, więc laptop musi tu być!

– Ktokolwiek ten komputer ukrył, zrobił to bardzo dobrze...

– Pozostaje mieć nadzieję, że nie utopił go w jakiejś studni... Przy dworku jest studnia, prawda? – pytam niespokojnie.

– Jeśli utopił komputer w studni, to leżymy – mówi żałośnie Karol Broszko. – Ale sprawdzimy to miejsce.

– Proszę pamiętać, że mam narzędzie zbrodni i nie zwlekać z przyjazdem!

– Pani Kalino...

– Panie Karolu, muszę kończyć.

Pospiesznie kończę rozmowę, ponieważ właśnie coś zwróciło moją uwagę. Przez zarośla parku przedziera się zapłakana kobieta. To Jagoda Malina. Jej twarz jest opuchnięta i czerwona, musiała płakać dłuższy czas. Podchodzę do niej i delikatnie łapię za ramię.

– Co się stało? – pytam.

Przez krótki moment mam wrażenie, że wyrwie się i ucieknie, ale ostatecznie opiera się plecami o chropowaty pień drzewa i powoli osuwa na poszycie. Przy okazji zalewa się kolejnymi łzami.

– Och, to takie bez sensu – duka, chowając twarz w dłoniach.

– A co dokładnie? – dopytuję, chociaż podejrzewam, o co chodzi. Przyklękam obok niej.

– Mój mąż... nie byłam szczęśliwa w tym małżeństwie, a teraz on poprosił mnie o rozwód.

– Proszę się nie gniewać, ale rzeczywiście nie wyglądała pani na szczęśliwą...

Jagoda opuszcza dłonie i patrzy na mnie z sympatią.

– Prawda? Zawsze mu to powtarzałam! Nie jestem z tobą szczęśliwa. – Parodiuje własne słowa, zabawnie wykrzywiając buzię, po czym zanosi się płaczem. – Ale przecież mnie nie o to chodziło, żeby się ze mną rozwiódł. Chciałam, żeby to dostrzegł i coś zrobił!

– Co?

– Cokolwiek. Cokolwiek, żeby było lepiej. A teraz on mówi, że kocha inną kobietę...

– Hm, to rzeczywiście sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– Próbowałam mu tłumaczyć, że przecież możemy o wszystkim zapomnieć i uratować nasze małżeństwo, ale on mówi, że jest za późno i że przecież i tak nigdy nie byłam z nim szczęśliwa...

– No, tak. Może rzeczywiście pragnie pani szczęścia?

– Ja też pragnę jego szczęścia, ale nie z obcą kobietą.

– Może nie jest obca? – rzucam wesoło, a Jagoda w odpowiedzi posyła mi żalosne spojrzenie.

– To nie ma znaczenia. A najgorsze jest to, że... zrobiłam dla niego coś złego.

– Co? – pytam zaintrygowana.

– Och, nie mogę powiedzieć. To zbyt okropne! – Chowa twarz w dłoniach i szlocha. Przetykam ślinę i delikatnie głaszczę ją po ramieniu.

– A kocha go pani?

– Oczywiście, że go Kocham. – Patrzy na mnie dzikim wzrokiem. – Nie widziała pani, jaki jest przystojny? Jesteśmy razem od czasów liceum, nie ma pani pojęcia, jak koleżanki mi zazdrościły. Poza tym gdybym go nie kochała, nie znosiłabym tego wszystkiego...

– To znaczy?

– Tej całej rodzinnej atmosfery. Mój teść poniżał Marcina, praktycznie nie chciał go znać. Wiedziałałam, że to zły pomysł, żeby tutaj przyjeżdżać, ale mój mąż się łudził...

– Przecież Waldemar chciał przepisać na niego firmę.

– Tak mówił, ale w rzeczywistości nigdy nie pozwoliłby Marcinowi rządzić, zawsze by się wtrącał.

– To rzeczywiście bardzo skomplikowane. I co teraz pani zrobi?

– Nie mam pojęcia. Chyba mogłabym nie zgodzić się na rozwód, jak pani myśli? Przynajmniej przeciągnę to w czasie,

może Marcin się rozmyśli. Albo tamta kobieta zniknie?

Patrzę na nią i czuję, jak coś pełźnie mi w dół pleców. Ukłucie niepokoju czy jakiś robaczek? Sięgam dłonią i okazuje się, że to czarna mrówka. Staram się nie spuszczać wzroku z chlapiącej kobiety. W jej skulonej postaci jest coś, co mnie niepokoi.

– To chyba na dłuższą metę się nie sprawdzi – mówię. – Jeśli chce odejść, to prędzej czy później odejdzie. Do tej czy do innej. Więc ta lepiej niech nie znika – dodaję szybko, bo nagle nurtuje mnie pytanie, jak wiele zakochana żona może zrobić dla hołubionego małżonka. – Może odnajdzie się pani w pracy? Ja na przykład po rozstaniu z moim byłym przeczytałam chyba setkę książek. Jestem bibliotekarką. A pani co robi?

– Och, ja skończyłam Uniwersytet Rolniczy w Krakowie. Moją specjalnością i pasją jest botanika.

– Botanika? Och! Jestem kiepska w tych rzeczach... to nauka o zwierzątkach czy... krzaczkach? – pytam drżącym głosem.

– Krzaczkach, zdecydowanie krzaczkach. Oczywiście nie tylko. – Jagoda wyraźnie się ożywia, prostuje i wpatruje w moją twarz roziskrzonymi oczami. Ma zaczerwieniony nos, błyszczące od łez policzki i lekko wyłupiaste oczy, ale nagle nabiera kolorów i z szarej myszki przyklejonej do rękawa Marcina Maliny przemienia się w... co najmniej dumną ze swego futra szynszylę. Zaczyna się również rozwodzić nad przedmiotem swej pasji. – Ludzie nie zdają sobie sprawy z potencjału, jaki drzemie w roślinności i niszczą ją. A matka natura zaplanowała dla niej wiele wspaniałych zastosowań. Nam pozostaje z nich tylko mądrze korzystać.

– To zabawne, ale nie dalej jak wczoraj ktoś powiedział mi coś bardzo podobnego – mówię, unosząc się z klęczek

i wskazując w stronę dworku. – Może pójdziemy tam... gdzie jest więcej ludzi? – Jagoda kręci głową przecząco i wpatruje się we mnie z promiennym uśmiechem.

– Jakoś specjalnie nie przepadam za ludźmi, lepiej zostańmy tutaj i porozmawiajmy sobie jeszcze troszkę. Rozmowa z panią bardzo dobrze mi robi.

– Właśnie widzę – mruczę pod nosem, równocześnie rozglądając się rozpaczliwie na boki. Szparka mówiła, że Marek kolejny raz wybrał się na przechadzkę po parku. Co prawda jego nagłe zainteresowanie okolicznościami przyrody w sytuacji, gdy pod bokiem ma okoliczności natury damsko-męskiej, nieco działa mi na nerwy, niemniej w tym wypadku może okazać się zbawienne. Towarzystwo Jagody jest dziwnie niepokojące. Może Marek wybawi mnie z tarapatów?

– Co pani mówi? – dopytuje ona tymczasem.

– Że my bibliotekarki tak mamy. Ludzie niby przychodzą po książki, ale potrafią streścić nam całą historię swego życia. Działamy jak terapeuci...

– To prawda! – Jagoda ponownie rozpromienia się, wstaje i łapie mnie za łokieć. – Rozmawiam z panią zaledwie od kilku minut, ale uczyniła pani dla mnie więcej niż mój psycholog... A płacę mu grube tysiące! – Puszcza do mnie oko.

– Hm, wobec tego pomyślę o zmianie profesji...

– Koniecznie! – Jagoda stanowczo ciągnie mnie w kierunku parku. – Mam propozycję, może przejdziemy się jeszcze kawałeczek? Tutaj nieopodal jest taka piękna skarpa!

– Ach, skarpa! – Patrząc na nią osłupiała, równocześnie usiłując oswobodzić łokieć. – To nie jest dobry pomysł. Tam jest bardzo niebezpiecznie!

– Niemożliwe!

– A jednak. W ubiegłym roku spadła stamtąd kobieta.

Zepchnęła ją... jej własna terapeutka.

– O Boże, to okropne! Dlaczego to uczyniła?

– Nie wiem, może usłyszała coś, co jej się wcale nie spodobało? Któż wie, co tkwi w genialnym umyśle terapeuty!

– Może ma pani rację, ale będziemy ostrożne. Chodźmy!

– Nie, to nie jest zbyt dobry pomysł. Proszę pamiętać, że pracuję w tym dworku i odpowiadam za pani bezpieczeństwo!

Jagoda drapie w zamyśleniu brodę, w końcu wskazuje ścieżkę.

– Wobec tego chodźmy nad rzekę. Nie byłam tam jeszcze, ale słyszałam, że jest naprawdę pięknie!

– Och, nad rzeką również jest bardzo niebezpiecznie.

Wiosną utopiła się tutaj kobieta.

– Nie może być!

– A jednak, utopiła się na amen!

– Czyli jest bardzo głęboko?

– O tak! Wikipedia podaje, że to najgłębsza rzeka w promieniu tysiąca kilometrów!

– Nie wierzę pani! – Jagoda śmieje się serdecznie. – Po prostu stara się pani mnie rozśmieszyć, bo wie, że jestem nieszczęśliwa. To zaskakujące, ale wcale się nie znamy, a naprawdę czuję się doskonale w pani towarzystwie. A może w twoim? Czy pogniewasz się, jeśli zaczniemy mówić sobie po imieniu?

– O niczym innym nie marzę – wzdycham głęboko.

– Kalina i Jagoda. Prawda, że zgrana z nas drużyna?

– Bardzo zgrana – przyznaję nieco zakłopotana, bo nie wiem, co myśleć. Zaczynam się jej bać... albo podejrzewać, że ten terapeuta przepisuje jej coś, czego nie dopuszczono u nas do użytku.

– I wiesz, to absurdalne, co insynuuje moja teściowa. –

Przez moment nie potrafię zrozumieć, o czym ona mówi. Dopiero po chwili dociera do mnie, że teściową Jagody jest Diana. – To okropne. Ja WIEM, że ty tego nie zrobiłaś!

– Naprawdę? – pytam słabym głosem.

– Oczywiście! A więc, skoro nie chcesz mnie zabrać ani nad skarpę ani nad rzekę, to może chociaż przejdziemy się drogą? Bardzo proszę... bardzo! – Składa dłonie jak do modlitwy i robi słodki dzióbek, jak do zdjęcia na portalu społecznościowym.

– No, dobrze, przejdźmy się kawałek. – Zgadzam się w końcu, bo zdaje się, że i tak nie mam wielkiego wyboru. Co prawda Jagoda wydaje się nieco niezrównoważona psychicznie, ale na uczęszczanej drodze chyba mnie nie skrzywdzi? Bo i cóż może mi zrobić? Wepchnąć pod furmankę czy przyduścić snopkiem zboża? Może w drodze do bramy natkniemy się na Marka i będę mogła poprosić pana detektywa, aby towarzyszył nam na spacerze?

Jak się okazuje, szczęście mi dopisuje, bo choć Marka nie spotykamy, to jednak kiedy w towarzystwie rozchichotanej Jagody zbliżam się do drogi, moim oczom ukazuje się furmanka Starego Jana. Sam woźnica jakby nigdy nic siedzi na ławeczce i ćmi nieodłącznego papierosa, mrużąc oczy przed promieniami słońca. Romeo lekko strzyże uszami i skubie kępkę zielonej trawy porastającej popękany podjazd.

– Dzień dobry panie Stary Janie! – wołam z entuzjazmem.

– Dobry, dobry, panienko.

– Czekają pan na kogoś?

– Czekam, jak się kuń odpocznie, bo się troszki zmordował.

– Aha, a czemu akurat tutaj?

– A czemu ni? – Ramiona Starego Jana wznoszą się i opadają, a pomarszczone oblicze rozciąga się w uśmiechu. – Tu

se wybroł, kłócił się nie bede.

– W sumie racja – zwracam się w stronę Jagody. – Pozwoli pan Stary Jan, że przedstawię. To nasza pensjonariuszka, pani Jagoda.

Stary Jan, nie wypuszczając z ust papierosa, uchyla czapki i lekko unosi chude siedzenie z ławeczki. Obserwuję rozpromienioną Jagodę, która niemal podskakuje w miejscu jak mała dziewczynka i właśnie mówi, że zawsze marzyła, aby przejechać się prawdziwym wozem. W Krakowie na rynku też są, ale takie odpicowane to nie to samo... Wręcz nie mogę uwierzyć, że to ta sama kobieta, która przed niespełną godziną szlochała w zaroślach z powodu nieudanego małżeństwa. I kolejny raz zadaję sobie dwa pytania: co ona bierze i jak daleko mogłaby się posunąć, aby okazać miłość do swojego opalonego chłoptasia?

– A może pan Stary Jan przewiezie Jagodę do wsi i z powrotem? – Proponuję impulsywnie, gdyż to wydaje się jedynym sposobem, aby pozbyć się nowej przyjaciółki. Romeo podnosi głowę i zerka w moją stronę znacząco. – Oczywiście, jak już sobie koń odpocznie...

– Czemu ni? – Stary Jan wzrusza ramionami, splota niedopałkiem do kartonowego pudełeczka, po czym wsuwa na jego miejsce kolejnego papierosa. – Ino jeszcze chwilę może zejść...

– Nie szkodzi! – Rozpromieniona Jagoda już gramoli się na wóz, zajmuje miejsce na ławeczce i wyciąga do mnie dłoń.

– O, nie! Ja nie mogę... – Pospiesznie cofam się o kilka kroków. – Mam jeszcze coś do zrobienia.

– No, nie! Kalina, nie wygłupiaj się! Zapomniałaś? Stanowimy teraz drużynę! Kalina Malina, patrz jak super brzmi! Musisz jechać ze mną... poza tym, nie możesz puścić mnie

samej! – Mruży oko. – Mogłoby się coś po drodze stać... a ty za mnie odpowiadasz!

Chcąc nie chcąc – wspinam się na wóz i niedbale przysiadam na jakimś worku. Jagoda opromienia mnie serdecznym uśmiechem i papla do Starego Jana na temat pogody, piękna wiejskich krajobrazów i urody Romea. Woźnica spogląda na mnie przez ramię z niewyraźną miną, więc wzruszam ramionami na znak, że nie wiem, kto ją tak nakręcił i czym. Jagoda pyta Starego Jana, czy znał tę kobietę, która została zrzucona ze skarpy... Na szczęście w tym samym momencie Romeo dochodzi do wniosku, że odpoczął już wystarczająco i szarpie wozem. Ruszamy, Jagoda przerzuca się na temat przejażdżki, a my ze Starym Janem wymownie milczymy. Zresztą najwyraźniej i tak nie ma szans, żeby żona Marcina Maliny dopuściła nas do głosu.

Wycieczka jest naprawdę przyjemna. Na krótką chwilę udaje mi się nawet zapomnieć o tych wszystkich tarapatach, które przywiodły mnie do dworku, a następnie zatrzymały w nim. Nie myślę o Waldemarze, oskarżeniach jego żony, Marku, nie myślę o przyszłości Młynka ani o tym, że prawdopodobnie już dziś będę zmuszona postawić ukochanego przed faktem dokonanym i poinformować go o przygarnięciu bezdomnego zwierzęcia. Rozkoszuję się przejażdżką i nie myślę nawet o tym, że najwyraźniej do listy potencjalnych zabójców biznesmena muszę dopisać jego własną synową.

Romeo wzbija tumany żółtawego kurzu, w naszych

włosach tańczy wiatr... to znaczy moich i Jagody, bo Stary Jan okazuje się pod czapką łysy jak kolano. Oddaliśmy się już kawałek od dworku, gdy za nami rozlega się donośne szczekanie i po chwili dogania nas Młynek. Początkowo obawiam się o niego, trzyma się jednak w rozsądnym oddaleniu od wozu, równa się z Romeem i biegnie ścierniskiem, oglądając się na nas co parę kroków! Śmiejemy się z jego powiewających uszu i radosnego pyska, Jagoda wyrzuca ramiona w górę, jakby jechała wagonikiem kolejki górskiej. Mam nadzieję, że zaraz nie zleci i nie skręci karku, bo drugi zgon w rodzinie Malinów – i to w moim osobistym towarzystwie – już raczej bez konsekwencji nie przejdzie.

Przed krzyżówkami Romeo zwalnia, Stary Jan wykrzykuje gromkie „hetta”, macha gdzieś nad głową Jagody batem z czerwonym pomponem i skręcamy w prawo. Wolno przetaczamy się przez centrum wsi, wykręcamy na placyku przed kościołem i ruszamy w drogę powrotną. Gdy mijamy supermarket, okazuje się, że „kuniowi chce się pić”. Jagoda zeskakuje na drogę i rozmasowuje pośladki.

- Wspaniała przygoda, tylko pupa...
- Za to będzie jędrna – pocieszam ją.
- Wiesz... nie pamiętam, kiedy się tak dobrze bawiłam.

Dawno się tyle nie śmiałam. To chyba reakcja na to, co powiedział mi dzisiaj Marcin... Pewnie myślisz, że jestem szalona!

– No coś ty! – zaprzeczam gorąco, choć zgoła odmienne myśli kołaczą mi w głowie. Widzę, że Stary Jan wychodzi już ze sklepu z butelką kryniczanki. Czuję, jak zaschło mi w gardle. – Kurczę, nie mam pieniędzy, a tak chce mi się pić...

- Ja też nie mam – krzywi się Jagoda.

Słyszając naszą wymianę zdań, Stary Jan parska śmiechem.

– Na zeszyt nich panienka biere.
– Jak to?
– Normalni. Nigdy panienka na kryche nie brała?
– Ale ja pani Krychy nie znam...
– Ha ha ha! Ale panienkę wszytcy znają, to z kredytem problemu nie bedzi.

– Hm, na kredyt pan Stary Jan mówi? Ale to tak głupio jakoś...

– Teraz wszyscy na kredyt bierą, życie cinżkie. Niech się panienka nie kryzuje, ino flaszkę z półki weźmie i powie sklepowej, że jutro zapłaci. Ja bym panienom chętni postawił, ino w pularysie już dno widać, moja stara kiesę trzymo krótko. Poza tym, jak stawiać, to porządną flaszkę, a nie takie byle co. Nawet bombelki słabe kasik.

Zgodnie z sugestią Starego Jana ruszamy między regały i znajdujemy butelki z wodą mineralną. Kładziemy je przed wyraźnie znudzoną ekspedientką i wstydliwie dukamy, że pieniędzy przy sobie nie mamy i jeśli nie stanowi to problemu, chciałybyśmy zapłacić w późniejszym terminie.

– Oczywiście jeśli pani Krycha pozwoli – dodaję na wszelki wypadek, bo wydaje mi się, że ładniej będzie zapytać o zgodę. Biznes to biznes, nie jesteśmy miejscowe, zatem właścicielka może mieć wątpliwości, czy warto nam udzielić świadczenia kredytowego.

Na szczęście okazuje się, że pani za ladą nie widzi żadnych przeciwwskazań, aby udzielić nam kredytu w wysokości złotych i dwudziestu groszy. Co prawda rzuca nam nieco zagadkowe spojrzenie, ale ostatecznie sięga do szuflady i wydobywa mocno sfatygowany zeszyt. Otwiera brulion na czystej stronie i chwyta długopis zatknięty w kieszonkę zielonego fartuszka.

– Nazwisko? – pyta, więc posłusznie dyktujemy nasze dane, włącznie z adresami zamieszkania i numerami komórek. Na koniec solennie obiecujemy zwrócić dług w najbliższym czasie, pożyczamy otwieracz i zapewniamy, że za chwilę oddamy opróżnione butelki.

Siedząc na ławce, osuszamy mineralną i wspominamy czasy dzieciństwa oraz smak oranżady. Jednogłośnie stwierdzamy, że biała była najlepsza, czerwona wcale nie gorsza, a ta w woreczku po prostu niezwykła. Stary Jan, który wypił już swoją wodę i teraz pali papierosa, zaśmiewa się z naszych dysput, a Romeo powoli przesuwa się z wozem wzdłuż ulicy, ogałając kolejne kwiatki wyglądające spomiędzy sztachet płotów. W końcu zarzuca grzywą i rzy radośnie, na co jego opiekun chowa niedopałek i zerka na zegarek na szerokim, popękany pasku z brązowej skóry.

– No, możemy jechać nazad. Kuń już się napił.

Mam właśnie zapytać, kiedy i jak, ale moją uwagę odciąga wibrowanie komórki w kieszeni szortów. Wyjmuję ją i zerkam na wyświetlacz: Marek!

– Gdzie ty się podziewasz, hrabianko?

– Żadne stęskniłem się za tobą? – mówię rozczarowana.

– Stęskniłem się za chwilą, w której nie pakujesz się w kłopoty. Jest tutaj policja. Mówią, że muszą koniecznie przeszukać nasz pokój.

Rozdział 13

Czasami mówi się: ruszył jak koń z kopyta. Wcześniej nie miałam pojęcia, jak to w rzeczywistości wygląda, ale teraz wiem, aż za dobrze. Gdy tylko Stary Jan usłyszał, że do posiadłości przybyła policja, która najwyraźniej zamierza zaarrestować jego „ulubioną panienkę”, obwieścił, że trzeba wracać nazad, wskoczył na wóz, świsnął z bata i zawołał „wio”! Wóz potoczył się uliczką z głośnym turkotem. Patrzyłyśmy za nim jak oczarowane, osłaniając dłonią oczy i dopiero w ostatniej chwili zreflektowałyśmy się, że chyba powinnyśmy były wsiąść! Stary Jan tak poważnie zaangażował się w pomaganie panience,

że o niej samej zapomniał!

Rzucamy się w pogoń za wozem z głośnym okrzykiem na ustach i rozwianym włosom.

Na szczęście kilkaset metrów dalej Romeo dochodzi do wniosku, że dość już tych ludzkich rządów, zwalnia, a następnie zatrzymuje się na poboczu, skubiąc trawę. Zziajane dopadamy do wozu i zaczynamy się nań gramolić, a Stary Jan otwiera szeroko usta i oczy, drapiąc się po łysej głowie wyglądającej spod czapki.

– Niech się panienska nie boi. My panienki żywcm wziąć nie domy – mówi w końcu. – Jak trza bendzie, to i po widły się skoczy na stajanie.

– Dzię-dziękuję! – sapię, opadając na worek. Jagoda kuca obok mnie i wachluje zaczerwienioną twarz brzegiem luźnej bluzki. Uśmiecha się promiennie.

– Kalina, z tobą to jest prawdziwa przygoda. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak znakomicie się bawiłam. Wiem, po prostu wiem, że w Krakowie zostaniemy przyjaciółkami.

Kiwam głową, przyglądając się jej z namysłem. Pewnie, czemu nie? Możemy być przyjaciółkami, z moim talentem do pakowania się w kłopoty Jagoda nigdy przenigdy nie będzie się już nudzić. Oczywiście nasza przyjaźń będzie możliwa tylko pod warunkiem, że maszyna losująca mająca za zadanie wytypować oprawcę Waldemara Maliny nie wskaże czerwoną strzałką właśnie na jego synową. Miałam już propozycję siania paczek do kryminału i dziękuję, nie skorzystam.

Mijamy bramę parku i wtaczamy się na wyboisty podjazd. Oglądam się przez ramię, by skontrolować, gdzie jest Młynek. Zziajane i szczęśliwe psisko biegnie za wozem z rozwianym futrem i wyciągniętym w całej okazałości różowym jęczorem. W pewnej chwili skręca i znika w zaroślach parku, co kwituję

westchnieniem ulgi. Dość, że muszę uporać się z absurdalnymi żadaniami policji, nie mam teraz czasu chować Młynka po kątach.

Furmanka zatrzymuje się przed schodami, Romeo obwieszcza nasze przybycie głośnym rzeniem. Z uchylonych drzwi wyłania się Marek, jego zacięta mina mówi mi, że wpadłam w poważne tarapaty. Policja to doprawdy pikuś przy moim osobistym detektywie.

– Ale dlaczego policja chce przeszukać nasz pokój? – pytam bez wstępu.

– Mnie o to pytasz? – Patrzy na mnie srogo, ale widząc moją cokolwiek nieszczęśliwą minę, łagodnieje i ściska mi dłoń.
– Nie chcą nic powiedzieć, czekają na ciebie na górze.

– Przecież Karol Broszko już przeszukał pokój, jeszcze zanim przyjechałeś. Może doszli do wniosku, że zrobił to niedokładnie? Od początku byli do niego uprzedzeni! – szepczę do Marka, kiedy wspinamy się po schodach.

– Być może. – Marek kiwa głową, ale jego zafrasowana mina mówi mi, że nie jest przekonany. Co rusz zerka na wyświetlacz smartfona. Nagle w mojej głowie zapala się czerwone światełko.

– Marek? Ty chyba nie myślisz, że ja to zrobiłam, prawda?

– Żartujesz sobie ze mnie? – Jego spojrzenie lodowacieje. – Przypominam ci, że sypiamy w jednym łóżku. Myślisz, że zaryzykowałbym noc u boku potencjalnej morderczynie?

– I to nie ty sprowadziłeś tutaj policję? Podczas nocnej łazienkowej rozmowy na przykład?

– Kalina! – Marek zatrzymuje się i gwałtownie łapie mnie za ramiona. Przez chwilę patrzy prosto w moje oczy. – Zastanów się, co ty pleciesz!

– Ale rozmawiałeś z kimś wczoraj przez telefon...

– Koniec tematu! – cedzi lodowato i popycha mnie w kierunku pokoju.

Przed drzwiami naszej sypialni stoi dwóch policjantów. Jedno spojrzenie rzucone w ich stronę mówi mi, że nie będzie łatwo. Pierwszy ma wygląd typowego cwaniaczka, patrzy na nas lekceważąco i ciamka coś w ustach. Mam ochotę powiedzieć na ten temat kilka słów, ale to chyba nie jest odpowiedni moment na lekcję dobrego wychowania. Drugi zdaje się w ogóle nie zwracać na nas uwagi, ale kiedy podchodzę i podaję rękę na powitanie, okazuje się, że to właśnie on ma najwięcej do gadania:

– Pani Kalina Radecka, tak? Przeszukamy teraz pokoik.

– Przeszukujcie wszystko, pokoik, łazieneczkę, a nawet szafeczkę.

Ciamkający parska śmiechem, ale drugi policjant najwyraźniej nie poznał się na ironii. Sztywniak! Pan Poważny, niech to szlag! Za jego plecami Marek przewraca oczami i mam dziwne wrażenie, że bynajmniej nie chodzi mu o podejście stróża prawa. Posyłam mu jadowite spojrzenie, proszę, jak to trzyma sztamę z kolegami po fachu! Nie zapomniał pies, jak szczeniędziem był, czy jakoś tak to szło...

Policjanci rozpoczynają przeszukanie. Stoimy z Markiem pod ścianą i obserwujemy ich ruchy. Kiedy Ciamkający klęka na jedno kolano i nurkuje głową pod łóżko, nie mogę pozbyć się wrażenia *déjà vu*, wszak Karol Broszko dokonywał identycznego przeszukania zaledwie kilka dni temu. Na szczęście w pokoju znajduje się niewiele sprzętów, więc rewizja zajmuje stróżom prawa nie więcej niż kwadrans. W końcu stają na środku pokoju i rozglądają się wokół siebie, jakby upewniając się, że należycie wykonali swoją pracę. Zerkam na Marka, na którego twarzy odbija się wyraz ulgi. No, pięknie! On naprawdę

obawiał się, że policja znajdzie coś w naszym pokoju? Tak słabo mnie zna?

Okazuje się jednak, że Mareczek zna mnie, jak mało kto. Lepiej niż moja własna matka, lepiej nawet niż ja sama... Bo kiedy Ciamkający unosi do czoła dwa palce w zabawnym geście pożegnania, a ja planuję zwrócić się w kierunku osobistego detektywa ze słusznymi wymówkami, ten Poważny uśmiecha się znacząco i podchodzi do stojącego w kącie pieca.

– Jeszcze tutaj nie sprawdziliśmy – mamrocze do kolegi.

W tej samej chwili uświadamiam sobie swój błąd. Sądziłam, że policja nie znajdzie tutaj niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby obciążyć mnie w kwestii śmierci Waldemara Maliny. Jestem przecież niewinna, więc to chyba logiczne! Jednak widząc w ręku zadowolonego policjanta słoik z uzbieranymi nad strumieniem jagodami, muszę przyznać, że uwielbiam pchać palce między drzwi. Marek najwyraźniej podziela moje zdanie, ponieważ bez słowa uderza się dłonią w czoło w geście rezygnacji.

Gromadzimy się w bibliotece, którą przestraszona pani Eliza oddała do dyspozycji policjantów. Siadam na podsuniętym krześle, Marek, który w żadnym razie nie zgodził się mnie zostawić, staje tuż za mną i kładzie dłonie na moich ramionach. Ciamkający wydobywa z ust strzępek gumy do żucia i pstryka nią w kierunku kosza na śmieci. Odprowadzam ją zafascynowanym spojrzeniem, po czym skupiam się na Poważnym. Który właśnie straszy mnie, że prokurator został

powiadomiony na okoliczność nowego znaleziska.

– I bardzo dobrze – wzruszam ramionami – może okaże się rozsądniejszy od panów...

– Proszę sobie nie żartować. To bardzo poważna sprawa. W piecu zlokalizowanym w pani pokoju znaleziono słoik z podejrzaną zawartością. Czy wie pani, skąd wziął się tam ten słoik?

– Oczywiście, że wiem. Sama go tam włożyłam!

– Doprawdy? Przyznaje pani to tak łatwo?

– Przecież to nic trudnego!

– Droga pani! Ekspertyza wykaże, czy tymi jagodami otruto Waldemara Malinę...

– Ależ ja właśnie na to liczyłam!!!

– Na otrucie?!

– Skąd, na ekspertyzę!

– Skąd wzięła pani te jagody?

– Zerwałam nad strumieniem.

– Dla kogo przeznaczona była trucizna?

– Dla Karola Broszko.

– Proszę? Chciała pani zamordować policjanta!

– Nie! – reflektuję się, że palnęłam głupstwo. – Chciałam przekazać słoik panu komisarzowi, żeby dokonał ekspertyzy i wykazał, czy to właśnie takimi jagodami zamordowano pana Malinę.

– I dlaczego pani ich nie przekazała?

– Ponieważ komisarz jeszcze się nie zjawił. Ale dzwoniłam do niego rano i poinformowałam, że..

– ...że ma pani trujące jagody, które własnoręcznie zerwała?

– Mniej więcej – mamroczę.

– Cóż w świetle nowych dowodów, będziemy zmuszeni panią zatrzymać...

– Panowie, przecież to się kupy nie trzyma – wtrąca Marek. Zerkam przez ramię i widzę, jak mocno zacisnął szczęki.

– Kolego, był pan doświadczonym policjantem i z pewnością wie, że to konieczne.

– Zapewniam, że moja narzeczona nikogo nie zamordowała, a ten kto to insynuuje, najwyraźniej sam ma coś do ukrycia.

– O tym zdecyduje prokurator.

– Prokurator nie pofatygował się nawet, żeby porządnie przesłuchać tych ludzi. – Marek puszcza krzesło, nachyla się nad biurkiem i zbliża twarz do poważnego oblicza policjanta. – Nie wie, że stary Malina był winien państwu Krauze niemal trzysta tysięcy złotych. Nie wie, że syn nienawidził ojca od wczesnego dzieciństwa, ponieważ ten nim pomiatał na każdym kroku. – Wpatruję się w Marka, jak zaczarowana. Kiedy udało mu się zdobyć te wszystkie informacje? Ja rozmawiam z ludźmi, a on o wszystkim wie. Zaraz pomyślę, że zamontował mi podsłuch! Dyskretnie zerkam za dekolt, a tymczasem mój detektyw kontynuuje. – Nie wie także, że synowa denata tak bardzo kocha swego męża, że dla niego byłaby w stanie zamordować dosłownie każdego. Że sekretarka miała wkrótce stracić pracę, ponieważ Malina dowiedział się o jej romansie ze swoim synem.

– I że stary Malina nie potrafił zaspokoić seksualnie swojej żony! – wtrącam szybko, bo nie mogę pozwolić, by uwaga policji została odciągnięta od Diany.

– Poważnie? – interesuje się Ciamkający.

– Najpoważniej poważnie! – Kiwam głową. Marek macha na mnie, jakby odpędzał się od komara.

– Co pan na to? Jak w konfrontacji z tymi wszystkimi faktami wygląda pana żaloszny słoiczek z jagodami?

– No, wie pan, kolego... – Poważny kręci głową. – Dla

mnie sobie może wyglądać, ale prokurator wydał jasne dyspozycje. Nic nie poradzę. Wpłynęła informacja, że w pokoju pani Kaliny Radeckiej znajdują się obciążające dowody.

– Aha, czyli donos. – Marek kiwa głową ze znaczącym uśmiechem.

– A skąd ten ktoś wiedział, co znajduje się w moim pokoju?

– Krzyżuję ramiona na piersi i spoglądam na policjanta ironicznie.

– A tego to ja nie wiem. Wiem za to, że musimy dokonać zatrzymania. Pan – patrzy na Marka – drogi kolego, musi zachować spokój. Inaczej – uśmiecha się do mnie promiennie – założymy tej pani kajdaneczki!

– Spokojnie, Kalina. Załatwię to.

– Jestem spokojna – mówię. – Przecież dobrze wiem, że Waldemara Maliny nie tknęłam jednym palcem. Przynajmniej póki żył.

Wychodzimy z biblioteki i zmierzamy do wyjścia. Przez okno widzę dyskretny, srebrny samochód zaparkowany przed budynkiem. Kiedy zajechaliśmy przed dworek furmanką, byłam tak podekscytowana, że nawet go nie zauważyłam, za to teraz muszę przyznać, że pojedę do aresztu z fasonem. Mam nadzieję, że skoro policja dysponuje tak ładnymi autami, nie będą mnie karmić chlebem i kranówką. Liczę co najmniej na gazowaną wodę mineralną, standardy trzeba trzymać.

Też się wpakowałam! Co mnie podkusiło, żeby zawozić Natalkę do Kamionek? Trzeba było jednak odstawić ją na komisariat. I tak nie uniknęłam spotkania z policją, wpadłam z deszczu pod rynnę! I sądząc po minie Marka, będę mieć solidnie zmytą głowę. Czy mój kochany detektyw poczeka, aż wyjdę na wolność, czy jednak dojdzie do wniosku, że znajomość z kryminalistką godzi w jego dobre imię i tym samym interesy?

Zauważam, że w hallu zgromadził się pokaźny tłumek. Cała rodzina Malinów, Nina Krauze z mężem, a także pani Eliza z przestraszoną Szparką i wojowniczo podparta pod boki Nadzieja. Zastanawiam się właśnie, czy kucharka ma na podorędziu swój słynny wałek, kiedy Diana występuje przed szereg i wskazuje na mnie palcem.

– Wiedziałam, że doczekam tej chwili... sprawiedliwości stanie się zadość! – szepcze w moją stronę.

– Chyba w twoim śnie! – odszeptuję. Muszę wykorzystać całe zgromadzone pokłady silnej woli, ponieważ właśnie uświadamiam sobie, że to Diana widziała mnie na schodach ze słoikiem i z pewnością właśnie to miała na myśli podczas kolacji, twierdząc, że tę sprawę trzeba załatwić do końca. Mam ochotę zrobić jej krzywdę, tylko nie potrafię zdecydować, czy lepiej kopnąć ją w kostkę czy pociągnąć za natapirowaną grzywkę. Poza tym chyba nie wypadnę dobrze w oczach stróżów prawa, jeśli znokautuję wdowę po mężczyźnie, którego rzekomo ukatrupiłam? Uśmiecham się więc promiennie i kiwam głową w stronę jej stóp. – Ładne buty! Lepiej patrz pod nogi!

Diana wygląda tak, jakby miała ochotę się na mnie rzucić, ale zastyga w dziwacznej pozycji na jednej nodze. W tej samej chwili rozlega się znajome skrobanie, po czym drzwi dworku uchylają się, a w nich ukazuje się ubłocony Młynek. Uwaga zgromadzonych skupia się na czworonogu.

– Co jest, do diabła? – Marek marszczy brwi.

Tymczasem pies przez chwilę tkwi w progu, jakby badając sytuację i zastanawiając się, czy zaszczyć nas swoją obecnością. Uważnie przygląda się zgromadzonym. Na widok Szparki radośnie macha ogonem, kiedy jego oczy zatrzymują się na Nadziei, głośno się oblizuje. Na koniec spogląda w moją stronę i rusza energicznym truchtem z głośnym szczeknięciem.

Gdy mija Dianę, zarzuca zadkiem, przechodząc w swój charakterystyczny sposób okazywania radości, i kręci młynka, zbijając ją z nóg. Wdowa po Waldemarze z trudem łapie równowagę, w ostatniej chwili usiłuje kopnąć wesoło kręcące się zwierzę.

– Ty... ty... rybi flaku! Ja ci zaraz kopnę mojego psa! – wrzeszczę, wyrywając się Poważnemu i wymierzając cios z pięści w pełne usta madame Maliny. Diana pada na ścianę z głośnym okrzykiem, a policjanci łapią mnie za ramiona i odciągają.

W tej samej chwili w progu dworku staje postać karykaturalnie owinięta szarym prochowcem. Komisarz Karol Broszko podkreca węża i mówi opanowanym tonem:

– Stop. Proszę w tej chwili puścić panią Kalinę. Ona nie odpowiada za śmierć pana Waldemara Maliny!

– Jak to nie? – chlipie Diana, której monstrualnym ustom za sprawą mojego uderzenia właśnie doszło w rozmiarze kilka iksów. – Wobec tego, kto?

Karol Broszko uśmiecha się z wyższością.

– Pani. Nikt inny, tylko pani!

Rozdział 14

– Pana przypuszczenia są niedorzeczne. – Diana Malina zajmuje miejsce na kanapie i w obronnym geście krzyżuje ramiona na wydatnym biuście, dzięki czemu ten robi się jeszcze wydatniejszy. Nie wiem, czy to przypadek, czy celowe zagranie, niemniej Ciamkający, któremu w udziale przyszło wspomagać teatralnie słaniającą się na nogach gwiazdę, przystaje z rozdziawionymi ustami. Dzięki temu możemy zauważyć, że ponownie sięgnął po gumę do żucia. – Nie miałam z tym nic wspólnego!

Biblioteka powoli zapełnia się uczestnikami

wcześniejszego zdarzenia. Zajmuję to samo miejsce, co podczas przesłuchania. Marek staje za moimi plecami, pani Eliza przysuwa sobie krzesło tuż obok, tak że nieomal stykamy się ramionami. Na tym samym krzeselku na jednym półdupku przysiada Szparka. Członkowie rodziny Malinów i państwo Krauze rozsiadają się na kanapach i krzesłach, trzymają się z daleka od zdenerwowanej Diany, więc miejsca obok niej zajmują Poważny i Ciamkający. Obrazu dopełnia Nadzieja, która z wojowniczo skrzyżowanymi na piersi rękoma i zaciętą miną broni dostępu do drzwi. Być może obawia się, że potencjalna morderczyni mogłaby zbiec z krwiożerczym okrzykiem, pozostawiając za sobą strzępki blond fryzury i sztuczne rzęsy? Tuż przy mojej lewej pięcie spoczywa Młynek, który nic nie robiąc sobie z powagi sytuacji, przechodzi do psiej toalety. Jego futro pozostawiło na parkiecie smugi błota. Oglądam się na Marka, ale ten wcale na mnie nie patrzy, tylko ponurym spojrzeniem wpatruje się w psa. Przechodzą mnie ciarki, chyba będę zmuszona popracować nad ich relacjami...

Póki co muszę skupić się na osobie komisarza, który zacisnąwszy mocno pasek szarego prochowca i podkręciwszy wąsa, kładzie na blacie biurka czarny neseser i odwraca się do Diany z dobrotliwym uśmiechem.

– Nie? A jednak na słoiku wydobyтым z parkowych zarośli znajdowały się pani odciski palców! Owszem, starała się je pani wytrzeć, ale niedokładnie! Zapomniała pani bowiem o nakrętce!

Przez zgromadzonych w pokoju ludzi przebiega ponury pomruk. Pobladła Diana wpatruje się w komisarza z niedowierzaniem. Przez chwilę mam wrażenie, że zaprzeczy i zacznie się z policjantem kłócić, ale nic takiego nie następuje. Wdowa po Waldemarze, wielka gwiazda muzyki disco polo kurczy się w sobie i zapada w kanapę. W końcu spogląda na

komisarza żalonym spojrzeniem.

– To prawda, wyrzuciłam ten słoik w zarośla. Ale przysięgam, że nie zamordowałam Waldiego! Znalazłam te jagody zupełnie przypadkiem i stchórzyłam. Pan mówi, że jestem odpowiedzialna za śmierć Waldemara. To nieprawda! Ja go nie zabiłam!

– Droga pani, ja nie twierdzę, że pani go zabiła. Twierdzę jedynie, że jest pani za tę śmierć odpowiedzialna.

– To niedorzeczne...

– Czy rzeczywiście, pozostawiam to państwa ocenie. – Karol Broszko robi teatralny zwrot i sięga po czarny neseser. Wszystkie szyje wyciągają się, aby dostrzec, co też może się w nim kryć. Kiedy zauważam, że to komputer przenośny, uśmiecham się pod nosem. Czekam, aż z pomocą odnalezionego laptopa Karol Broszko raz a porządnie oczyści moje dobre imię. Bądź co bądź musicie przyznać, że imię mam niczego sobie. Nawet jeśli niektórym kojarzy się z krzaczkami, to lepiej niech się kojarzy z *tyimi* krzaczkami, a nie z kobietą, która za pomocą jagód z *tamtego* krzaczka uśmierciła biznesmena despotę!

Jednakże komisarzowi wyraźnie się nie spieszy. Uruchamia komputer i odstawia go na bok, po czym zaczyna przechadzać się po bibliotece z dłońmi splecionymi na plecach. Śledzą go zafascynowane, głodne szczegółów spojrzenia, a on wydaje się tym doskonale bawić. I w tej właśnie chwili z zakamarków pamięci powracają do mnie te wszystkie przeczytane powieści Christie, w których detektyw na koniec gromadził uczestników wydarzeń w bibliotekach, salonikach tudzież innych pomieszczeniach wiktoriańskich posiadłości i roztaczał przed nimi pełen obraz dokonanej zbrodni. Zatem ponownie mamy na miejscu własnego Herkulesa.

Tymczasem detektyw przystaje pośrodku pomieszczenia,

wodzi wzrokiem po wszystkich zgromadzonych i przechodzi do objaśnień:

– Powiedziałem, że jest pani odpowiedzialna za śmierć Waldemara Maliny i według mnie jest to najszczerzą prawdą. Ale zanim objaśnię, jak doszło do tego nieszczęśliwego zgonu, cofnę się o kilka lat, gdy to młoda, początkująca gwiazdka disco polo poznała podczas firmowego występu wpływowego producenta papieru toaletowego. Zakochała się bez pamięci, a ponieważ miłość okazała się obustronna, wkrótce przyjęła uroczyste oświadczyzny. Nie przeszkadzało jej, że mąż jest starszy o ponad dwadzieścia lat, wszak mówi się, że miłość nie zna wieku. Nie przeszkadzało jej nawet to, że będzie drugą z kolei panią Malinową, ani to, że w dorobku przyszłego męża znajduje się dorosły syn... Tymczasem nasz biznesmen, który, owszem, miał serce do swojej nowej żony, ale jeszcze większe dla zgromadzonego majątku, okazał się zapobiegliwy i podsunął zakochanej wybrance intercyzę. Nasza gwiazdka intercyzę podpisała, ale po czasie zaczęła tego żałować. Posmakowała wielkiego świata... koncerty, wywiady, remizy, ba, nawet udział w programie telewizyjnym... a codzienność ze zmęczonym życiem Waldemarem nie była kolorowa. Gdyby choć można była uszczknąć coś z wielkiego majątku, jednak podpis na dokumencie dawno już wysechł, gumka do mazania nie zadziałała, a Waldemar stawał się coraz oszczędniejszy... Co prawda jeszcze nie szczędził środków na operacje plastyczne i wizyty w salonach odnowy biologicznej, jednak coraz surowszym wzrokiem patrzył na wydatki swej ukochanej.

W tej chwili wszystkie spojrzenia przenoszą się na Dianę, jakby chcąc ocenić efekty wizyt w ekskluzywnych salonach i klinikach chirurgii estetycznej, gdzie poprawia się Pana Boga i urodę. Kobieta ponownie krzyżuje ramiona na piersi,

demonstrując, że chirurg plastyczny niemało uszczknął z konta państwa Malinów. Karol Broszko chrząka znacząco i uwaga ponownie skupia się na osobie detektywa w prochowcu.

– Nasza gwiazda doszła do wniosku, że jedynym sposobem, by raz a dobrze dobrać się do pieniędzy męża, okaże się dziecko. Wówczas mogłaby wystąpić o rozwód, żyć z wysokich alimentów i czekać, aż pewnego dnia część imperium zbudowanego na artykułach zdatnych przy toalecie tylnych partii ciała przypadnie jej potomkowi. Zaczęła więc wprowadzać swój plan w życie, jednak okazało się, że począc dziecka nie może. Czy to stresy związane z interesami, które w tym czasie mocno podupadały, czy zdrowie – nie wiem, jednak faktem pozostaje, że pan Waldemar nie potrafił dać dziecka swojej żonie – w tej chwili Nadzieja chrumka znacząco, wszak biznesmen zwierzył się jej niegdyś, dlaczego ma problem z pożyciem. Karol Broszko posyła jej karcące spojrzenie. To przecież jego przemówienie, jego chwila triumfu i nie życzy sobie w niej kuchennych rewolucji. – A żona, której bardzo ale to bardzo na dziecku zależało, choć nie z tych pobudek, o jakich myślał pan Malina, bardzo naciskała... – kończy, zawieszając teatralnie głos.

– I co dalej? – dopytuje Ciamkający. – Niechże pan nie przerywa.

– To ja będę decydował, kiedy będzie przerywane! Ale w porządku... Nasz drogi pan Malina był osobą dość despotyczną i chytrą, niemniej swoją żonę kochał naprawdę i chciał sprostać jej żądaniom. Ponieważ nie czuł się już mężczyzną w pełni sił, zaczął szukać rozwiązań, które podniosą poziom satysfakcji podczas... hm, w sypialni. Był jednak mężczyzną zbyt dumnym, by udać się do specjalisty i preferował inne dziwne źródła informacji. Kontaktował się z osobami, które uznawane są za zielarzy i uzdrowicieli, próbował tego nawet

z naszą tutejszą *czarownicą*. – Karol Broszko wykonuje w powietrzu znak cudzysłowu i uśmiecha się krzywo. – Wszystko na próżno, nikt nie chciał mu pomóc, a jeśli już ktoś chciał, to wyciągał z niego grube pieniądze, a zadysponowane sposoby i tak nie dawały spodziewanych rezultatów. Tak, droga pani. – Komisarz spogląda na Dianę karcąco. – Pani nieposkromiony apetyt na... na... na pieniądze doprowadził Waldemara Malinę do zguby!

– Ale przecież ja go nie zamordowałam! To jakieś nieporozumienie!

Karol Broszko pomija okrzyk Diany wymownym milczeniem, podkręca wąża i przechodzi do dalszej części wywodu.

– W tym samym czasie Waldemar Malina zaczął poszukiwać rozwiązania swoich problemów w internecie. Pani Kalina – komisarz skłania mi się z lekkim uśmiechem – zdobyła informacje, jakoby biznesmen konsultował swój przypadek ze specjalistą znalezionym w komputerze. Niestety, od kilku dni bezskutecznie poszukiwaliśmy laptopa denata i nikt nie potrafił nam wskazać, gdzie się znajduje. Zachodziła obawa, że urządzenie zostało zatopione w studni, a to byłaby niepowetowana strata dla śledztwa. Postanowiliśmy to sprawdzić. – Karol Broszko kiwa głową z poważną miną. – Na szczęście okazało się, że ten, kto chciał ukryć przed nami komputer Waldemara Maliny, popełnił wielki błąd! Na terenie parku znajdują się bowiem dwie studnie! Z jednej pobierana jest woda, a druga... jest wykorzystywana w charakterze kompostownika! Najwyraźniej osoba, która wrzuciła komputer do studni, działała w ciemnościach i nie zauważyła, że upadł on po prostu na stertę liści i odpadków! Działa bez zarzutu, dzięki czemu mogliśmy sprawdzić historię wyszukiwarki pana Maliny.

Dziś już wiemy, kim był lekarz, u którego pan Waldemar poszukiwał pomocy. To specjalista od setek, a nawet tysięcy przypadłości, lekarz, który w swej karierze przyjął najwięcej pacjentów... Swędzące wysypki, bóle w zgięciu łokcia, sposoby na wrzody i oczywiście nieodłączne problemy natury męskiej. Tak, proszę państwa, światły, wykształcony biznesmen, twórca pierwszego w naszym kraju papieru toaletowego aromatyzowanego papają i ananasem, konsultował swój przypadek z doktorem Google! – Karol Broszko obraca wyświetlacz laptopa w kierunku zgromadzonych.

W pokoju podnosi się zgiełk nie z tej ziemi. Diana wstaje z kanapy i obciąga kusą bluzeczkę.

– Pan uważa mojego męża za półgłówka?

– To moja sprawa, za kogo uważam pani męża, droga Diano! Faktem jednak pozostaje, że pan Waldemar trafił w sieci na stronę, gdzie wychwalano działanie pewnych jagód. Choć autor strony wyraźnie zaznaczył, że opisane owoce w naszym kraju nie rosną, pan Waldemar wciąż ich poszukiwał. Przemierzał okoliczne lasy i zagajniki, desperacko poszukując jagód, którym przypisano, nie wiadomo zresztą czy słusznie – wzniecanie męskich sił. Jak łatwo się domyślić, pewnego dnia natrafił na wyjątkowo podobne owoce i zaślepiony wiarą w ich cudowne działanie, zdecydował się spróbować. Nie wiedział, że trafił na pokrzyk, zwany również wilczą jagodą...

– I ot tak sobie je spożył? – Poważny spogląda na komisarza z powątpiewaniem.

– Tego nie wiem, tego nie wiem. Z pewnością spożył, ale czy ot tak? Wykazał się nie lada lekkomyślnością, sięgając po jagody nieznanego pochodzenia. Prawdopodobnie łudził się, że nawet jeśli owoce nie zadziałają, to i tak nie zrobią mu krzywdy. Lub skonsultował z kimś swój wybór, a ten ktoś zapewnił go, że

jagody są bezpieczne. Ktoś... – Karol Broszko opiera twarde spojrzenie na młodszym Malinie. – ...kto dysponował wiedzą. Medyczną na ten przykład.

Albo botaniczną na ten przykład, dopowiadam sobie w myśli, ale nie wyrażam tego głośno. Spoglądam w kierunku świeżo mianowanej przyjaciółki. Speszona Jagoda utkwiała wzrok w klepkach podłogi, nie patrzy nawet na męża, który tymczasem znajduje się pod obstrzałem spojrzeń wszystkich osób zgromadzonych w pokoju.

– To ty pozwoliłeś mu zjeść te cholerne jagody! – Diana Malina syczy w kierunku pasierba niczym rasowa żmija.

– Rzuciło ci się na te resztki mózgu, które posiadasz? Nie rozmawiał ze mną na temat żadnych jagód!

– Od początku wiedziałam, że maczałeś w tym palce! Chodziło ci o pieniądze...

– Przez ciebie umarł, zmusiłaś go, by sięgnął po takie środki!

Kłóć się, zarzucając sobie różne przewinienia względem ukochanego męża i tatusia, a tymczasem ja śmieję się pod nosem, ponieważ wcześniej *wiedziała*, że to ja. Ewentualnie on. Albo jeszcze ona. Zerkam w kierunku Karoliny, która siedzi przy oknie i wygląda na nieco oszołomioną. Wcale jej się nie dziwię, jeśli okaże się, że Marcin faktycznie podsunął ojcu jagody, z romantycznej miłości od czasów piaskownicy nic nie zostanie. Chyba że w przeciwieństwie do mnie Karolina gustuje w kratce i zamierza napychać więzienne paczki babeczkami z nadzieniem. Malinowym.

– Tak się sprawy mają, proszę państwa. Waldemar Malina, pragnąc sprostać oczekiwaniom seksualnym swojej żony, zdecydował się sięgnąć po trujące jagody. Zachował się jak nieopierzony sztubak, kierując się informacjami znalezionymi

w internecie. Ta chęć dogodzenia pani Dianie najwyraźniej rzuciła mu się na mózg, bo miał wyraźny problem z czytaniem ze zrozumieniem. Takich owoców nie ma w Polsce!

– Na pewno? – dopytuje Ciamkający.

– Na pewno!

– Kiedy widziałem się z ojcem ostatni raz – Marcin Malina przełyka głośno ślinę – był bardzo poruszony. Szczerze mówiąc, zachowywał się jak szaleniec...

– To możliwe. – Karol Broszko wzrusza ramionami. – Takie działania pokrzyku podaje Wiki... to znaczy Wiktor, nasz specjalista od zatruc.

– I to wszystko? – dopytuje rozczarowana pani Eliza. – Tyle gadania o morderstwie i podejrzanych, a sam to zjadł?

– Tak, pani Elizo, to już niemal wszystko.

Wydedukowałem – Karol Broszko zerka w kierunku Szparki z ważną miną i podkręca wąsa – że podczas jednego ze swoich spacerów pan Waldemar natrafił na krzak wilczej jagody. Zerwał owoce, a następnie spożył je w celu podniesienia swojej męskiej witalności. Dawka była na tyle duża, że po pewnym czasie zapadł w śpiączkę i zmarł. Pech chciał, że akurat w tym czasie w obroty zamierzała wziąć go pani Kalina. Tym samym stała się jedną z głównych podejrzanych. Jest jeszcze coś: przeglądając zawartość komputera pana Waldemara, natrafiłem na strony związane z jagodami. Zostały one uruchomione już po śmierci Maliny, co wskazuje, że co najmniej jedna osoba znała plany naszej ofiary. A następnie pozbyła się komputera, wrzucając go do studni! Pani Diana? Pan Marcin? Ktoś inny? Nie wiem. Wiem za to, że na słoik z resztką owoców natrafiła pani Diana, która nie chcąc być powiązana z tą historią, wyrzuciła naczynie w parku. Jagody znalazła pani Kalina – Karol Broszko posyła mi zmęczone spojrzenie – i zostawiła na słoiku swoje odciski

palców. Niestety, pani Kalina robiła wszystko, aby przyjąć winę na siebie, co udowodniła, zrywając pokrzyk w lesie!

– A skąd policja wiedziała o moich zbiorach, he? – dopytuję, posyłając rozdrażnione spojrzenia wszystkim przedstawicielom służb porządkowych znajdującym się w pokoju. – Przecież nie nakleiłam sobie na plecach okładki z książeczki *Na jagody*?

– Ale też pani nie ukrywała się z tym specjalnie... a pani Diana za wszelką cenę zamierzała znaleźć winnego.

– Wiedziałam, że to ty! – Posyłam gwieździe wrogie spojrzenie. – Czemuś się uparła właśnie na mnie?

– Od początku cię nie lubiłam. – Diana spogląda na mnie pogardliwie. – Waldi mówił o tobie z takim podziwem. – Wykrzywia usta i przedrzeźnia nieżyjącego męża. – Taka ładna, naturalna i jeszcze odważna, przestępców pogoniła. Też cię chciałam pogonić...

– Ja też cię nie lubię – mówię do niej i wskazuję palcem na Młynka, który w swych działaniach higienicznych przybrał postać skomplikowanego, rudego precla. – Jeszcze raz go dotknij, a osobiście nakarmię cię przeterminowaną kaszanką!

Poważny podnosi się z kanapy i łapie Dianę za łokieć.

– Czego pan ode mnie chce? – Wdowa usiłuje uciec przed jego uściskiem. – Przecież ten idiota sam zeżarł te jagody, ja go do tego nie namawiałam! Zostaw mnie, pan!

– Myślę, że musimy sobie wyjaśnić jeszcze parę rzeczy na komendzie. Miała pani dostęp do laptopa męża, usunęła pani truciznę, która pozbawiła go życia. Być może namówiła pani Waldemara Malinę do spożycia jagód nieznanego pochodzenia i ukryła przed policją ważny dowód w postaci komputera. – Poważny kiwa głową w kierunku Marcina Maliny. – To się tyczy także państwa, będzie lepiej, jeśli od razu złożycie

wyjaśnienia. Zapraszam.

Ciamkający ujmują wdowę po Waldemarze Malinie za drugi łokieć i ruszają do wyjścia. Obserwuję ich ze swojego miejsca i nie mogę pozbyć się wrażenia, że przypominają parę drużbów prowadzących do ołtarza postukującą obcasami pannę młodą. Diana usiłuje się oswobodzić, dobiega mnie jej piskliwy głosik.

– Przecież ja tylko chciałam, żeby miał ze mną dziecko...

Za policjantami prowadzącymi rozhisteryzowaną wdowę wychodzą pozostali członkowie rodziny i przyjaciele Waldemara Maliny, dalej nieco rozkojarzona pani Eliza i zarumieniona z emocji Szparka. Karol Broszko odchrząkuje i luzuje pasek płaszcza. Przedstawienie zakończone, można zdjąć kostium. Biedny komisarz, niewiele brakowało, aby ugotował się w swoim prochowcu, tak bardzo przejął się funkcją lokalnego detektywa!

Wychodzimy przed dworek, Marek obejmuje mnie ręką w pasie, a Młynek uderza ogonem w moje lewe kolano. Niespodziewanie podbiega Jagoda i mocno mnie obejmuje.

– Dziękuję za wspaniałe popołudnie! Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy... z tym, że chyba nie będę wolna zbyt szybko. Muszę im coś powiedzieć – mówi zrezygnowanym głosem. Oddaję jej uścisk i uśmiecham się słabo.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Policjanci prowadzą Dianę po schodach. Nagle wszyscy stają, jak wryci.

– Co to ma być? – pyta Poważny.

Obejmuje wzrokiem przestrzeń przed budynkiem, wraz z zaparkowaną furmanką i Romeem obskubującym rabatki. O wóz niedbale opiera się uzbrojony w widły Stary Jan, a na ławeczce siedzi wsparta o kopaczkę Młynarczykowa. Oboje

wpatrują się z natężeniem w stróżów prawa.

– Jak to co? – śmieję się. – Komitet pożegnalny!

Policjanci podejmują przemarsz w kierunku radiowozu. Kiedy mijają skubiącego trawę konia, Romeo lekko ciągnie wóz, nachyla się i szczypie Dianę w obleczony soczystozieloną spódnicą pośladek.

– Aaaaaaa!!! – wrzeszczy madame Malina, wyrrywając się swoim towarzyszom i masując obolałe miejsce, a następnie schylając się i zdejmując ze stopy pistacjową szpilkę. Przez chwilę trzyma ją uniesioną w ręku, jakby planowała rzucić nią w konia, jednak Poważny łapie ją za ramię i bezceremonialnie wpycha na tylne siedzenie. Szpilka upada na wysypany kamieniem podjazd, a Romeo odślania zębiska w radosnym uśmiechu.

Obserwujemy toczące się podjazdem samochodu.

– Chyba mamy do pogadania – zagajam do Marka surowo.

– Owszem – mówi chłodnym tonem pan detektyw, wpatrując się badawczo w Młynka. Pies odpowiada mu twardym spojrzeniem i zajmuje miejsce przy moim prawym boku. Czuję, jak coś ściska mnie w żołądku. A jeśli Marek nie zgodzi się na psa? Ja już przecież obiecałam Młynkowi dom...

– A więc masz na imię Młynek, tak? – Marek kuca przy psie, ujmuje jego pysk i obraca to w jedną to w drugą stronę, uważnie się przygląda. Czuję napływającą irytację. Nie wiedziałam, że z pana detektywa taki snob, będzie mi tu oceniał psie walory urody? Tymczasem Marek wzdycha głęboko

i spogląda na mnie pytająco. – I chcesz powiedzieć, że on był tutaj cały czas? W dworku?

– Poza tymi momentami, gdy go nie było – mówię kąśliwie.

– A dlaczego nie pokazał mi się do tej pory?

– Może mu się nie spodobałeś?

– Uhm. I jest twój, tak?

– No, z racji, że od pewnego czasu mieszkamy razem, to tak jakby nasz...

– Aha. – Marek prostuje się i spogląda mi w oczy. – A skąd wiesz, że ja w ogóle chciałbym mieć psa?

– Nie wiem – mówię po chwili namysłu. – Ale tylko spójrz na niego. Nie ma domu, jest taki biedny, porzucony... Poza tym śliczny i lojalny. Nie znam bardziej lojalnego samca niż Młynek.

– Ach, tak? – Marek uśmiecha się łobuzersko.

– Właśnie tak! Jeśli pozwolimy mu zamieszkać w naszym mieszkaniu, będziesz mógł się od niego sporo nauczyć!

– Ja?!

– Tak, właśnie ty. Jak ty w ogóle mogłeś podjąć się zlecenia od Diany!

– A kto tobie powiedział, że ja pracowałem dla Diany? – Śmieje się Marek, obejmując mnie ramieniem i prowadząc parkową alejką w kierunku bramy.

– A dla kogo? – Posyłam mu zaintrygowane spojrzenie.

– Dla ciebie!

– Dla mnie?

– Oczywiście, że tak! Wiedziałem, że nie odpuścisz, póki nie odkryjesz, kto naprawdę zamordował Waldemara Malinę, więc chciałem ci pomóc. Wiedziałem też, że ci ludzie nie będą ze mną rozmawiać, jeśli powiem, że zamierzam udowodnić twoją niewinność, więc przyjęcie zlecenia od wdowy okazało się najlepszą przykrywką!

– Och, ty spryciarzu! – Aż brakuje mi słów, więc tylko kręcę głową i uśmiecham się szeroko. Marek nie przestaje mnie zadziwiać. – I wiedziałeś o borówkach w piecu?

– Nie o borówkach, tylko o wilczej jagodzie. I z łaski swojej trzymaj się z dala od podobnych skarbów natury, dobra? Sama widziałaś, jak skończył nasz świątły biznesmen...

– Nadal nie potrafię w to uwierzyć. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ludzie wciąż leczą się w internecie?

– Hm, pewnie właśnie dlatego leczą się w internecie, ponieważ mamy dwudziesty pierwszy wiek. Przecież wcześniej nie bardzo mieli okazję... – Mój detektyw nie może powstrzymać się od drobnej złośliwości. Kiedy jednak widzi, że otwieram usta, by wyrazić swoją dezaprobatę dla tak jawnego czepialstwa, szybko wraca do neutralnych stwierdzeń. – Wydaje nam się, że technologia załatwi za nas wszystko, zastąpi nawet wizytę u lekarza.

– Ale skoro wiedziałaś, że trzymam w piecu trujące jagódki, dlaczego ich nie usunęłaś?

– Ponieważ uwielbiam oglądać twoją minę, gdy uświadamiasz sobie, że narobiłaś głupot!

– Marek! – warczę ostrzegawczo. Detektyw śmieje się serdecznie.

– Poza tym komisarz wcześniej do mnie zadzwonił i powiadomił o odkryciu w odnalezionym komputerze Maliny. Wydedukowaliśmy, że Malina zamierzał wspomagać się ludowymi sposobami i nieopatrznie zjadł pokrzyk. Pytanie, czy ktoś wiedział o jego planach...

Myślę o Jagodzie, której pasją jest botanika i która tak bardzo kocha swego męża. Czy gdyby przyszedł do niej teść i zapytał, czy zebrane owoce są bezpieczne, ostrzegłaby go przed ich zabójczą siłą, czy raczej pozwoliłaby mu je spożyć za

wszystkie krzywdy, jakich w przeszłości doznał od ojca jej ukochany? Nie mówię jednak Markowi o swoich wątpliwościach, dość zabawy w detektywa, przynajmniej na razie. Poza tym ze słów Jagody wynika, że zamierza zdradzić policji co nieco.

– Och, tak się zestresowałam, kiedy mnie przesłuchiwali. Nie mogłeś mi szepnąć, że komisarz już idzie z komputerem Maliny?!

– Nie. – Marek kręci głową, uśmiechając się szelmowsko. – Od czasu do czasu tobą również musi coś wstrząsnąć.

Stajemy w bramie, opieram się o betonowy słupek i obserwuję położone w dole wzgórza Kamionki. W naszą stronę sunie powoli czerwony samochód, Młynek przysiada na tylnych łapach i drapie się po lewym uchu. Śmieję się sama do siebie, bo cała ta historia z Waldemarem i jego męskimi siłami wydaje mi się czymś absurdalnym. Może podczas aplikowania maseczki zasnąłam w wannie i zaraz obudzi mnie dzwonek powracającego z tajemniczej misji Marka? Oglądam się na pana detektywa z pytającą miną.

– Pewnie wyda ci się to absurdalne, ale przez krótką chwilę miałam wrażenie, że to ty zawiadomiłeś policję o jagodach ukrytych w piecu. Przepraszam. Ale... Gdzie dzwoniłeś tak późno?

– Hm, jakby ci to powiedzieć... – Marek ściska mnie mocno za rękę. – Dzwoniłem do właściciela Młynka.

Wpatruję się oniemiała w jego twarz, a potem przenoszę spojrzenie na siedzącego u swoich stóp psa. Zwierzak wydaje się czymś poruszony, z napięciem wpatruje się w drogę. Podążam za jego spojrzeniem i obserwuję, jak czerwony samochód zatrzymuje się w niewielkim oddaleniu od bramy. Młynek unosi się z siadu, ale po chwili znów opada na tylne łapy. Drepcze

w miejscu i popiskuje, co rusz patrzy na mnie, jakby chciał zapytać, czy to prawda. Czy tym razem czerwony samochód rzeczywiście powrócił? W końcu drzwiczki otwierają się i na drogę wysiada młody mężczyzna. Tym razem Młynek nie ma wątpliwości. Obserwuję, jak biegnie w kierunku wozu, wzniesając tumany kurzu i radośnie popiskując. Marek obejmuje mnie ramieniem i cicho tłumaczy:

– Młynek to tak naprawdę Fado. Jego opiekun na żądanie żony wywiózł go z domu i zostawił przy drodze. Dręczyły go wyrzuty sumienia, wrócił tam po jakimś czasie, ale psa już nie znalazł. Był przygnębiony, zachowywał się dziwnie, zniknął na długie godziny, żona myślała, że ją zdradza i zatrudniła detektywa. A on po prostu szukał psa. – Marek śmieje się, ale bez cienia wesołości w głosie. – Później wynajął mnie, a ponieważ zostawił Fado kilkanaście kilometrów od Kamionek, kontynuowałem poszukiwania, równocześnie zajmując się sprawą Maliny. Ktoś widział psa we wsi, ktoś inny powiedział, że wpadł pod samochód i nie żyje... Tamtej nocy dzwoniłem, aby powiedzieć o tym klientowi.

– Wpadł pod samochód – mówię głucho, obserwując radosne powitanie zwierzęcia i człowieka – ale uratowała go miejscowa czarownica. Potrafi co nieco.

– Nie miałem pojęcia, że nie tylko przeżył, ale do tego znajduje się dosłownie pod moim bokiem – mówi z przekąsem – i ktoś go przede mną ukrywa!

– Przepraszam! – Całuję go leciutko. Przytuleni ruszamy w kierunku czerwonego samochodu. Młynek wyrywa się z objęć właściciela i podbiega w moją stronę, zatrzymuje się jednak w połowie drogi, ogląda niespokojnie to na młodego mężczyznę, to na mnie. Nie potrafi się zdecydować, do kogo podbiec, komu okazać swoje zainteresowanie. Macha kudłatym ogonem, robi

obroty, podrzuca rudym łebkiem. Szepczę do Marka, kręcąc głową z niedowierzaniem:

– Spójrz, jak wielkie ma serce. Zaznał od swojego właściciela tylu krzywd, a nadal tęsknił, nadal kocha. Ludzie nie zasługują na siłę psiego uczucia!

Marek odpowiada mi ciepłym uśmiechem:

– Na szczęście niektórzy zasługują...

Tak to się kończy...

– Dwa weekendy w miesiącu i ani dnia dłużej. Ani godziny, ani minuty. Nie wytarguje.

– U ciebie z pewnością nie! – mówi z przekąsem Marek.

– Znaczy, że co? Że jestem zbyt surowa dla skurczysyna, który porzucił Młynka przy drodze i zostawił na pastwę losu? Ma szczęście, że ten pies tak go uwielbia. Inaczej nie zgodziłabym się nawet na półgodzinne widzenia – odgrążam się.

Przekładam smycz do drugiej ręki i poprawiam przewieszoną na ramieniu torbę. W torbie znajdują się ulubione zabawki Młynka, jego miska na psie chrupki i pojemnik

śniadaniowy ze specjalną drobiową potrawką, którą dla zwierzaka przygotowuje moja matka. Właśnie odprowadzamy psiaka do mieszkania jego byłego opiekuna, z którym Młynek ma spędzić dwa dni.

Tylko tyle udało mu się wynegocjować. Gdyby to zależało ode mnie, Młynek już nigdy nie ujrzałby tego człowieka na oczy. Nieraz myślę sobie, że wszystko byłoby prostsze, gdyby pan Młynka – czy raczej Fado, bo tak zwraca się do *mojego* psa ta kanalia w męskiej skórze – okazałby się skurczysynem czystej krwi. A jednak poszukiwał porzuconego psa, popłakał się na jego widok przy bramie kamionkowskiego parku i obiecywał solennie, że już nigdy go nie zostawi. Z tym, że ja temu panu za bardzo nie wierzę i wolę osobiście dopilnować, by Młynek już nigdy nie został porzucony!

Tak więc ja sprawuję opiekę nad psem, Marek kręci nosem na ograniczoną powierzchnię łóżka, a dawny opiekun spotyka się z Młynkiem w wyznaczonym terminie. Dwa weekendy w miesiącu i ani dnia dłużej!

– Ależ skąd! – Śmieje się teraz mój detektyw, za co obrywa bolesnego kuksańca w bok. – Uważam, że jesteś dla niego nad wyraz litościwa. Domyślam się również, że nie masz nic wspólnego z tym donosem, jakoby pan Kamil porzucił przy drodze bezbronne zwierzę i zbiegł?

– Z donosem? Jakim donosem? – Posyłam mu niewinne spojrzenie i wciskam guzik domofonu, ponieważ właśnie dotarliśmy pod właściwy adres.

Po krótkiej chwili były opiekun Młynka wpuszcza nas do mieszkania i wita się z radosnym czworonogiem. Przyglądam się temu z kwaśną miną, więc Marek szturcha mnie łokciem. Posłusznie przyoblekam słodki uśmiech.

– No, dobrze! Więc zobaczymy, w jakich warunkach Młynek

spędzi weekend – ćwierkam beztrosko.

– Kalina! – Mina Marka jest po prostu nie do opisania. Na jego twarzy maluje się niedowierzenie pomieszane z rozbawieniem i oburzeniem. Nie byłabym w stanie uwierzyć w tak wybuchową mieszankę, a teraz widzę ją na własne oczy!

– No, co? – pytam niewinnie. – Muszę się upewnić, czy psu będzie tu dobrze...

– W porządku – mówi pojednawczo pan Kamil, który doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, że najchętniej rozprawiłabym się z nim przy zastosowaniu szatkownicy do jaj. Wskazuje nam mały pokoik i leżące w kącie legowisko. – Tutaj Fado... to znaczy Młynek – pod wpływem mojego spojrzenia prędko się poprawia – będzie spał.

– Nie, nie. Młynek nie ma w zwyczaju sypiać na podłodze – kręcę głową. Za plecami pana Kamila Marek posyła mi mordercze spojrzenia, ale zbywam je słodkim uśmiechem. – Mam nadzieję, że ma pan jakąś kanapę...

– Oczywiście...

– To dobrze. Będzie panu wygodniej niż na podłodze. – Klepię go po ramieniu. – Czyli ustaliliśmy, że Młynek będzie spał na łóżku. Ufam, że ma pan wygodny materac, nie będę sprawdzać. – Marek wygląda tak, jakby za moment miał się przewrócić, więc pospiesznie kieruję mężczyznę do aneksu kuchennego. – Proszę pokazać mi miski.

– Tutaj. – Pan Karol drżącą dłonią podsuwa mi plastikowe miseczki.

Marszczę nad nimi brwi, w końcu kręcę głową z niedowierzaniem.

– Nie ma adnotacji, że nie zawierają bisfenolu... Do następnego spotkania proszę lepiej się przygotować. Tymczasem zostawię panu ulubione miseczki Młynka.

Na nieskazitelnym kuchennym blacie kładę torbę sportową i wydobywam z niej dwie miski ze stali nierdzewnej i pojemnik pochodzący z kuchni mojej matki. Posyłam byłemu opiekunowi Młynka surowe spojrzenie:

– Nawet nie będę sprawdzać, czym zamierzał go pan karmić. Proszę dawać mu to.

– W porządku. Czy to wszystko?

– Wszystko! – wtrąca pospiesznie Marek, zarzucając torbę na ramię i łapiąc mnie za rękę.

– Właściwie to nie do końca... ale podejrzewam, że nie zechce pan oddać kluczyków od samochodu? – Pełne niedowierzania spojrzenia mężczyzn mówią mi, że chyba przesadziłam. Uśmiecham się więc uspokajająco i idę pożegnać się z Młynkiem, który w międzyczasie wdrapał się na jasną skórzaną kanapę. – No to do zaszczekania, piesku!

Kiedy wychodzimy na ulicę, Marek obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Śmieje się.

– Nie musiałaś go tak dręczyć!

– Musiałam! – kręcę głową. – Do końca życia nie pozwolę mu zapomnieć, czego się dopuścił!

– A jeśli po weekendzie nie zechce oddać ci psa?

– Pomyślałam, że może mu to przemknąć przez myśl. Nie odważy się...

– To znaczy?

– Do pudełka z potrawką przykleiłam wycinek z gazety dotyczący śmierci biznesmena otrutego wilczą jagodą. Pod spodem napisałam czerwonym markerem, że byłam główną podejrzaną.

Marek wybucha serdecznym śmiechem, a potem przytula mnie i mocno całuje. Oj, brakowało mi tych mocnych pocałunków, drapania po plecach i jego śmiechu!

– Co teraz robimy? Może pójdziemy do rodziców? Mama planowała robić gołąbki... – mruczę.

– Mhm, brzmi kusząco, ale mam lepszy pomysł. Mam dla ciebie niespodziankę, która wymaga odpowiedniej oprawy. Może pójdziemy na spacer do parku?

Czuję, jak wzdłuż mojego kręgosłupa pełźnie rozkoszny dreszczyk. Niespodzianka? Wymagająca ładnej oprawy? Czyż to nie brzmi cudownie? Wprost nie mogę się doczekać, idąc niemal podskakuję, jak mała dziewczynka. Marek śmieje się i przyciąga mnie do siebie. Przemierzamy park i zatrzymujemy się nad niewielką sadzawką. Opieram łokcie o balustradę i patrzę wyczekująco na mojego detektywa: ileż jeszcze każe mi czekać na tę niespodziankę?

Marek uśmiecha się nieco figlarnie i wydobywa z kieszeni niewielkie zawiniątko. To pudełko zapakowane w niebieski, błyszczący papier, z figlarnie sterczącą kokardką w żółte kropki. Przez krótki moment nie wiem, co powiedzieć, więc tylko patrzę z uchylonymi ustami to na Marka, to na pudełko.

– Czy to...? – Gdzieś z oddali dobiega mnie mój własny głos.

– Otwórz! – Śmieje się mój detektyw.

Ruchem niecierpliwych palców usiłuję rozsypać kokardkę. Nie ustępuje, więc pomagam sobie zębami. Później zdejmuję błyszczący papier i moim oczom ukazuje się ozdobne, kwadratowe pudełko. Przez moją myśl przemyka co najmniej kilkaset propozycji, co może znajdować się w takim ładnym pudełeczku, ale tylko jedna uparcie do mnie powraca i sprawia, że dziwnie swędzi mnie serdeczny palec prawej dłoni. Kiedyś myślałam, że już nigdy tego nie poczuję, że nie zaufam, że nie będę chciała być czyjąś żoną, ale teraz... Patrzę poważnie na Marka i widzę, że w jego oczach błyskają figlarne ogniki,

uchylam wieczko i... wybucham śmiechem.

Sięgam do pudełka i wydobywam śliczne, metalowe serduszko, na którym wygrawerowano imię Młynka i mój numer telefonu.

– Żebyś nie miała żadnych wątpliwości, że ja również chcę, aby Młynek był częścią naszej rodziny – mówi detektyw.

Czuję, jak coś ściska mnie w gardle, mocno przytulam Marka, ocieram nieco wilgotne oczy. A później daję panu detektywowi kuksańca w bok.

– Myślałam, że to pierścionek zaręczynowy!

Marek śmieje się i przyciąga mnie do siebie.

– Zawsze możesz poszukać w drugiej kieszeni...

Kilka pocałunków później:

– Wiesz, tak sobie myślę: Kamionki są takie piękne, powinniśmy tam częściej jeździć.

– Hrabianko, jeśli będziesz jeździć tam częściej, będą zmuszeni rozbudować komisariat.

Podziękowania

Kochani czytelnicy, dziękuję za czas spędzony z Kaliną i jej przyjaciółmi. Moja książka miała za zadanie sprowadzić uśmiech na Wasze twarze. Jeśli jej się udało, będzie to największym dla mnie uznaniem. Nie traktujcie jej dosłownie i wybaczcie wszelkie potknięcia. Nie wynikły ze złej woli, tylko z tego, że jestem mamą czterolatki i czasem muszę się dwoić, a nawet troić... ;)

Podobnie jak wszystko związane z Kaliną i jej perypetiami, tak również historia Młynka okazuje się czystą fikcją. W przypadku naszego czworonożnego bohatera wszystko

kończy się szczęśliwie, ale niestety rzadko tak bywa. Porzucane – szczególnie w okresie wakacyjnym – zwierzęta to w naszym kraju prawdziwa plaga. Jeśli widzicie zwierzątko plątające się gdzieś przy trasie, nie wahajcie się dzwonić do TOZ i szukać dla niego pomocy. A może marzycie o własnym czworonogu? Schroniska są pełne sympatycznych mordek i mocno bijących psich serc, może wśród nich kryje się Wasz przyjaciel?

Druga odsłona przygód Kaliny nie powstałaby, gdyby nie zaangażowanie wielu osób. Dlatego w tym miejscu kieruję specjalne podziękowania:

– dla Milenki, która co prawda mamę rozprasza, ale potrafi również niespodziewanie wdrapać się na kolana i przytulić najmocniej pod słońcem;

– dla mojego kochanego męża, który znosi moje ciągle stukotanie w klawiaturę i nawet nie narzeka;

– dla moich niezastąpionych przyjaciółek: Moniki, Marty, Sylwii, Joli oraz moich kochanych blogerek, które zawsze wspierają mnie ciepłym słowem i uporczywie dopytują: „Napisiałaś już?”;

– dla Magdy Majcher. Tak, nadal piszemy razem i nadal wzajemnie przeganiamy się z Facebooka. Zapamiętajcie, Facebook to zło wcielone; :))

– dla znajomych, którzy tak ciepło przyjęli *I że ci nie odpuszczę*, że naprawdę nie mogłam odpuścić i musiałam pisać dalej...;

– dla całej ekipy wydawnictwa Czwarta Strona. Ekipy przez naprawdę duże E, która nie szczędzi trudu, by wszystko było dopięte na ostatni guzik. Magda, Kinga i Piotr, jak również wiele, wiele innych osób zaangażowanych w wydanie serii „Kalina w malinach” – w ich stronę wielkie podziękowania i gorące słowa uznania;

– patronom medialnym za ogromne zaangażowanie w promowanie książki i dużą pomoc;

– dla wszystkich czytelników, blogerów, recenzentów za to, że dali szansę debiutantce i nie podcięli jej skrzydeł. Dziękuję za wszystkie ciepłe słowa i konstruktywną krytykę. Mam nadzieję, że drugą częścią serii nie zawiodłam Waszych oczekiwań. Do zacytania w trzeciej. :)

POLECAMY



Agata, córka Iwonki – bohaterki znanej z „Nie zmienił się

tylko blond” i wnuczka Haliny z książki „Nieszczęścia chodzą stadami” – wraca do rodzinnego domu na wakacje. Niestety szybko okazuje się, że nie ma tam ani odrobiny prywatności. Postanawia więc zamieszkać u dziadków, by w spokoju rozkoszować się urokami lata. Nic jednak nie idzie tak, jak zaplanowała... Dokąd zaprowadzi Agatę nadmierna kontrola babci Halinki? I gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość?

Pełna bezpretensjonalnego humoru, lekka opowieść o dziewczynie, która chcąc uwolnić się od nadopiekuńczej rodziny, na zawsze zmieniła swoje życie.

ZUZANNA
JĘDRZEJEWSKA

nie
do
wiary!

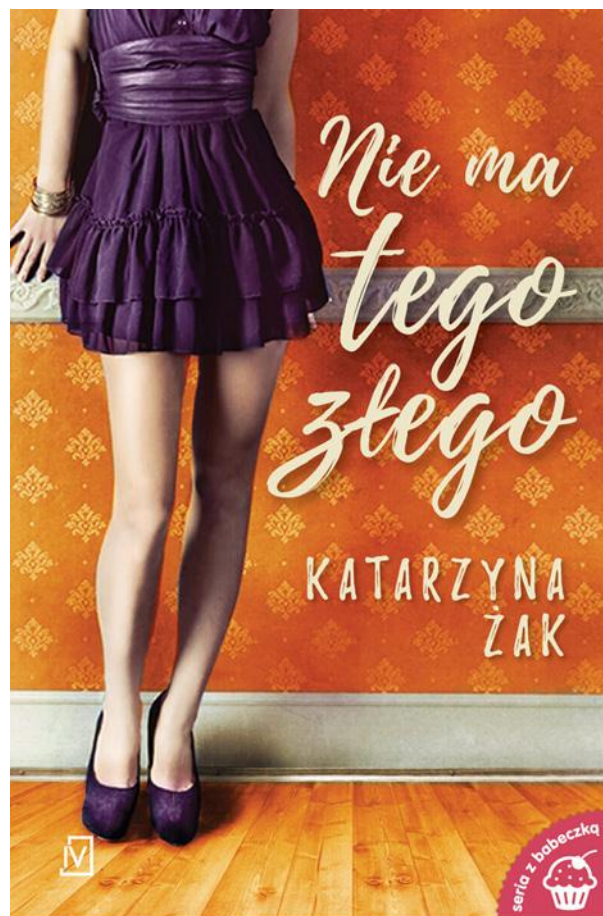
czką

Chińskie przysłowie ostrzega, by uważać o czym się marzy, bo marzenia mogą się spełnić.

Eufrozyna Maliniak, dla przyjaciół Zoey, wrażliwa nauczycielka po trzydziestce, nie ma szczęścia w miłości. W przeszłości zraniona, nie potrafi zaufać, choć wciąż skrycie marzy o księciu z bajki. Za namową przyjaciółki Alicji w sylwestrową noc wykrzykuje światu swoje największe marzenie.

Od tej chwili w życiu Zoey zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na jej drodze jeden po drugim pojawiają się mężczyźni ze snów...

Skrząca się humorem, pełna barwnych postaci i nieoczekiwanych zwrotów akcji opowieść o poszukiwaniu szczęścia.



Jak nie załamać się po rozstaniu, napisać dobry felieton i rozwiązać zagadkę morderstwa?

Życie Zuzanny zmienia się o 180 stopni, gdy narzeczony porzuca ją dla innej. Zostaje jej niespłacony kredyt i puste mieszkanie, które miało być wymarzonym gniazdkiem. Po powrocie do rodzinnej miejscowości Zuza stara się zacząć wszystko od nowa. Jako dziennikarka lokalnej gazety niespodziewanie angażuje się w rozwikłanie tajemnicy morderstwa.

„Nie ma tego złego” to zaskakująca, zabawna, a zarazem

znakomicie napisana kryminalna łamigłówka. Przekonaj się sama, czy wpadniesz na właściwe rozwiązanie!

Wydawca i Autorka przeznaczą część dochodów
ze sprzedaży książki
na Krakowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.



Krakowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami

Serdecznie zachęcamy do wpłat na konto schroniska:

83 2030 0045 1110 0000 0390 3540

<http://www.ktoz.krakow.pl/>

POLECAMY RÓWNIEŻ:

Joanna Szarańska

I że ci nie odpuszczę

To miał być najpiękniejszy dzień w życiu Kaliny. Długa, biała suknia, ukochany mężczyzna u boku i uroczyste słowa „I nie opuszczę cię aż do śmierci”. Piękny sen pryska, kiedy przed ołtarzem okazuje się, że pan młody wkrótce zostanie tatusiem... dziecka innej kobiety. Kalina, mimo niespodzianki, postanawia wykorzystać jedyny prezent ślubny, jaki otrzymuje po

przerwanej ceremonii – voucher do spa w zabytkowym dworku. Uzbrojona w walizkę fatalasek i powieść o Bridget Jones wyrusza, by zakosztować luksusów i wyleczyć złamane serce...

Niedoszła panna młoda trafia do niezwykłego miejsca, gdzie brakuje wanny z hydromasażem i drogich kosmetyków, zaś urodę poprawia się kozim twarożkiem i kąpielami w mleku. Niespodziewany splot okoliczności sprawia, że Kalina pojawia się w dworku w zupełnie innym charakterze niż planowała, a to dopiero początek niespodzianek...

Kryminalno-romantyczna komedia pomyłek w najlepszym wydaniu! Doskonale nakreślone portrety bohaterów, jakich pozazdrościć autorce mogą doświadczeni pisarze – autorski debiut Joanny Szarańskiej to soczysta, wielobarwna opowieść o porzuconej przed ołtarzem pannie młodej. Polecam!

Magdalena Majcher

przeгляд-czytelniczy.blogspot.com

W dalszej części znajdziecie Państwo fragment książki.



Joanna
Szarańska

*i że ci nie
odpuszczę*

SERIA
Z KALINĄ

Tak to się zaczęło...

– A teraz powtarzaj za mną: ja Kalina biorę cię Patryku za męża. No, powtarzaj!

– Ja Kalina... – zaczynam posłusznie, ale nagle zanoszę się głośnym chichotem i aż dostaję od tego czkawki.

Zamążpójście i związane z tym przygotowania to znakomita okazja do spotkania z przyjaciółkami i wspólnego wypicia kilku butelek białego półsłodkiego wina. Niektórzy określają podobne spotkania szumnym mianem „wieczorów panieńskich”, ale w tym wypadku wieczór panieński mamy już za sobą. Było na nim znacznie więcej osób i znacznie mniej wina.

Był za to striptizer w stroju mechanika samochodowego. Wymachiwał przed nami całym zestawem kluczy, a czynił to tak przekonująco, że zwrócił na siebie uwagę Kasi, mojej rudowłosej koleżanki z liceum.

– A ten? Proszę pana, do czego ten się używa? – żywo dopytywała lekko oszołomionego chłopaka.

– Chyba do czego tego? – poprawiła odruchowo Klaudia, równocześnie wpatrując się w pomarańczowy daszek czapeczki pana mechanika i wychylając kolejne martini. Po maturze Klaudia zaliczyła dwa semestry na filologii polskiej, co uznaje za powód do dumy.

– Do czego używa się tego klucza? – poprawiła się szybko Kasia, a zawstydzony pan, który najwyraźniej lepiej czuł się w skórce mechanika niż striptizera, ochoczo zabrał się do objaśniania funkcji poszczególnych elementów znajdujących się w skrzyneczce z narzędziami.

– Nuda! – orzekła, ziewając, Monika, zwana przez nas Prezesową ze względu na spektakularny awans społeczny zdobyty poprzez małżeństwo z właścicielem firmy produkującej rękawice ogrodowe. – Co to za wieczór panieński? Skoro striptizer woli rozprawiać na temat zalanych świec i świateł stopu? Ja wam powiem, że byłam na wakacjach w Egipcie i tam turystyka jest na bardzo wysokim poziomie. Turystyka i seksturystyka też! – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Tam striptizer nie odstawia takiej fuszery! – Wydęła usta w kolorze ostrej fuksji. – Jak mu się płaci za wyskakiwanie z portek, to wyskakuje!

Najwyraźniej przytyk Prezesowej trafił mechanika-striptizera w sedno, bo zerwał się chłop gwałtownie i zatoczył tyłkiem tak szerokie koło, że przytwierdzony do jego pasa śrubokręt uderzył siedzącą najbliżej Jolę w czoło i nabił jej guza wielkości śliwki węgierki.

– Oj! Sorry, sorry, sorry! – pisał roztańczony striptizer, podczas gdy my ratowałyśmy nieco zamroczoną Jolę lodem wydobytym ze szklanki z drinkiem i zawiniętym w kolorową

serwetkę. – Wielkie sorry!

– Dobra, dobra! Masz tu stówkę i mykaj! – Klaudia zdecydowała, że pora zakończyć zabawę w warsztat samochodowy. Po chwili striptizera i jego skrzyneczki z narzędziami już nie było. Po dwóch chwilach spostrzegłyśmy, że nie ma także Prezesowej...

Mimo to wieczór panieński zaliczyłyśmy do udanych. Były kolorowe drinki, był striptizer i zabawa w babskim gronie niemal do białego rana. Co prawda Jola uskarża się na lekkie mrowienie w głowie, a Kasia na niedosyt wiedzy z zakresu mechaniki samochodowej, ale to mały szkopał. Nie można mieć wszystkiego, a ja osobiście wolę mniej tłoczne spotkania, można rzec kameralne. Takie z przyjaciółkami i winem.

Przyjaciółki mam trzy i wszystkie kotłują się razem ze mną przed wielkim lustrem w moim pokoju. Oficjalna wersja mówi, że spotkałyśmy się, by omówić ostatnie szczegóły związane z jutrzejszą ceremonią, ale tak naprawdę chodziło o ukojenie nerwów, które towarzyszą mi przed Wielkim Dniem. W celu ukojenia tychże nerwów jedna z moich przyjaciółek, Iwa, kupiła cztery butelki półsłodkiego wina. W tym samym celu druga – Mirka – przyniosła dwie butelki Dorato zachomikowane od sylwestra. Jola dorzuciła czekoladę z orzechami i chipsy, za co niemal oberwała po głowie. Na swoje usprawiedliwienie wydobyla argument w postaci migreny, jednak niech nie myśli, że tak łatwo się wykpi. Przyjść na oblewanie jutrzejszego ślubu i nie oblewać?

Na tę chwilę nie ma już ani chipsów, ani czekolady, ani szampana, a białe półsłodkie wino zostało tylko jedno, i to tylko dlatego, że żadna z nas nie radzi sobie z korkociągiem... Jesteśmy mocno zamroczone i bardzo szczęśliwe. Ja się uspokoiliam i wyluzowałam. Towarzyszy mi tylko taka maluteńka obawa, że jutro mogę mieć problemy z koncentracją. Ale to nic, prawda? Przecież się nie pomylę i nie poślubię obcego faceta, co?

Przy drugim winie padła propozycja, by przymierzyć suknię ślubną i sprawdzić, czy na pewno wszystko pasuje. Rozbieram się więc do stanika i majtek, a dziewczyny przynoszą suknię, która od kilku dni wisi na drzwiach szafy, szczelnie owinięta w pokrowiec, i wzbudza mój uśmiech, gdy tylko się budzę i na nią spojrzę.

Nie jestem w stanie sama jej założyć, więc ograniczam się do podniesienia ramion, a jedyna mocno trzymająca się na nogach Jola wchodzi na krzesło i zarzuca na mnie suknię od góry. Mirka sznurkuje gorset tak mocno, że aż oczy wychodzą mi z orbit, a piersi ze stanika. Iwa przynosi z szafy białe satynowe pantofelki i dziwi się, że mam zamiar założyć do ślubu tak wysokie platformy. Co będzie, jeśli w drodze do ołtarza potknę się i przewrócę?

– Będę leżeć – odpowiadam wesoło po chwili namysłu. Połączenie wina, szampana i czekolady sprawia, że niegroźne mi żadne wypadki losowe. Iwa zakłada mi lewy but na prawą stopę. Gdy jestem już gotowa, tłoczemy się przed taflą lustra.

– Wyglądasz cudownie! – wzrusza się Iwa, która spośród nas jest największą romantyczką; płacze na wszystkich ślubach, nawet tych w telewizji...

– Idealnie! – dorzuca Jola.

Mirka milczy, więc patrzę na nią niespokojnie. Co jej się

nie podoba?

– To tylko taki głupi włoski przesąd – mruczy pod nosem i macha ręką lekceważąco. – Nie przejmuj się!

– Jaki przesąd? – piszcze przestraszona. – Mam coś niebieskiego i pożyczonego. I nawet stare mam!

– Moja ciotka wyszła za Włocha. I podobno u nich jest tak, że nie można przymierzać sukni ślubnej. To znaczy przymierzać wolno. – Mirka podnosi ze stołu ocalałą butelkę i jednym wprawnym ruchem otwiera wino, po czym kończy: – Ale nie można wyglądać przy tym przymierzaniu idealnie.

Patrzę na Jolę oskarżycielsko, bo to ona powiedziała, że wyglądam idealnie. Jeśli jutro coś się nie powiedzie, to będzie tylko i wyłącznie wina Joli. Potem wzruszam ramionami i mówię, że w ogóle nie wierzę w przesady.

– I masz całkowitą rację! – Cieszy się Mirka. – Zresztą to włoski przesąd na włoskie wesela. Twoje jest polskie, więc przesąd nie działa, co nie?

Oczywiście, że wcale nie wierzę w przesady. To, że kupiłam niebieską podwiązkę, że mam pożyczony biustonosz i stare kolczyki z perełek babci Leokadii, o niczym nie świadczy! Mimo to na wszelki wypadek burzę sobie ręką włosy. Wyglądam jak czupiradło. Na pewno daleko mi do ideału...

Wszystkie cztery patrzymy w taflę lustra i nagle Iwa pyta, czy wciąż jestem zdenerwowana. Zaprzeczam, ale przyjaciółki mi nie wierzą.

– Jak można nie czuć zdenerwowania przed własnym

ślubem? To niemożliwe! – wymądrza się Iwa, która nie ma nawet chłopaka, nie wspominając o perspektywach rychłego zamążpójścia.

Uparcie dopytują, czego się boję. W końcu ulegam i wyznaję, że przysięgi małżeńskiej. I okazuje się, że to dopiero początek. Przy ostatnim winie ćwiczymy słowa, które za kilkanaście godzin mam wypowiedzieć nie dla zabawy, ale na serio i na całe życie. Już na samą myśl o tym czuję przyjemne dreszcze i łaskotanie w dole brzucha.

– A teraz powtarzaj za mną! – Wracamy do punktu wyjścia. Iwa potrząsa moim ramieniem. – Ja Kalina biorę ciebie Patryku za męża. No, powtarzaj!

– Ja Kalina... – zaczynam dziarsko, ale cała ta sytuacja śmieszy mnie i sprawia, że zanoszę się głośnym chichotem, który przechodzi w męczącą czkawkę.

– Nie śmiej się, tylko mów! – Iwa musztruje mnie i znów zaczyna: – Ja Kalina biorę ciebie Patryku za męża!

– Ja Kalina... – zaczynam znów, głośno czkając, ale Iwa przerywa mi gwałtownie.

– Nie, nie, nie! To musi wyglądać inaczej! Na filmach zawsze wygląda to inaczej! Najpierw musimy zapytać, czy nikt nie zna okoliczności stojących na przeszkodzie zawarcia tego małżeństwa. – Gorączkuje się Iwa. Mirka przewraca znacząco oczyma, a ja krztuszę się ze śmiechu.

– Ale przecież u nas wcale się tak nie mówi! – protestuje Jola.

– Co ty tam wiesz! Nic nie wiesz! Wychodziłaś kiedyś za mąż? – Wstawiona Iwa szturcha Jolkę palcem wskazującym, aż ta przestraszona przyznaje, że rzeczywiście za mąż jeszcze nie wychodziła. – I co z tego, że u nas tak się nie mówi? My zrobimy tak, że się powie! Jak na prawdziwym amerykańskim

filmie... – Kończy rozmarzona i chrząka. – Zajmijcie miejsca, przechodzimy do ceremonii!

Po chwili wysokim głosem księdza proboszcza Iwa zadaje pytanie mające tak wielki wpływ na losy mojego związku. Jola oświadcza, że małżeństwo nie może zostać zawarte, gdyż narzeczony ma z nią piątkę dzieci i do tego szóste w drodze... Zanosimy się śmiechem. Iwa trzyma się za brzuch i jęczy, Mirka turla się po dywanie, ja sama chciałabym to zrobić, ale przecież mam na sobie suknię ślubną... Tyle jeszcze kojarzę. Niskim głosem mojego narzeczonego Iwa wypiera się związku z Jolą i udziału w produkcji szóstki dzieci, a następnie powracający do głosu ksiądz udziela nam ślubu.

Koniec przedstawienia. Brzuch boli mnie już tak bardzo, że chyba zaraz się posusiam. Mirka wchodzi na krzesło i pomaga mi zdjąć sukienkę. Jola pada na stertę poduszek, zręcznie zonglując pustą szklanką po soku. W majtkach, biustonoszu i moich pięknych ślubnych platformach biegnę do łazienki, aby zapobiec katastrofie. Tuż przy drzwiach potykam się o dywan i padam jak długa, o mało nie rozbijając sobie nosa o drzwi łazienki. Zdarłam skórę z kolana, które teraz piecze i pulsuje bólem, sama nie wiem, co gorsze. Przyjaciółki biegną na ratunek, ale podnoszę się i macham ręką na znak, że wszystko w porządku. Śmieję się, a łzy ciurkiem spływają mi po policzkach.

Ceremonia rozpoczyna się bez zakłóceń.

Zgodnie z planem, który tak misternie ułożyłam.

Najpierw główną nawą kościoła przechodzi mała dziewczynka w koronkowej sukience i dobranym pod kolor kapelusiku, sypiąc płatki różowych róż. Dziewczynka ma proste blond włosy i przerwę między zębami. Na kolanie lewej nogi kwitnie strup dorównujący rozmiarem temu, który sama noszę pod suknią. Czuję, że mam ochotę wyściskać tę małą.

Następnie z chóru rozlega się piękna i wzruszająca melodia grana na skrzypcach. Natychmiast wyciska mi kilka łez i budzi obawy o makijaż. Zauważam, że Jola też ociera oczy.

Najwyraźniej nie tylko na mnie tak mocno działa muzyka!

Po kilku chwilach skrzypce cichną i na ambone wchodzi nobliwy ksiądz proboszcz. Obejmuje surowym spojrzeniem sylwetkę moją i mojego narzeczonego. Jego ponura mina nie wróży niczego dobrego. Odczuwam nagły niepokój i staram się przywołać szczegóły spowiedzi przedślubnej. Czy jakieś wydarzenie z mojego dwudziestosiedmioletniego życia wywołało u księdza proboszcza oburzenie? Gdzieś w zakamarkach mojej świadomości majaczy wspomnienie pogadanki na temat czystości przedmałżeńskiej i niespokojnie zerkam na siedzącą za moimi plecami matkę. Chyba ksiądz nie zechce tego wyciągnąć i oświecić gości w kwestii mojego życia seksualnego?

W tej samej chwili kapłan wyszczerza do mnie zęby w parodii uśmiechu, zupełnie jakby czytał w moich myślach. Odchrząkuje i rozpoczyna uroczystą przemowę na temat dwóch serc, które się spotkały i podjęły decyzję, by dalej przez życie pójść razem. Tymi dwoma sercami jesteśmy oczywiście my – mój ukochany i ja. Spoglądam więc na mojego wybranka rozanielonym wzrokiem, który zasnęła romantyczna mgiełka i sprawdzam, czy jest równie wzruszony jak ja. Okazuje się jednak, że spojrzenie Patryka utkwilo w butach księdza. Za to

wzruszona do granic możliwości Jolka chlipie za moimi plecami aż miło!

Podczas mszy świętej moje myśli swobodnie szybują, oscylując pomiędzy menu weselnym, które ma zainauguować tradycyjny polski rosół z makaronem przybrany łabędziem z ciasta ptysiowego, a nocą poślubną, na którą przygotowałam specjalny czerwony komplecik z kusymi majteczkami i fikuśnym piórkiem. Nagle reflektuję się, że wszyscy wstali i spoglądają na nas wyczekująco. W końcu nadeszła ta chwila!

Ksiądz informuje zebranych w kościele gości, po co się tutaj spotkaliśmy i co teraz nastąpi. Szczerze powiedziawszy, witam tę chwilę z westchnieniem ulgi, gdyż czuję, że mój pęcherz znów chce o sobie przypomnieć. Zaciskam dłonie na plastikowej ręczce bukietu ślubnego i zastanawiam się, czy goście poczują się urażeni, jeśli przed przyjęciem życzeń skoczę na chwilę do toalety za zakrystią. W tej samej chwili ksiądz każe nam podać sobie dłonie i powtarzać.

Staję vis-à-vis mojego przyszłego męża i uśmiecham się do niego krzepiąco. Stwierdzam, że Patryk nie wygląda dobrze. Jego przystojna twarz jest blada, na czole perli się pot. Uśmiecham się półgębkiem do własnych myśli. Albo mojemu narzeczonemu daje się we znaki zdenerwowanie, albo miniony wieczór obszedł się z nim równie niełaskawie, jak ze mną.

Pada regułka, która ma sprawić, że staniemy się mężem i żoną. Czuję motyle w brzuchu. Uskrzydłają mnie do tego stopnia, że zapominam o przepelnionym pęcherzu i pulsującym kolanie. Spoglądam prosto w oczy Patryka, który już nie bada stanu obuwia proboszcza, ale wpatruje się we mnie. Jestem skupiona jak nigdy, pragnę włożyć w to króciutkie słowo całą siłę mojej miłości. Otwieram usta i chcę wypowiedzieć magiczną przysięgę, która sprawi, że będę z ukochanym, dopóki

śmierć nas nie rozłączy...

Ale uprzedza mnie Jolka.

Jak przez mgłę widzę, jak podnosi się ze swojego miejsca i zdejmuje okulary. Jest blada i spłakana. Iwa szarpie ją za sukienkę, chcąc usadzić na miejscu. No, czy ta Jolka zgłupiała? Nie wysiedzi kwadransa? Koniecznie musi do toalety, gdy ja składam przysięgę małżeńską?

Ale Jola nie ma zamiaru wychodzić do toalety. Prostuje się dumnie i obwieszcza osłupiałemu księdzu:

– To małżeństwo nie może być zawarte, proszę księdza. Pan młody wkrótce zostanie ojcem. Mojego dziecka.

Przez kościół przebiega fala szeptów, zaskoczeni goście nachylają ku sobie głowy i wymieniają się spostrzeżeniami. Widzę, że moja matka otwiera i zamyka usta, niczym ryba wyrzucona na brzeg. Iwa kręci głową. Mirka ukryła twarz w dłoniach. Jolka patrzy na mnie przepraszająco. Czuję, że za chwilę wybuchnę niepohamowanym śmiechem. No, czy ta Jolka zdurniała do reszty? Zapomniała, że to były głupie żarty? Taka gra? Pijacka zabawa?

Spoglądam na pobladłą twarz mojego narzeczonego i dociera do mnie, że to wcale nie zabawa. W następnej chwili biorę solidny zamach i idealnie zaprojektowany bukiet z białych róż i frezji ląduje u stóp proboszcza. Wychodzę z kościoła, nie patrząc na osłupiałych gości.

Rozdział 1

Niemrawo przeskakuję pilotem po kanałach, usiłując uciec przed reklamami, programami informacyjnymi i ckliwymi romansami. Reklam nie lubię, złych wiadomości otrzymałam już dosyć, a romanse? Miłości mam po dziurki w nosie. Mogę śmiało powiedzieć, że odbiła mi się czkawka. Jak tort weselny, który jedliśmy niemal przez dwa tygodnie.

„Zjeść trzeba – syknęła do mnie matka, gdy się obruszyłam, że nie tknę. – Przecież się nie zmarnuje. A swoją drogą, po cholere ci był trzypiętrowy tort, co?”

Odpowiedziałam wzruszeniem ramion. Skąd mogłam wiedzieć, że mój przyszły mąż to lowelas i pies na baby? Przecież gdybym cokolwiek podejrzewała, zamiast siedmiu kilo biszkopta przełożonego kremem śmietankowym zamówiłabym

wuzetkę w cukierni na rogu! I rzuciłabym nią niewiernemu prosto w twarz!

Nie zostałabym zmuszona przez wojowniczą rodzicielkę do zjadania resztek i w rezultacie nie przybrałabym pięciu centymetrów w biodrach. Kopnęłabym Casanovę w cztery litery i to bynajmniej nie te, które służą do siedzenia. Tym samym nie stałabym się pośmiewiskiem całego kościoła z osłupiałym księdzem proboszczem na czele.

Wychodzi na to, że brak spostrzegawczości wcale mi się nie opłacał. Trzeba było mieć oczy dookoła głowy!

Zatrzymuję się na programie przyrodniczym i zasłuchuję się w hipnotyzujący głos Krystyny Czubówny, która przedstawia właśnie zwyczaje lęgowe wilków.

– Wilki łączą się w pary na całe życie... – słyszę i przewracam oczami.

– Chyba sama pani w to nie wierzy. – Wzdycham. – Żaden samiec nie łączy się w parę na całe życie. Chyba, że z innym samcem.

Wyciszam dźwięk i wyciągam się wygodnie na wąskim tapczaniku. Mam zamiar uciąć sobie króciutką drzemkę. Moje plany niweczy jednak matka, która bezceremonialnie gramoli się do pokoju, wlokąc za sobą odkurzacz. Jej mina wskazuje, że lepiej będzie, jeśli szybko wstanę, wyładzę smutne zmarszczki mimiczne naokoło ust i znajdę sobie jakieś zajęcie.

Niestety, nagłe poruszenie nie zwodzi czujnej matrony. Podpiera się wojowniczo pod boki, gromi mnie wzrokiem. Mam

wrażenie, że jeden z piorunów trafił mnie w pośladki.

– Kiedy masz zamiar wziąć się w garść? – pyta.

Udaję, że nie wiem, o co chodzi. Przybieram skruszoną, a równocześnie zdziwioną minę. Następnie udaję, że układanie czasopism leżących na parapecie okna jest zajęciem wyjątkowo pilnym i wymagającym niesamowitego skupienia. A ponieważ większość z nich to prasa dotycząca przygotowań ślubnych, moje oczy szybko wilgotnieją, a ja zaczynam niepokojąco pociągać nosem. Za moimi plecami matka przekłada z ręki do ręki rurę odkurzacza i najwyraźniej nie wie, co powiedzieć. W końcu trafia na odpowiednią mądrość życiową i postanawia się nią ze mną natychmiast podzielić.

– Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Lepiej, że szydło wyszło z worka przed ślubem, a nie po. Co prawda zaliczki przepadły, ale i tak taniej wyszło, niż jakbyś miała się rozwodzić. No i ślub kościelny możesz wziąć – gada jak nakręcona. – Z kimś innym, oczywiście – dodaje po chwili.

Trudno się z nią nie zgodzić. Dobrze, że sprawa się sypnęła, zanim swoim rozmarzonym głosem wypowiedziałam sakramentalne „tak”. Chyba muszę Jolce kwiaty w podziękowaniu wysłać, że ze swoim wyznaniem nie zwlekała do ostatniej chwili. A może lepiej paczkę pampersów?

Mimo to posyłam matce groźne spojrzenie.

– Mamo, co ty pleciesz!?

– Co mam? Co mam? – Rodzicielka odzyskała już rezon, a widząc, że z moich oczu nie tryskają strumienie łez, postanowiła wyłączyć taryfę ulgową. – Snujesz się po domu jak zombie. Aż przykro na ciebie patrzeć. Rozumiem, że pracę zaczynasz dopiero od września, ale jest czerwiec, a ty nie wychodzisz z domu! Nie widzisz ludzi, nie spotykasz się z przyjaciółkami! Albo weźmiesz się za siebie, albo zadzwonię

do pani Jasi i załatwię ci łóżko na oddziale w Kobierzynie!

– To co ja mam robić? – pytam z nieszczęśliwą miną.

– Po prostu żyj – Ramiona odziane w podomkę w kropki wykonują gest wzruszenia. – Na początek mogłabyś się ubrać i pójść po ziemniaki do warzywniaka. Muszę tu odkurzyć.

W całym domu panuje niewyobrażalny bałagan, ale oczywiście wszystko jest na mojej głowie – gdera matrona, potrząsając rurą od odkurzacza.

Pospiesznie wciągam świeżą koszulkę i dzinsy. Matka odprowadza mnie dziwnym spojrzeniem, ale staram się nie zwracać na nią uwagi. Wychodzę z mieszkania, zgarniając po drodze zieloną torbę „ekologiczną” i niemrawo sunę w stronę pobliskiego sklepiku. Chcę uwinąć się jak najszybciej i wrócić w zacisze swojego pokoju. Mam nadzieję, że gdy wrócę, mama skończy już porządki i będę mogła zafundować sobie drzemkę.

Spis treści

Tak się to zaczyna...

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Tak to się kończy...

Podziękowania

Polecamy

Polecamy również

